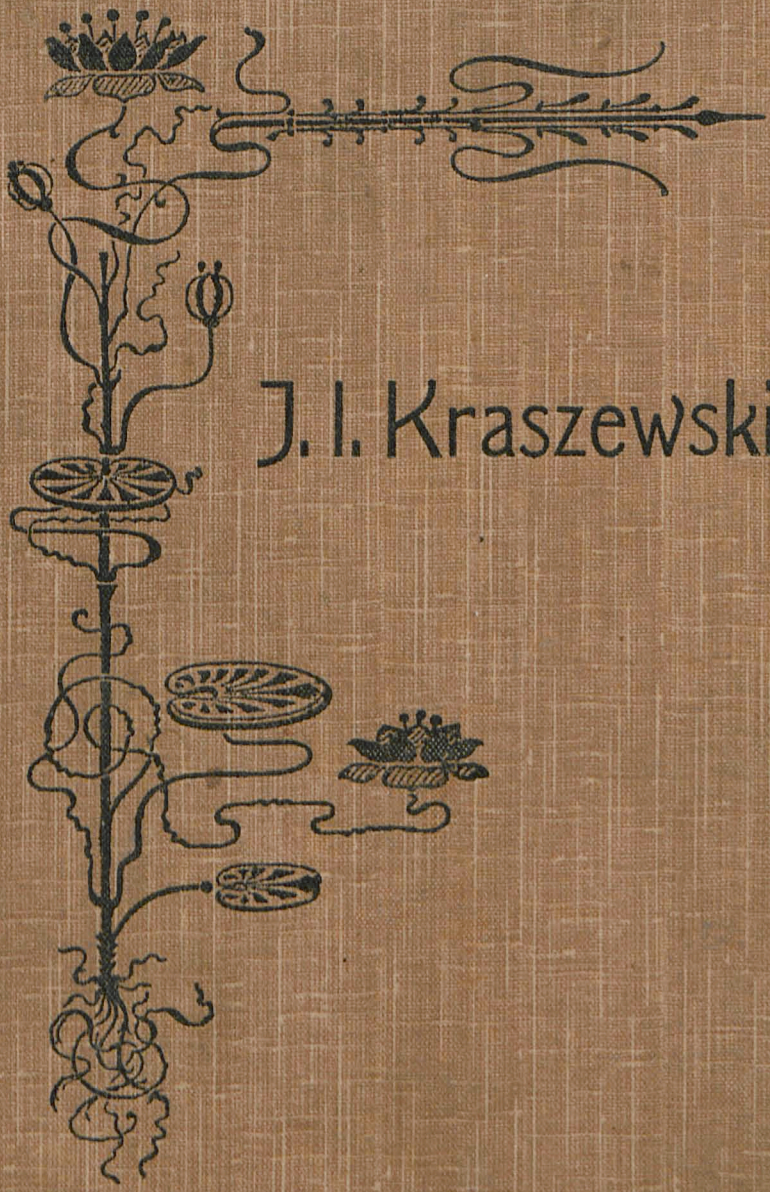

J. I. Kraszewski

KRÓL PIAST.

Druk Józefa Jeżyńskiego Warszawa Daniłowiczowska Nr. 16.

KRÓL PIAST.

(MICHAŁ KSIĄŻE WIŚNIOWIECKI).

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Сентября 1898 года.

Muzeum J. I. Kraszewskiego ROMANÓW
MW/M/334

W Łowiczu, w dworcu Arcybiskupim, gdzie podówczas Prymas Prażmowski przebywał, bliżej chcąc być stolicy, pod koniec 1668 roku, po odjeździe Jana Kaźmierza, ruch, zjazdy i narady były nieustające.

Arcybiskup pochlebiał sobie, że w ręku miał koronę i że nią rozporządzi jak mu się podoba sobie, rodzinie i sprzymierzeńcom zapewniając znakomite korzyści. Francuzkie zabiegi poczęte za żywota Maryi Ludwiki przeżyły ją i tryumfowały.

Znudzony wszystkiem Jan Kaźmirz jechał do Francyi — odpoczywać na tłustem opactwie — a po drodze był tak wesół, że w Krakowie tańcował, a jego orszak tak się sprawiał butno, że szlachtę bił, która ex-króla pozywała do sądów kapturowych i sądziła go na infamię.

Żartobliwsi na sejmie abdykacyjnym przezwali go już panem Snopkowskim od wąsów snopu w szwedzkim herbie.

Smutne to zrzucenie korony, od której Walezjusz uciekał,—jowjaliści ówcześni w żart obracali. Niczyjego serca nie przejęły te groźne, prorocze, natchnione, łzawe wyrazy jakiemi Jan Kaźmirz kraj pożegnał.

Ani z jednej ani z drugiej strony nie tajono tego, co jakby już zwyczajem uświęcone, przechodziło z pokolenia na pokolenie. Szlachta wiedziała, co kto za dostojność i za starostwo zapłacił, panowie nawskroś przenikali wichrzycieli i Katylinów.

Lecz u dołu, ten tłum niesforny, rozgorzały, bezrozumny — miał za sobą, że wrzał, burzył się, krzyczał i rozkoszował w imie jakiejś zasady, w obronie jakiejś swobody, że się poświęcał dla ogółu, gdy u góry—stała naga i bewzględna prywata.

Nie ważyła ona sobie wrzasku i obelg, jakiemi ją obrzucano — szła cynicznie swoją drogą, ale upadała moralnie, tym bezwstydem.

Tłum miał wyższość nad nią—bo on szedł często pieszo i stał o suchym chlebie w obronie praw, gdy panowie lekceważąc je bankietowali. Panowanie Jana Kaźmirza było momentem krytycznym, w obu obozach wzmogło się rozprzężenie, szlachta podniosła głowę, obliczyła się, mruczała, czuła się silną.

Lecz jak wszystkie zbiorowiska ludzi uległa ona tym, co się jej na wodzów narzucali i uginała za powiewem chwili...

Kilku przewódzców poruszało ziemiami, wołało do broni—i miotało tłumami.

Ktoby Warszawę widział w tym czasie między sejmem konwokacyjnym a elekcyjnym, świetną, wesołą, wrzawliwą, wytworną, szczebiocącą po francuzku, a przepełnioną dworami panów tak wytwornemi, iż się ich w obec cudzoziemców nie wstydzono... — owe poczty towarzyszące wojewodom, kasztelanom, biskupom, te służby w barwach kosztownych wygalowane od złota, te panie we fryzurach, koronkach, atłasach, umalowane, woniejące, noszące wszystkie przezwiska mythologiczne lub zapożyczane z romansów francuzkich. Ktoby posłuchał żargonu salonów, w których bardzo mało gdzie się język polski odzywał —musiałby

był wnieść z tego, że tu potęga panów, ich wpływ, siła—wola stanowiły o całej kraju przyszłości.

Wszyscy ci zaś panowie i panie tak służyli zagranicznym potęgom, królowi Francyi, Cesarzowi, książętom rzeszy, wszystkim, co rozrzucali lub obiecywali pieniądze, iż mniemać było można, że przyszła elekcya pójdzie po woli obcych mocarstw—Francya szczególniej od czasów Maryi Ludwiki była w ścisłych stosunkach z Polską, a że ją mieć chciała jako sprzymierzoną hołdownicę przeciwko Cesarstwu — musiał Jan Kazimierz ustąpić z tronu dla Kondeusza —i wszystko tak było osnute, obrachowane, prowadzone przez jednookiego prymasa... iż rachuby zawieść nie mogły... Przyszły król miał już tu dwór swój—francuzki, wychowanice nieboszczki królowej, ich mężów, młodzież wyuczoną w Paryżu – przygotowane narzędzia, sprężyny, pomocników i sługi.

Cały ten ruch jawny był—a wesołą twarzą biorących w nim udział przekonywały, że pewni być musieli powodzenia...

Dla tego zalotnego, eleganckiego niemieckiego świata, który wziął spuściznę po Maryi Ludwice i panować chciał tak męzkiej połowie jak ona rządziła Janem Kazimierzem, rycerski, piękny — na najświetniejszym dworze wychowany Kondeusz był ideałem...

Z nim tu przyjść miało życie... a w niem te piękne wychowanice królowej — półkrólowe obiecywały sobie świetnieć i rozkazywać...

Na czele tych piękności, zawczasu cieszących się trumfem, stała naprzód ulubiona Maryi Ludwice, niemal przybrana za córkę Marya de la Grange d'Arquien, żona Zamojskiego naprzód, a teraz Jana Sobieskiego hetmana, który razem z prymasem prowadził Kondeusza.

Hetmanowa była najjaśniejszą gwiazdą na tem niebie — celowała bowiem pięknością nadzwyczajną, a umiała się nią posługiwać...

Mąż Celudon był jej niewolnikiem. Jego adoracya dla żony—słynęła jako przykład miłości idealnej...

Obok niej nie zbywało na pięknościach, na zalotnych twarzyczkach, a galanterya rozpościerała się szeroko i swobodnie, ale nie gorszyła nikogo, bo się osłaniała formami wielce wyszukanemi...

W świecie tych pań, Sobieskiej, Radziwiłłowej, Potockich, Lubomirskich, Paców - żaden dzień nie mijał bez zabaw, a wesołość była tonem dominującym.

Wszystko też zdawało się ją usprawiedliwiać... Elekcya była tylko formalnością do spełnienia. Kondeusz powołany miał przybyć i Polska miała być szczęśliwą!

Patrząc zdaleka tak się to zdawało pewnem tak niezawodnem.

Zawczasu rozdawano wakanse... w Łowiczu też Prymas Prażmowski przyjmował codzień cisnących się gości, którzy mu swe usługi ofiarowali—skarbiąc jego łaski...

Ale nie wszędzie to tak wyglądało jak w Warszawie i Łowiczu...

Niemal każda ziemia miała wśród szlachty, przewódzcę, który jej dawał skazówki i skinieniem prowadził za sobą. W Sandomierskiem niedaleko od miasta mieszkał na małej dziedzicznej wioseczce JMPan Ireneusz Piotrowski, herbu Sas. Spojrzawszy na niego gdy się wmięszał miedzy panów braci, niktby za tego chudego, żółtego, przygarbionego, odzianego niedbale, prawie ubogo cichego, a prześlizgającego się w tłumie nieznacznie człowieczka, nie dał złamanego szeląga.

Piotrowski nie miał żadnego tytułu, był ubogi, kolligacyami się nie szczycił, pańskich progów nie wycierał... ale w Sandomierskiem bez Piotrowskiego w sprawie publicznej nikt nie stąpił.

Z tej wziętości u szlachty nie miał on najmniejszej korzyści—ale umiał ją cenić i nie lekceważył...

Bóg jeden raczy wiedzieć co tam niegdyś w młodości na pana Ireneusza wpłynęło, że—panów i magnatów, żółtobrzuchów, jak ich nazywał, znieść i cierpieć nie mógł. Był to ich wróg zacięty, chociaż z tą nieprzyjaźnią nie występował — nosił ją za pazuchą, dobywając tylko gdy mu jej było potrzeba.

Piotrowski miał drugi przymiot czy wadę niezwykłą. W tej epoce niezmiernej gadaniny, gdy połowa życia szlachcicowi upływała na popisach z retoryką. Ireneusz... nie prawił mów wiele, nie bawił się w Demostenesa... Gdy drudzy za długo, a nie do rzeczy pletli, tarł przerzedzone włosy, ciągnął ich za rękawy i szeptał:

— Konkludujcie...

Miano go za przebiegłego i chytrego, i był nim w istocie—ale i z tego nie szukał sławy—owszem pozornie udawał prostego, otwartego człowieka. Wioska jego, od wieków w posiadaniu rodziny będąca, zwała się Sasindwór, leżała nad Wisłą, a wpółtorej godziny mógł z niej na swej szkapie traktem dostać się do Sandomierza. Żona, kobiecina tak skromna, że najczęściej chadzała z głową prostą chustą związaną, nie sadząc się na czepce i forboty, pracowita gospodyni, milcząca jak mąż i jedna córeczka Jagusia naówczas mająca lat piętnaście, stanowiły jego rodzinę całą.

Żaden naówczas szlachecki najuboższy dworek nie zamykał się niegościnnie przed ludźmi, stał i Sasin dwór otworem, ale nie ucztowano w nim, bo Ireneusz jak powiadał, miał słabą głowę, pić nie mógł, nie lubił—i w pijanym towarzystwie stawał się smutnym.

Jedynym zbytkiem jego „chaty“ bo tak on swój skromny dworek nazywał, były—książki. Lecz z nimi też nie lubiąc się chwalić, trzymał je w swojej kancellaryi i więcej się taił niż chwalił. Ulubionem jego czytaniem byli rzymscy historycy. Gospodarzem był jak naówczas wszyscy, wedle starych podań i prawideł posługując się włodarzem, pilnując, aby się nic nie marnowało, ale niezbyt zabiegłym. W wielu rzeczach jejmość go zastępowała, bo gdy przyszły sejmiki, zjazd, narady, sejm—Piotrowski musiał—na służbą...

Tak sie on wyrażał o zajęciach sprawą publiczną.

Ustaloną miał tak sławę mądrego statysty u swej współbraci Sandomierzanów, że ona i do sąsiednich województw przeszła. W ogóle był to człek skromny i cichy. Ponurym jednak i nazbyt poważnym nie był— owszem śmiał się rad i czasem dowcipnie przyciąć umiał, a gdy się rozgrzał wyrażał się dosadnie—po szlachecku.

Pora była zimowa. Sanna się późno w tym roku usłała, ale tak wyborna i tak trwała, że się nią cieszyli wszyscy. Piotrowski siedział z Tacytem przy kominie, gdy jejmość zapukała i cicho oznajmiła:

— Masz jegomość gości...

Piotrowski książkę włożył do szafy, obciągnął, suknie i wszedł do bawialni w chwili, gdy ogromnych rozmiarów, okrągły jak beczka, rumiany, z siwemi wąsami szlachcic, rubasznie się śmiejąc bokiem się wciskał przeze drzwi, wołając:

— A co? gość nie w porę gorzej doktora!

Za okrągłym tym, tuż widać było dwóch znacznie mniejszej objętości, ale daleko słuszniejszego wzrostu ichmościów, z których jeden miał jasne jak len włosy, a drugi czuprynę czarną i wąs do góry sterczący.

Zaczęło się serdeczne powitanie.

IMPan Symeon Garwowski Cześnikiem się jakimś mianował, jasnowłosy Remigjan Zwolski Wojskim, a ostatni, czarny i tęgo rozrosły Namiestnikiem. Wszyscy trzej kość z kości byli Sandomierzanie.

Piotrowski ich ucałowawszy rozsadził, a wiedząc, że żona zna obowiązki gościnności o wódce i przekąsce w tej porze dnia, po przejażdżce niezbędnej — nie wspomniał.

Prym między gośćmi nie tylko tuszą, ale i znaczeniem trzymał Cześnik, który ciągle śmiał się i odchrząkiwał

— My do ciebie kochany Piotrusiu —odezwał się

po chwilce,—jak w dym! Kto nam poradzi, kto poprowadzi, jeśli nie ty?

Ireneusz słuchał ciekawie, ale cierpliwie.

— O cóż to idzie, kochany Cześniku?

Na skinienie Garwowskiego, który się już zmordował, podchwycił pan Namiestnik czarnowłosy:

— Jasna rzecz... jasna rzecz, kochany sąsiedzie, a toż to w kapturze jesteśmy. Elekcja za pasem... co my tu poczynać mamy?...

— Tak — przerwał Cześnik — obrać króla nie sztuka, ale się nie oszukać — w tem sęk. Panowie się już wszyscy zaprzedali kandydatom. Kondeusz ich złotem obsypał — Lotaryngski, Neuburgski... kat ich wie jak ich zowią. My o nich mało co wiemy, niechby się Sandomierskie nie zbłaźniło! hę? co?

Piotrowski milczał. W tem jasnowłosy p. Remigjan Zwolski mocno odchrząknął.

— Czy to trzodą mamy być, którą panowie pastuchy gnają gdzie chcą? Już nam to panowanie magnatów dało się we znaki. Oni to znowu nam sztukę chcą wyprawić.

— Jasna rzecz—przerwał czarnowłosy.

— Ale dajże mi mówić!—syknął białowłosy, który się poruszał z jakiemiś konwulsyjnemi drganiami.

— Ks. Olszowski pisze za Piastem—kończył— tandem może i racyę i ma. Chcieliśma francuza, ten drapnął... przyszedł po nim siedmiogrodzianin, wziął nas ostro w łapy... no! ale żołnierz był tęgi; nastąpił półjagielończyk, pół szwed, a cały niemiec... ten się modlił i stękał... zawichrzyło się! Obraliśmy synów dwu... Boże odpuść... Za ostatniego rzeczpospolita o mało nie rozpadła się... i ten w końcu koronę zrzucił—*non sum dignus*—a pocóż się jej napierał?

— Cóż tedy, znowu *a capite* francuza mamy sobie zaszczepiać? Nie dziwna to rzecz, aby naród jaki sobie wybierał ino cudzoziemców, których nie zna i którzy go nie znają?

Cześnik się rozśmiał głośno.

— Jak Bóg miły, jest racya.

Spojrzeli na Piotrowskiego, który milczał, a w tem się drzwi otworzyły i wyrostek wniósł na dużym blacie pokrytym serwetą flaszki i przekąski.

Sprawa elekcyi musiała na chwilę być odłożoną na stronę, bo *hora canonica*, mróz, zima... nakazywały się pokrzepić. Kalmusówka była doskonała.

Piotrowski przepił do cześnika i kieliszek poszedł koleją. Czarnowłosy go powtórzył, nie pytając. Siedli znowu.

Z piersi Garwowskiego dobyło się ogromne, tuszy jego odpowiednie westchnienie.

— Co wy o tem myślicie, Piotrusiu? — zapytał cześnik — czytaliście pewnie Olszowskiego?... hę... a jest skryptów i innych do licha.

Piotrowskiemu twarz zasępiona i zastygła z początku zaczęła się rozjaśniać. Obejrzał się po swych gościach, jakgdyby brał miarę ich dla zastosowania do niej odpowiedzi.

— Niech mu Bóg nie pamięta—zaczął kto nas temi elekcyami obdarzył. Mówiąc o nich, wyglądają bardzo pięknie; swobodny wybór najgodniejszego!... a tu w samej istocie wybiera przypadek, lub intryga, albo pieniądze. Przewidzieć kto zostanie wybranym nie potrafi nikt. Cztery czasem tygodnie leżym w polu, zmęczeni, głodni, stęsknieni za domami, naostatek krzyknie kupka ludzi nazwisko, a reszta za nią, aby się to raz skończyło. Więc *Deus scit* co nas czeka. Nie pochlebiajmy sobie, abyśmy na swoim postawili, ale jest jedna rzecz, której dokazać możemy, gdy zechcemy, że tych panów pokupowali, co jawnem jest, wyekskludujemy i naszych ichmość magnatów, co się sądzą wszechmogącemi, choć ich jest garstka, a nas tysiące... nauczemy, że my szlachta szaraczkowa jesteśmy też sobie—potęgą!

Wszyscy trzej przybyli ogromnie i z widocznem rozradowaniem wewnętrznem śmiać się zaczęli.

Garwowski ręce nabrzękłe zacierał.

— Toby dopiero była sztuka *ut sic!*

Towarzysze jego, jasno i czarnowłosy, nie mogli się wstrzymać od śmiechu.

— Tej sztuki my możemy dokazać—dodał Piotrowski—ale potrzeba iść zgodnie i gromadą. A nie dosyć nas Sandomierzan, choć my z Krakowianami zawsze przodem idziemy, drugie też województwa musiemy sobie pozyskać, aby szły razem, a że u nas gęby się szeroko otwierają rade, a w głowach często szumi, nie koniecznie wszystkim trzeba dawać inne hasło nad to jedno:—Szlachta kupą!

— Prowadzili nas magnaci nie jeden raz za sobą posłusznych, niechże choć ten raz idą za nami.

Wszyscy goście do najwyższego stopnia ożywieni aplaudowali. Namiestnik tak był rozgrzany, że jeszcze sobie nalał kieliszek dla ochłodzenia się i wychylił go.

— No—ale kogóż wybierzemy?—pytał Garwowski—bo w tem jądro rzeczy.

Piotrowski popatrzył na niego.

— Cześniku kochany — rzekł — mnie się widzi, że kto królem będzie, to prawie obojętna. Co król u nas może? Starostwa rozdawać i tytuły, więcej nic. Magnaci go obsiądą, oblegną i będzie musiał skakać, jak mu zagrają.

No ale nie przeczę, że dla zagranicy król coś znaczy, reprezentuje rzeczpospolitą, trzeba więc, aby miał choć postawę po temu.

— *Si fabula vera*—rzekł Garwowski—bo i wizerunki kłamią. Kondeusz wygląda rycersko, lotaryngski ładny mężczyzna.

— Kondeusz to Francya — rzekł Piotrowski — a ona nam już dokuczyła. Lotaryngski rakuskiego domu pokrewny, to *praeter propter* rakuszanin... a i to nie bardzo nam miły ród.

— Czyha na nas, jak na węgrów i czechów— dodał jasnowłosy.

— No - a Piast? - wtrącił namiestnik czarny.

— Piast! Piast! — rozśmiał się Piotrowski, pocierając czuprynę — żeby to można znaleźć takiego Piasta, z któregoby lędźwi wyszedł dla nas chrobry... ba! ba! ba!

Goście znowu chórem się śmiali.

— Niech sobie i Piast będzie — rzekł gospodarz—ale z nim przyjdzie wiele inkonwenjencyi... rodzina, kolligaci, nieprzyjaciele.

Tu chwilkę milczał i dokończył.

— A ja wam co powiem, nie łapmy ryb przed niewodem. Główna rzecz, panom się nie dajmy. Niechto będzie elekcya szlachecka, nasza.. a co do kandydata... los rozstrzygnie. Śmieli się raz na elekcyi, gdy ktoś krzyknął—Bandura!... ja zaś mówię—bodaj Bandura, aby nasz... a nie pański i taki, co sobie koronę kupuje.

Pokażmy, że ona, jeśli jest na sprzedaż, to nie u nas. Panowie niech nią frymarczą, jak chcą, my ją dajemy. Co Bóg natchnie.

Słuchali wszyscy z należytem dla Piotrowskiego poszanowaniem.

— Ja wam powiadam, mili bracia—powtórzył Piotrowski—trzeba się o to starać, aby szlachta stanęła jak jeden mąż... kupą. Na to trzeba sobie słowo dać i nad tem pracować.

— Zgoda!—zawołał cześnik—hasło tedy: szlachta kupą... a kto ją poprowadzi?

Piotrowski myślał i rzekł spokojnie.

— A Pan Bóg!

Cześnik skłonił głowę.

— I na to zgoda—szepnął.

— Nie przyjdzie nam to łatwo — ciągnął dalej gospodarz—bo panowie w niektórych ziemiach mają między szlachtą klientów, sługi i ujętych ludzi. Tego syn dworzaninem u wojewody, tamtego córka we fraucymerze kasztelanowej, a dzierżawy i dożywocia.

Zmarszczył się jasnowłosy.

— Przecież się nikt nie zaprzedaje za to—krzyknął—a tu nie idzie o małą sprawę, ale o gardłową... nam sumienia nic wiązać nie powinno.

— Śpiewamy do Ducha Świętego, *Veni Creator spiritus*—wtrącił Piotrowski, słuchajmyż Ducha a nie pańskich rozkazów.

— Szlachta kupą!

— Szlachta kupą! - chórem powtórzyli jasno i czarnowłosy. Cześnik milczał.

— *Tandem* — odezwał się po namyśle, gdyby z ekskluzją Kondeusza i Lotaryngskiego, dajmy na to, nie zostało nam nic tylko wybór Piasta... więc kogóż?

— Wierzcie mi, że to już wszystko jedno—rzekł Piotrowski, ma Piast za sobą wiele, ale ma i przeciwko sobie. Każdemu wybranemu z między równych, którego majestatowi jutro się trzeba pokłonić, będą zazdrościć—przeciw każdemu będą spiskować. Główna rzecz, aby żołnierzem był... reszta!..

Machnął ręką.

— Mówicie o Piaście -dodał jasnowłosy, a szlachta już na żarty sobie mężnego wojaka Polanowskiego z ust do ust podaje.

— Polanowski taki dobry jak i Lubomirski, skonkludował Piotrowski, ale się do tego przygotujmy, że królestwo będzie szlacheckie, musimy go wybrać z panów, dla tego, że ich wszyscy znają. Przecież i to była szlachta, tylko zdegenerowana.

Narada zaczynała ostygać.

— O kandydacie naszym dopiero na woli i koło szopy mówić będziemy—ciągnął dalej gospodarz - jądro w tem, aby szlachta pokazała, że ona coś może.

Na to nigdy lepszej nie wybierze godziny. Panowie sobie ułożyli, ukartowali wszystko, pewni są swego, pieniędzy nabrali, skórą żywego niedźwiedzia się podzielili, a my im pokażemy, że oni tu nie są gospodarzami—tylko my!...

Wyrazy te wymówione dobitnie, tak trafiły do

MUZEUM JIK ROMANOWA 334

przekonania, a raczej do miłości własnej przybyłych, iż się aż z krzeseł pozrywali, potakując gorąco.

Cześnik wskazał na Piotrowskiego, głowę przed nim uchylając.

— To nasz wódz i dyktator—rzekł—ale nie zapominajcie o tem, że jeśli się panowie hetmany, kanclerze, marszałkowie i t. p. dowiedzą zawczasu o naszem haśle—oni je w niwecz obrócą. W tem rzecz, aby robić co trzeba, a nie głosić nic.

Cześnik się zadumał.

— W tem sęk!—zamruczał—jakże ja mam nawracać, kiedy mi o mojej religii mówić nie wolno?

— Jak?... — przerwał gorąco Piotrowski. — Oto wprost tylko bijmy na panów i ich szachrajstwo, z tego samo z siebie wyniknie, że szlachta pójdzie swoim dworem i honorem. Wojna przeciwko magnatom, którzy nas za szuję mają i z tem się odzywają, wojna przeciwko przekupstwu i frymarkom. Dziś już wiadomo ile złota rozsypał król francuzki dla Kondeusza i Lotaryngii. Obiecuje, daje skąpo, ale podpisów jego i obligów dosyć jest po kieszeniach.

— Przeciwko panom!... w to mi graj!...—z okrutną gorącością porwał się jasnowłosy Wojski—przeciwko panom. Prepotencyi ich coraz rosnącej koniec położyć potrzeba. My krwawicą naszą i krwią naszą broniemy rzeczypospolitej, na nas ciężary spadają, a oni biorą żupy i na żupy asygnacye, *panis bene merentium*, starostwa, dzierżawy, tenuty, jurgielty... nas już mało nie w niewolników obrócili, czas się otrząsnąć... czas!

Chórem powtórzono:—Czas!!

Wszystkie twarze były mocno zarumienione. Piotrowski milczał.

Zbliżała się pora obiadowa i czarnowłosy powtórzył libacyę kalmusówką. Cześnik gumał, gospodarz wesół podżartowywał sobie z tych magnatów, przeciwko którym spiskował.

— Gdyby się nam udało zrobić im niespodziankę—powtarzał.

— Jak Bóg Bogiem zrobimy ją — wołał cześnik. — Prymas jest chytry, przebiegły, ale tchórz, gdy zadźwięczą szable szlacheckie, na wszystko przystanie. Trudniej będzie z hetmanem.

— Hę! — podniósł głowę namiestnik — z hetmanem byłoby trudno, bo żołnierz i wódz doskonały, ale jako statysta chodzi w spódnicy. Tu jego jejmość prowadzi... a to druga Marya Ludwika, tylko jej powagi nie ma. Nie obejrzy się jejmość, jak jej kandydat padnie.

— Kobiece rządy, mosanie—rzekł Piotrowski—choć się wam niedołężne wydają, głęboko sięgają i długo się czuć dają. Do dziś dnia nam panuje zmarła Marya Ludwika, wszystko, co widzimy, jej dziełem. Z jej ręki mamy Kondeusza, z jej wychowania panią hetmanową i Radziwiłłową, jej modą młodzież się ubiera, jej językiem wszyscy mówią i piszą. Daj Boże, aby obyczaj sprzedawania wakansów nie poszedł też dziedzictwem na dwór nowy.

Jeszcze tak gwarzyli, wyglądając już rychło do stołu oznajmią, gdy ogromne sanie przed mały ganek dworu się zatoczyły, porwali się wszyscy do na wpół zmarzłych okien. Gość to był znowu cale tym razem nie lada, bo sanie otaczała liczna służba i zwiastowała pana.

Skrzywił się Piotrowski, wszyscy spojrzeli się po sobie, w tem drzwi otwarto i w nich uśmiechnięty, ubrany wykwintnie, ale po polsku, ukazał się podżyły mężczyzna.

Był to pan kasztelan Sandomierski. Piotrowski mało go znał, a choć z jego wioskami sąsiadował, kasztelan u nich tak rzadko przebywał, iż się prawie nie widywali.

— Po pod bramą przejeżdżając pana brata—począł grzecznie, wsuwając się kasztelan, któremu towarzyszył słusznego wzrostu młodziuteczki brata-

nek — nie mogłem tego przenieść na sobie, aby go choć chwileczkę nie nawiedzić.

Śpieszę się bardzo, bo nam ten kaptur wiele do czynienia daje, ale choć pokłonić się chciałem.

Piotrowski przyjął pana z powagą, ale zarazem uprzejmością, kasztelan raczył usiąść, nie odmówił kalmusówki i przekąski, choć ciągle powtarzał, że mu się śpieszy, a w końcu, okiem rzuciwszy po zgromadzeniu, które zimno go i milcząco przyjmowało, zawołał:

— Cóż, *de publicis?*

Pytanie głównie było do gospodarza skierowane, który po krótkim namyśle odrzekł.

— Wszyscyby radzi jak najprędzej ów kaptur z głowy zdjąć, potrzeba nam króla.

— Święte słowa! — potwierdził kasztelan, bystro się oglądając — ale mnie się zdaje, że tak jakbyśmy go już mieli. *Unanimitate* przejdzie Kondeusz.

— A Lotaryngski? — spytał gospodarz.

Kasztelan się skrzywił.

— Zalecają go nam jako rycerza i wojaka, a no, my doma też mamy swoich hetmanów, którzy mu nie ustąpią. Więc to zaleta dla nas małej wagi. Nam trzeba takiego, coby wojsku miał czem zapłacić, to grunt. Kondeusz zaś w grosz zasobny, nikt się z nim mierzyć nie może.

Milczeli wszyscy. Piotrowski głową potrząsał i rzekł obojętnie.

— Myśmy, panie kasztelanie, statyści nie wielcy, oglądamy się na ichmościów, którzy wyżej siedzicie i widzicie dalej. Byle elekcya nas długo w polu nie trzymała, bo i konie i ludzie pochudną.

Ta odpowiedź wymijająca podobała się pono kasztelanowi, który ją przyjął uśmiechem wesołym.

— Na to jeden sposób jest — rzekł — niedługo czekając Kondeusza okrzyknąć.

— A cóż na to powie pan podkanclerzy? — mruknął cześnik.

Kasztelan ręką skreślił w powietrzu jakiś znak niezrozumiały.

— Podkanclerzemu się chciało drukować książkę — rzekł z przekąsem — i wydał cenzurę, ale ona się sama cenzuruje, boć Piast niemożliwy. Jest ich nadto, aby się jednego z nich wybrać mogło. A co nam Piast przyniesie? gdy obcy monarcha i pieniądze i aljanse i sojusze i pomocników dla rzeczypospolitej, skarb zasili.

To mówiąc powstał kasztelan, nikt mu nie przeczył. Dobył jajka norymbergskiego z za żupana, spojrzał na godzinę i natychmiast się począł żegnać.

— Waszmość, kochany sąsiedzie — dodał na wyjezdnem, zwracając się do Piotrowskiego — spodziewam się czasu elekcyi będziesz z nami. Sandomierzanie wszyscy za Kondeuszem.

Nie wyjechał jeszcze za wrota, gdy cześnik za boki się trzymając, powrócił do bawialni i zawołał.

— Trafił, jak kulą w płot!!

II.

Kondeuszowi zawczasu tryumfowali, tak się zdawało zapewnionem zwycięztwo. Książę Lotaryngski, którego poseł niewiele miał do rozdania pieniędzy, sypał obietnicami, wkradał się wieczorami do jeżdżących na dwóch stołkach przyjaciół, ale z każdym dniem mniej miał nadziei, aby mu się potężnego współzawodnika zwalczyć udało.

Pomijając to, że Vice-Rex ksiądz Prymas, który mówił głośno, że mu szło tylko o pana wiarę świętą katolicką w sercu mającego, dawno był dla

Kondeusza pozyskalnym, wszyscy dostojniejsi z nim trzymali.

Michała Tomasza Wiśniowieckiego, którego podkanclerzy zalecał, nikt nawet za kandydata nie liczył.

Cała ta gałęź dawnego jagielońskiego rodu, zdawała się fatalnością jakąś na uschnięcie przeznaczoną. Nie zbywało jej na ludziach, ale nie miała szczęścia. Najlepszym tego dowodem był niedawno zmarły Jeremi, jednym jeden wódz, który umiał kozaków gromić, i wrazić im trwogę, — mąż wielkiej cnoty, powagi, surowości obyczaju, poświęcenia bez granic—zmarły bez zasłużonej buławy, odarty z ogromnych posiadłości na Rusi, licho za ofiary wynagrodzony, zapłacony niewdzięcznością — który po sobie zostawił rodzinę prawie w ubóztwie. Syna na łasce dworu wychowującego się, wdowę łaską Lubomirskich i Zamojskich utrzymującą się w bardzo skromnym bycie.

Życiem ofiarnem ów Jeremi, o którym powiadano: *calamitas patriae lamentatio Jeremiae* — zarobił sobie tylko jedno—zazdrosnych i nieprzyjaciół.

Rycerstwo miłowało go i cenić umiało, bo go widziało na czele swojem nietylko wodzem ale żołnierzem, często bez zbroi, w prostym kaftanie rzucającym się na nieprzyjaciela.

Jako wódz miał on szczęście wielkie, jako człowiek obudzał zawiść i niechęci. Prawda, że ani dworactwem, ani pochlebstwy serc sobie nie pozyskiwał. Był to mąż niezłomny. Jan Kaźmierz, którego jątrzono przeciwko niemu, poznawszy go lepiej, już serce swe skłaniał, gdy przestrzeżono go, że Wiśniowiecki mu hetmaniąc, całą sławę i zasługę zwycięztw odbierze.

Wszystko czem go los dotknął, przeniósłszy ze stoicyzmem wielkiej duszy, Jeremi boleć tylko musiał nad losem syna, który na łasce ludzi odumierał.

Opiekowano się nim dla tego wielkiego wspo-

mnienia ojca. Książę Karol brat króla, królowa Marja Ludwika czuwali nad nim... naostatek miał świętą niewiastę, matkę, w której żyłach płynęła krew wielkiego hetmana i kanclerza Zamojskiego.

Wychowanie domowe, nie starczyło dla dziedzica wielkiego imienia, młodego Michała wyprawiono za granicę, umieszczono go na cesarskim dworze. Opiekunowie więcej nadewszystko dbali o to, aby mu nadać tę ogładę, polor, znajomość języków, umiejętność znalezienia się na dworze i wśród najwyższych stref społecznych—która książęciu z domu panującego niegdyś, była potrzebną.

Michał też, żywy, pojętny, ale razem łagodny i łatwy — dał z siebie uczynić co chciano. Stał się jednym z najprzyjemniejszych młodzieńców swojego czasu, i powierzchowność jego na najświetniejszym dworze mogła być pożądaną.

Kilku językami mówił z wprawą i łatwością, lubił i umiał się ubierać ze smakiem, którego mu zazdroszczono, jednał sobie serca grzecznością wyszukaną, najlepszego tonu.

Rozumie się, iż wszystko to, czego wymagało wówczas wychowanie panicza, przyswoił sobie w wysokim stopniu. Doskonały jeździec, władający również zręcznie szpadą i pistoletem — nikomu się nie dał w tych ćwiczeniach wyprzedzić.

Lecz... wszystko to, co go czyniło najmilszym z młodzieży na dworze Cesarza, co w kraju odznaczało go pomiędzy arystokracją polsko-litewską, ta powłoka jasna i piękna—nie wiadomo co kryła.

Michał nie odznaczał się niczem najsilniejszem, nie ciągnęło go nic, ani rycerstwo, ani nauka, ani nawet zajęcia urzędowe, które stopniami do wyższych dostojeństw prowadziły. Był to człowiek spokojny, zrezygnowany, pobożnością matki nauczony nie żądać wiele od przyszłości, losem ojca rozczarowany—i nie spodziewający się od przeznaczeń nic więcej może nad połączenie z jakim do-

mem możnym, któryby go wyzwolił z położenia w sprzeczności z imieniem i spadkiem po przodkach.

Czasu zbliżającej się elekcyi, która napełniła stolicę rodzinami możnemi, kwiatem arystokracyi ówczesnej, matka księcia Michała przybyła także do Warszawy z synem i mieściła się w starym dworze przy Miodowej przecznicy.

W owych czasach, gdy po przeniesieniu stolicy do miasta Sejmowego Warszawy, w początkach panowania Władysława IV, wszyscy panowie zakupywać zaczęli place, aby się około dworu skupić, gdy powstawały przepyszne pałace Kazanowskich i Ossolińskich. Wiśniowieccy też nabyli mieszczańską własność z placem, na której po pańsku budować się mieli. Przyszły potem ciężkie czasy, utrata owych dóbr na Rusi, które stanowiły całe mienie Jeremiego i dwór, w pierwszych czasach po nabyciu trochę zagospodarowany pozostał już takim, jakim go ruina znalazła...

Nie był wszakże tak opuszczonym i nędznym, aby wdowa po Jeremim i syn jej mieścić się tu i niewielu przyjaciół i krewnych przyjmować niemogli. Nie było wprawdzie ani sal ze sztukateryą złoconą, ani kolumn marmurowych, ani tych posągów z bronzu i marmuru, któremi przed wojną szwedzką i przed spustoszeniem Radziejowskiego, odznaczał się ów sławny pałac Kazanowskich – ale komnaty ze staroświecka były urządzone po pańsku. Ściany okrywały obicia jedwabne i skórzane, sprzęt był rzeźbiony, stare kobierce wschodnie wyściełały podłogi.

Tu Gryzelda Wiśniowiecka spędzała ciche godziny wdowiego życia, niekiedy rozjaśnione przybyciem córki lub syna. Zubożenie nie odejmowało domowi Korybutowiczów blasku ich krwi należnego. Byli to zawsze potomkowie Jagiellonów niewątpliwi, gdy inne rody książęce wiodły się albo od książąt ruskich, lub od gałęzi, których pochodzenie było wątpliwem i niejasnem...

Życie w tym dworku nizkim, przy bardzo nielicznej usłudze, szczupłej liczbie koni, zupełnem pozbawieniu tego co świetniej występować pozwalało—nie mogło zaspokoić młodego Wiśniowieckiego, który lubił wytworność, potrzebował dla towarzystwa, w którem bywał stroić się i ukazywać świeżo... Ofiary matki pomoc Lubomirskich zaledwie starczyły na najskromniejsze utrzymanie się godne imienia... Ale przez tę elegancyą obrachowaną ściśle, widać było niedostatek... Dwór i dworzanie Sobieskiego, Paców, Potockich, a nawet mniej znacznych rodzin gasiły i na szary kąt spychały księcia Michała. Trzeba to było znosić z pogodną twarzą, aby nie dać poznać jak bolało...

Przyszłość, starania szwagra Lubomirskiego obiecywały to zmienić.

Tymczasem nic skromniejszego wśród pańskiego świata nie było nad dwór i służbę księżnej Gryzeldy... Ona tylko sama wielką powagą męczennicy obudzała poszanowanie...

Zresztą wszystko to było resztkami przeszłości, barwy sług wytarte, kolebki, które deszcze spłukały i wyblakowało słońce, sienniki stare, służba siwa... a że cała ona prawie pochodziła z Rusi, miała znamię jakieś ukrainne i kozacze. Gdy po innych dworach i pałacach życie płynęło prądem podbudzonym aż ku płochości—na galanteryi, zabawach, muzyce, tańcach... i czytaniu romansów francuzkich, tu panowała cisza niemal klasztorna, pustka jaka otacza zawsze niemal nawet najczcigodniejszą ruinę.

Ludzie się nigdy nie cisną ku mogiłom, zwracają się ku życiu... a jeżeli ich obowiązek napędzi ku nim, nie trwają długo. Księżnie Gryzeldzie przychodzili się wszyscy pokłonić, ale nikt tu nie bawił długo. Młodzież odwiedzała księcia Michała, ale się nie zasiadała u niego—tęskno tu było i smutno.

Oprócz młodziuchnej panienki z rodziny Zebrzydowskich, spowinowaconej z Zamojskiemi i staruszki ochmistrzyni z lepszych czasów, księżna nie miała przy sobiego nikogo.

Zebrzydowska — rodem i imieniem należała do tego możnego domu, którego potomek za Rokosz zapłacił Kalwaryą imię jego nosząca, ale sierotką była ubogą, w dzieciństwie wzięta przez księżnę i stała się dla niej jakby własną córką, gdy jej zabrakło za mąż wydanej. Obie one przywiązały się do siebie, nawykły być razem i w myśli nawet nie przypuszczały, aby się kiedy rozłączyć mogły. Helena, którą przybrana matka zwała poufale Helą, była bardzo pięknem dziewczęciem, ale sieroctwo własne i to obcowanie z poważną, smutną, pobożną wojewodziną uczyniło ją zawczasu dojrzałą i odebrało jej wdzięk naiwny młodości. Świeża, młoda na wejrzenie,— w obejściu się, ruchach, mowie miała coś nad wiek swój poważnego, zapożyczonego od księżnej. Obcując z nią, mimowoli przejęła jej cały obyczaj,— i rzadko kiedy po ustach Heli prześliznął się uśmieszek; nie znała pragnienia zabaw, nie była ciekawą ani ludzi, ani świata. Nie mówiąc jej nic o tem ks. Gryzelda myślała, że stworzoną była na zakonnicę. Obie one były bardzo pobożne—a jednakże nie w ten sposób jak inne... Księżna czytała więcej niż się modliła, a ściśle dopełniając religijnych obowiązków, do drobnostek nie przywiązywała wagi zbytecznej.

Z domu dziada wyniosła przekonanie, iż tolerancya była powinnością miłości chrześciańskiej—nie wahała się też obcować z dysydentami, których w innych domach naówczas przyjmować się wzdragano.

Wychowana przez księżnę, Hela Zebrzydowska była odmłodzonym jej wizerunkiem. Skromna i cicha, choć swej przybranej matce, której wychowanie było bardzo staranne i niemal męzkie, winna była i umiejętność kilku języków i zamiłowanie w czytaniu i oswojeniu się z zadaniami, które nie wchodziły w zakres

kobiecej działalności—nie wydawała się z tem, była skromną i wogóle milczącą...

O lat dziesięć prawie młodsza od księcia Michała, naprzód lubiona przez niego, jak miła dziecina, zwolna dorosła do stosunków ukochanej siostry, istoty sympatycznej, do życia mu potrzebnej. Z natury swej dosyć zamknięty, nie zwierzający się łatwo, smutny książe Michał przed matką tylko i przed Helą mógł otworzyć serce i wyspowiadać się z myśli. One jedne go rozumiały...

A Hela!—rosnąc tak z oczyma wlepionemi w tego tęsknotą obleczonego, pięknego, poważnego młodzieńca, przywiązując się do niego bratersko naprzód, w końcu całem sercem, duszą, sama niewiedząc jakiem uczuciem zapłonęła dla niego. Nie rozbierała ona tej miłości swej, ani się w niej domyślała namiętności, gdyż w jej uspokojonej duszyczce, — żadne uczucie dotąd nie przechodziło do tego stanu wrzenia... namiętność była jej nieznaną.

Księżna ani się domyślała, ani przypuszczała, żeby między tem przybranem rodzeństwem, więcej coś nad miłość siostry dla brata powstać mogło.

Tymczasem książę Michał, który był młodym, czuł potrzebę kochania; w towarzystwie, w którem się obracał płoche tylko miłostki spotykał, w jednej Heli widział ideał kobiety, któraby szczęście dać mogła... Nigdy jednak ani myślał, ani przypuszczał, aby uboga kuzynka mogła go pokochać, albo on się w niej wedle pojęć ówczesnych tego świata, w którym się obracał rozmiłować jak Koloander i t. p.

Smutną przyszłość własną miał przed oczyma, bo nieraz Lubomirski, czasem książę Dymitr mówili mu o niej. Potrzebował się ożenić bogato dla podniesienia rodziny, szukano mu tej narzeczonej, a że rodem stał na równi z najwyżej położonemi, miał prawo sięgnąć wysoko.. Wychowanie nader wykwintne, powierzchowność bardzo miła, choć na one

czasy, nieco sztywna—naostatek umysł wykształcony, a życie surowe zalecały go najwybredniejszym.

Ale matka nie chciała się śpieszyć z ożenieniem syna.

Książę Michał, który mało miał przyjaciół męzkich, bo młodzież odstręczała jego powaga i ubóstwo, gdy powracał do domu, po zdaniu sprawy matce z tego na czem spędził ranek, poufalej potem wywnętrzniał się przed Helą z tego, co widział i słyszał.

Było to dla niego potrzebą, a piękna kuzynka słuchała z zajęciem opowiadań nawet o toaletach paryzkich księżnej Radziwiłłowej i pani marszałkowej Sobieskiej.

Ostatniej — nie lubiła księżna Gryzelda i wcale się z tem w kółku swojem nie taiła. Był to wstręt zarazem instynktowny i oparty na tem, co słyszała i wiedziała o tej wychowanicy Maryi Ludwiki.

Przypisywano jej też wygórowaną ambicyę, ale daleko śmielsze, niemal zuchwałe dobijanie się majątku i znaczenia. Wyjście za mąż za starego Zamojskiego, mimo naówczas już rozpoczętych miłostek z pięknym Sobieskim, pożycie z nim, o którem się różnie wyrażano, potem powtórne śluby — zaplątanie w intrygi Kondeuszowskie, panowanie samo ułudne nad rozmiłowanym mężem, a zalotność uderzająca w obejściu się z innemi — nie czyniły ją surowej księżnie sympatyczną; ale sąd bezwzględny, potępienie—nie wyszło nigdy z ust księżnej. Gdy mówiono o przepięknej, czarującej marszałkowej — milczała. To było oznaką, że mówić na jej pochwałę nic nie mogła lub nie chciała. Zmuszona, chwaliła zwykle tylko wielki smak w strojach, któremi się piękna Marya odznaczała... Książę Michał, który ją widywał i spotykał często, nie był też zachwycony pięknością, nie osłaniającą i nie zaślepiającą na charakter tej Armidy, żywy do zbytku, despotyczny, kapryśny, chciwy panowania.

Była to jedna z najgorliwszych stronniczek Kondeusza, o której powiadano, że wszystko prowadziła, a męża miała tylko dla spełniania swych rozkazów.

W dworku księżnej Gryzeldy była ona prawie nie widywanym gościem.

Przyjemności w towarzystwie smutnej wdowy, żywa i wesoła pani znaleźć nie mogła, a wpływu ani pomocy od Wiśniowieckich się nie spodziewała. Zdala spoglądała czasem na pięknego księcia Michała, którego strój francuzki się jej podobał — ale nie wabiła go ku sobie. Na nic się jej przydać nie mógł.

Marszałek Sobieski nie miał też czasu i sposobności zbliżania się do rodziny nieboszczyka Jeremiego, z którym młodziuchny jeszcze walczył nieraz w jednem polu. Nie było naówczas czynniejszego, więcej zaprzątnionego, poruszającego się żywiej człowieka nad niego... Wybór Kondeusza, do którego pomagał Prymasowi i żonie całą duszą, sprawy wojskowe, które go pociągały i zajmowały, starania o majętności, które na bardzo wystawne życie nie starczały — tak czas zapełniały Sobieskiemu, iż zdawał się nieustannie spieszyć i ledwie módz wszystkiemu wydołać.

Wśród tego zamętu, który elekcją przygotowywał i poprzedzał, książe Michał grał rolę bierną. Matka nie chciała, aby się zupełnie usunął, był bezczynnym. Lubomirski życzył go też mieć przy sobie — ale on sam,—skazany niezamożnością swą na stanowisko bardzo podrzędne, — nużył się tem poruszaniem bez myśli i ochoty.

Wybór nowego pana, dość był obojętnym księżnej matce,—uważano tu Kondeusza jako na pewno już przeznaczonego do korony, Lotaryngski i hamburgski krzątali się jeszcze, jak sądzono—nadaremnie... Posłowie tych kandydatów urzędowi i nieumocowani, zabiegali wszyscy jednając sobie przyjaciół, książe Michał miał imię piękne, lotaryngski więc i hamburgski zbliżyli się do niego, aże naówczas tak było w obyczaju

kupować głosy, iż nikt z tego nie czynił tajemnicy, hr. Chavagnac ośmielił się małym datkiem pozyskać sobie księcia Michała.

Książe bardzo dobrze wiedział, że się tego mógł spodziewać, nie mniej jednak mocno się zmięszał. Chavagnac widząc to usiłował go przekonać, że obyczaj był tak przyjęty, tak jawny—tak nikomu krzywdy nie czyniący, iż odmowa znaczyłaby chyba wypowiedzenie wojny. Zręczny francuz zmusił niemal do przyjęcia ofiary.

Powróciwszy z nią tego dnia do domu, książe Michał nie miał odwagi przyznać się matce, ale naprzód poskarżył przed Helą, której rumieniec nagły mógł zaświadczyć jak przykro jej było się o tem dowiedzieć.

Załamała białe rączki, oczy jej po chwili zaszły łzami.

— A! zawołała—i ty wziąłeś?!

— Musiałem — odparł kwaśno książe Michał — inaczej bym sobie nieprzyjaciela w nim zrobił.—Powiedział mi wręcz, że gdy Hetmanowie, Marszałkowie, Prymas ofiary przyjmują, które żadną tajemnicą nie są—ja nie mogę odtrącić... datku, który niemal stał się obowiązkowym.

Hela milczała.

— Księżnie — rzekła cicho — chyba lepiej o tem nie wspominać—gdy Sobieski, Lubomirscy, Potoccy przyjmują, może to wcale im nie uwłaczać—choć dla mnie wydaje się dziwnem — są bogaci, ale my... ale my... ale ty...

Spuściła nie kończąc oczy.

— Jest to rodzaj obowiązania się i zaprzedania—dodała—cóż gdy potem sumienie nie dozwoli popierać kandydata?

— Chavagnac mi to tłumaczył, że do niczego więcej obowiązanym nie jestem, oprócz, że przeszkadzać nie będę—dodał książe Michał. — Jest to dla

mnie rzecz nader łatwa, bo ani pomódz, ani zaszkodzić, gdybym chciał—niepotrafię.

Uśmiechnął się smutnie.

— Zresztą—rzekł po małym przestanku z twarzą, która się rozjaśniać zaczęła—maleńki ten przypływ do mojego szczupłego skarbca, jest bardzo pożądanym. Miałem wielką, wielką ochotę i potrzebę sprowadzić sobie ubranie z Paryża wprost... a było mi trudno... mam nawet zręczność.

— Wiem, że to słabość twoja—odezwała się cicho Hela — ale w twym wieku i przy stosunkach, ciągle zmuszających bywać w tym eleganckim świecie.

Książe Michał westchnął.

— Na cesarskim dworze nawykłem do tego — odezwał się... tłumacząc.

— A!—odparła wesoło Hela — wiem od księżnej, że od małego chłopięcia miałeś to upodobanie w wytwornych sukienkach i ładnych gałgankach... Co to za smutna rzecz, że wszystko tak drogie.

Książe Michał brał przedmiot rozmowy bardzo na serjo i dodał przejęty nim.

— A tu, u nas, w kraju, ani w Krakowie, ani w Warszawie sukni francuzkiej, choćby podług najlepszego wzoru, nie potrafią tak uszyć, ażeby pochodzenia nie zdradzała. To co przychodzi z Paryża, nosi na sobie takie piętno smaku i elegancji, że niepodobna się nie zachwycać — człowiek inaczej wygląda w tym stroju.

Hela słuchała z oczyma smutnie jakoś spuszczonemi, jak gdyby przykro jej było tej słabości kuzyna, zeznanie z własnych ust jego, powtórzone słyszeć.

Książe Michał zaś z taką naiwnością mówił o stroju, który lubił, jakby w upodobaniu jego nie widział nic ani dziwnego, ani mężczyźnie uwłaczającego.

Zwolna dobył z kieszeni rulon złota... i podsunął go ku Heli.

— Ty pewnie także potrzebujesz—odezwał się—podzielę się z tobą chętnie.

Z niezmierną żywością, prawie przestraszona Zebrzydowska odepchnęła rulon, który się potoczył do rąk księcia Michała.

— Ja!!—zawołała—ja! mam wszystkiego z łaski księżnej aż do zbytku! Na cóż bym ja pieniędzy potrzebować mogła!

— Ty bo najmniejszej wagi nie przywiązujesz do ubrania—z pewnym rodzajem wymówki począł książe Michał, a jednak... ubranie, szczególniej dla kobiety.

Hela się uśmiechnęła.

— Tak, rzekła, są panie, które nic nie robią tylko się rozbierają i ubierają i o niczem nie myślą oprócz stroju, ale ja do tego bractwa nie należę.

— Na czele tych pań co się ubierać umieją—odezwał się Michał, stoi marszałkowa Sobieska. Gasi ona wszystkie inne swemi strojami paryzkiemi.

— No, i pięknością,—wtrąciła Hela, a gdyby jeszcze miała choć trochę wdzięku i uroku!... ale właśnie na tych jej zbywa... Jest w tej pięknej twarzy coś tak ostrego, że się jej obawiać prędzej można, niż rozmiłować.

— Przypomina obejściem się nieboszczkę królowę—dodał Michał.

— Z tą różnicą—szepnęła Hela—że tamta o wiele milszą być umiała gdy chciała.

Zadumany tem Michał zdawał się już rozmyślać o paryzkich sukniach, które chciał sprowadzić. Była to dla niego najważniejsza sprawa w tej chwili. Hela odgadywała z łatwością, co go tak zaprzątało. Książe Michał rozrachowywał zapewne koszta tego odświeżenia swej garderoby, gdy powolnym krokiem weszła księżna matka, a rulon zniknął w ręku księcia, który ją przyśpieszył powitać z poszanowaniem.

Pomimo nadzwyczaj skromnego wdowiego, czarnego stroju—którego małżonka niegdyś sławnego Jeremiego niezrzucała — była to postać majestatycznej powagi, a mimowolnie nakazująca poszanowanie. Na lekko pomarszczonem licu, wyrazistem, ale nie pięknem, leżał niezamącony niczem spokój chrześcijański, chociaż boleść się przez niego przebijała. Siwe włosy otaczały oblicze zwiędłe pełne jeszcze energii i życia.

Zobaczywszy syna, uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła rękę, a pocałowała go w głowę.

—Helo kochana — rzekła — niewiem czy Michał jadł śniadanie. Młody jest i potrzebuje więcej niż ja, a nawet więcej niż ty, choć młodszą jesteś od niego; jest mężczyzną, musi być czynnym.

Gdzież dziś?—dodała pytająco.

Książe Michał zamyślił się nieco, jakby chciał sobie przypomnieć dnia program.

— Zawsze toż samo—rzekł—książe Prymas jest w mieście, mieszka u OO. Jezuitów, obok ś. Jana, muszę być u niego, potem tuż blizko wstąpię do Lubomirskich, a dalej, nie wiem prawdziwie. Pociągną mnie zapewne z sobą.

— Choćbyś się miał znudzić i zmęczyć — dodała matka siadając przy stole na podsuniętym jej przez Helę z pomocą syna krześle — potrzeba się pokazywać wszędzie, nie dać o sobie zapomnieć, aż nadto jesteś cichy i skromay.

Książe Michał spuścił oczy, nie chciał powiedzieć matce co myślał, że niewszędzie się mógł pokazywać, bo go lada półpanek bez imienia, lub świeżo wyszlachcony cudem albo przywilejem cesarskim kupiec królewski mógł dworem, strojem i wystąpieniem zaćmić.

Szczególniej tych bogatych dorobkiewiczów, urosłych z frymarku złemi pieniędzmi na Szlązku bitemi, wprowadzonemi do polski, krakowski rynek

i krakowska szlachta liczyła wielu, wytykano ich palcami, ale mieli imiona ogromne ponabywane, żenili się ze szlachciankami czystej wody—jeździli poszustno, i choć szlachta surowszej obserwacyi sarkała, już wśród niej zdobyte miejsca zajmowali.

Księżna Gryzelda chwilę siedziała milcząca. Tym czasem piękna Hela zajmowała się przekąską, którą dla księcia Michała podać miano. Matka znała tę drobną słabość syna, który lubił jeść, a jako zdrów i młody jadał ochoczo i dużo. Sprawiało jej to przyjemność patrzeć jak z chłopskim apetytem, wedle jej wyrażenia, które Hela na rycerskie zamieniała, syn o każdej dnia godzinie gotów był się odżywiać.

Było w tem coś niemal dziecięcego, bo jedząc książe Michał zapomniał o wszystkiem.

— Na tę elekcyę nieszczęsną odezwała się pomilczawszy księżna matka — ty jeszcze wiele będziesz potrzebować. Radabym ci pomogła.

Książe podniósł głowę od talerza, nad którym siedział zwieszony i chciał w pierwszej chwili potwierdzić zdanie matki, ale się wstrzymał widząc ją zakłopotaną.

— Ale rzekł—nie sądzę abym potrzebował bardzo występować. Wszyscy wiedzą że nam kozactwo odebrało cośmy mieli.

— A! tak—i zubożenie takie jakie dotknęło ojca twego, nas, raczej jest chlubą niż wstydem. Nie straciliśmy ojcowizny, — Jeremi złożył ją w ofierze ojczyźnie, która mu długo nie wypłaciła. Możemy być dumni z tego że ty dziś skromnie zmuszony jesteś wystąpić. Nie mniej krew jagiellońska w twych żyłach płynie; a spojrzawszy na ciebie, każdy ją w szlachetnych rozpozna rysach.

Ale—są rzeczy niezbędne—dodała księżna po małym namyśle—konie, które tyle kosztują, trochę więcej sług—co do niczego nie służą—no—i barwa nowa dla nich.

— A i na liczną i bardzo potężną czeladź, odezwał się książe Michał, napróżno by się sadzić było, sądzę że dosyć będzie gdy ja tam wystąpię, jak synowi Jeremiego przystało, a mój orszak szczupły.

— Te konie, konie!—westchnęła matka—mieliśmy najpiękniejsze stada, Nawet Koniecpolskich konie się równać nie nogły z naszemi—a teraz.

Wojny są na nic mordercze — dodał książe Michał—ja dla siebie mam ich kilka wcale pokaźnych, a dla czeladzi.

Nastąpiło milczenie. Księżna Gryzelda zapytała o dzień wczorajszy—i rozmowa byłaby się przeciągnęła, gdyby nie wszedł młody paź, przyjaciel księcia, który z galanterją francuzką, i on bowiem nosił się modą cudzoziemską, pośpieszył powitać gospodynią domu.

Gość był wesół, miał twarz nie piękną, choć młodą, ale rozpromienioną, ożywioną szczęśliwego człowieka, któremu na niczem nie zbywało. Myśli też jego w kółku zaczarowanem powszednich rozrywek się obracały.

Wiedział najlepiej, gdzie dnia tego miał być obiad dla dostojniejszych, a u kogo wieczorem *conversazione* i zabawa z tańcami. Jak wszyscy Pacowie współcześni i ów powagą kanclerza Krzysztofa wsparty, czuł się silnym. A dawał to czuć tym z któremi raczył obcować. Za wielką łaskę tej rodziny tak wielkiego wpływu i znaczenia musiała księżna liczyć, że młody Starosta synowi jej okazywał życzliwość i żył z nim na przyjacielskiej stopie.

Przyjmowano go też tu z oznakami wielkiego poszanowania, do którego wiek mu niedawał prawa.

Jedna Hela Zebrzydowska najmniej okazywała uprzejmości dla butnego, zbyt śmiałego i dumnego młodzieńca.

Paziowie stali jeszcze naówczas całą rodziną, a tej zastęp był niemały, z Kondeuszem litewskim na czele, z Prymasem i Sobieskim razem przy Kondeuszu. Ale współzawodniczący z niemi o znaczenie,

czynny Sobieski i jego żona już im niemiłemi być zaczynali. Nie dawało się to jeszcze widzieć jawnie, lecz potajemnie już się do wybuchu gotowało.

Na Litwie zawadzali im potęgą lwią i wpływem Radziwiłowie, z któremi walka głucha już się wywiązywała,

Nie dziwiła się więc może księżna Gryzelda gdy młody Pac, rozpocząwszy rozmowę, z przekąsem pewnym odezwał się o marszałkowej Sobieskiej i o jej mężu. Należeli wprawdzie do jednego obozu, lecz przewidywać łatwo było lada najmniejsze rozdrażnienie, pociągnie za sobą wojnę.

Z ożywionych opowiadań młodego Paca, sympatye jego i wstręty, nie zbyt ukrywane, na jaw wychodziły. Często szczególniej potrącał o Radziwiłłów.

— Nie radziłbym bardzo księciu Kondeuszowi, a nawet i na Sobieskiego... Podejrzewam ich, że dla tego tylko, aby moc swą okazali, gotowi się przerzucić do przeciwnego obozu.

— A cóż wy, panie starosto — odezwała się gospodyni—zowiecie obozem przeciwnym? Wątpię, aby szczupła garstka przyjaciół Lotaryngskiego i Neuburga na to nazwisko zasługiwała?...

— Dziś, nie—odparł Pac—lecz gdyby jakiś niespodziany wypadek, czego się nie spodziewamy, zachwiał wyborem Kondeusza, wówczas Lotaryngski stanie na kandydatów czele

Rozśmiał się Pac.

— Radziwiłłowie jedni pójdą z Neuburgskim!

— Do tego przyjść nie może—wtrącił książe Michał—aby przygotowanej tak troskliwie elekcyi Kondeusza, mogło coś stanąć na przeszkodzie!

Pac poruszył ramionami.

— Bóg wie—odezwał się obojętnie - chodzą śmieszne pogłoski. Są ludzie, którzy utrzymują, że nasza szaraczkowa szlachta zazdrosna o to, iż my pana prowadzimy sami, chce stanąć do walki z nami

i szuka Piasta, aby go przeciw Kondeuszowi podniosła. Piasta—śmiał się ciągle młody Pac — ciekawym kogo mają na myśli?.

Księżna niedowierzająco poruszyła ramionami.

— Są to niedorzeczne plotki—rzekła.

— My wszyscy nie ścierpilibyśmy jednego z pośród nas na tronie—dodał Pac. — Dałoby to jednej rodzinie przewagę... wywołaćby mogło wojnę domową. Za Zygmunta Augusta nie chciano na tronie nawet kobiety Radiwiłłównej, cóż dopiero króla z pośrodku równych nagle tak podniesionego.

Chwilę jeszcze rozmowa toczyła się przy stole, ale starosta wstał, pożegnał się z księżną i, ująwszy pod rękę księcia Michala, wyszedł z nim do jego pokojów.

Mieszkanie to, które miłość macierzyńska i ręka siostry starały się przyozdobić i upięknić, w istocie było najwytworniejsze, częścią starego dworu. Cały pokój jeden obwieszony był zbrojami, po części wschodniego pochodzenia i starożytnym orężem... w sypialni księcia Michała, obok spartańskiej prostoty majątek, po ojcu odziedziczonych, błyszczały z zagranicy przywiezione cacka, w których książe Michał zdawał się znajdować upodobanie.

Pac upadł na wysłaną skórą ławę i żywo mówić począł.

— Wszystkim nam staje się nieznośną ta francuzka, która tu sobie chce dawać tony królowej. Ona prowadzi Kondeusza, ona dyktuje posłami co ma czynić; ona i tylko ona wszędzie... Prymas nawet schyla przed nią głowę. Dopókiż to tego będzie?

— Zapewne aż do elekcyi—rzekł Michał.

— Ale ona zechce tak władać przyszłym królem, jak rozporządzała temi co go prowadzą... My tego w końcu nie ścierpiemy, Radziwiłłowie są jawnemi nieprzyjaciołmi naszemi..., a ci trzymają z Sobieskim.

Książe Michał chłodno poprawił.

— Z marszałkową Sobieską!

— Masz słuszność, ten śliczny Celudon, jest dotąd w takiej adoracji przed swem bóztwem, iż słucha jego skinienia... Prawda, że piękna Marja nie popsuła go miłością wielką ze swej strony, i dla innych ma uśmiechy daleko czulsze niż dla męża.

— Daje mu czuć jak wielką łaskę czyniła wychodząc za niego, szepnął książe Michał. Sobieski jej winien wszystko.

Pac przerwał opowiadaniem złośliwem o nadzwyczaj poufałych stosunkach Marszałkowej z francuzami. Przesunęły się potem w ciągu rozmowy wszystkie obiegające towarzystwo plotki... Książe Michał słuchał ich obojętnie, widać było że tego życia był tylko widzem, czynnie się nie mięszając do niego, gdy Pac gorący we wszystkiem brał udział.

Po krótkim spoczynku Michała, Pac wstał ale nie dozwolił zostać mu w domu i pociągnął go z sobą. Wiśniowiecki był mu potrzebnym do orszaku i na pokaz, tak samo, jak niegdyś książętom Ostrogskim kasztelan lub wojewoda na marszałka ich dworu.

Razem więc wyjechali z dworku przy Miodowej przeczniczy młodzi kawalerowie i rozpoczęli cały długi szereg odwiedzin, po domach w których Pac chciał się pokazać, a książe Michał towarzyszyć musiał przyjacielowi.

III.

Była wiosna—czas na elekcję oznaczony się zbliżał, a Prymas najczęściej przebywał w Łowiczu, dokąd codziennie zjeżdżali się wszyscy przyjaciele Kondeusza.

Po twarzach i z humorów gości można było zmiarkować łatwo iż sprawa francuzkiego kandydata stała jak najpomyślniej. Prymas przed poufałemi otwarcie wyznawał, że pewnym był wyboru.

Zawczasu już rozporządzano wakansami jakie w czasie pomiędzy konwokacją a elekcją się odkryły lub mogły być spodziewanemi.

Stary Prażmowski rozdawał je po naradzie ze swemi pomocnikami, nie wątpiąc iż woli jego zadość się stanie.,. Pomimo tej pewności, czuwano jednak, i Prażmowski codziennie odbierał wiadomości z prowincji o usposobieniach, jakie się tam objawiały.

Trzej najdzielniejsi Kondeuszowi poplecznicy, arcybiskup, Sobieski i kanclerz Pac znajdowali się właśnie w gabinecie Prażmowskiego na naradzie zwykłej, gdy dworzanin starszy oznajmił o przybyciu Stolnika Gorzeńskiego... a Prażmowski znać dał, aby go natychmiast wpuszczono.

Mazur, pan Cedro Gorzeński, bardzo daleki powinowaty rodziny arcybiskupa, człowiek skromny i nieznaczny, kryjący się niemal z sobą i stosunkami swojemi, był jednym z tych wiernych sług Prażmowskiego, którzy rozkazy jego spełniali i czuwali nad przygotowaniem przyszłej elekcji — *anima damnata* starego swego pana Gorzeński—miał dar szczególny wciskania się wszędzie, odegrywania różnych ról wedle potrzeby i zasiągania potrzebnych informacji. Nikt by w tym skromnie ubranym, łysym nieco, pokornym, cichym Stolniku nie domyślił się narzędzia Prymasa, który jak gdyby go nie znał,— nigdy w Łowiczu pokazywać mu się nie dozwalał nawet.—Gorzeński miał dosyć miru u szlachty, a nikomu nie zawadzał. Nie wystrzegano się go wcale, gdyż niedomyślano się w nim czynnego pomocnika Kondeuszowych.. W stosunku do swego protektora

i przyjaciół jego, Cedro tak się okazywał pokornym, posłusznym, miękkim jakby sam przez się nic nie znaczył i nie mógł—jednakże, dzięki nadzwyczajnej gibkości swej—umiał nieznacznie wyśledzić to co mu wiedzieć było potrzeba i pokierować wedle swej myśli panami bracią.

Ukazanie się gorzeńskiego w tej godzinie nie oznajmywało nic nadzwyczajnego, niemal codzień stawił się on z doniesieniami do Prymasa, po rozkazy jego... Przytomność Sobieskiego i Paca, dla których tajemnic nie miał—nie przeszkadzała mu poufnie rozmówić się z wiernym sługą.

Stolnik skromnie stanął w progu, pokłonił się bardzo nisko z kolei dygnitarzom i—czekał.

Prymas z widocznem ukontentowaniem spoglądał na przybyłego, lubił go i cenił.

— Cóż tam nam przynosisz, mój Cedro! — rzekł cichym i miękkim swym głosem arcybiskup... *Quid novi!*

Gorzeński namyślać się zdawał chwilę, badające czy porozumiewające się wejrzeniem rzucił na Prymasa, ale odebrał odpowiedź niemą, iż otwarcie mówić może. Samo wszakże pytanie i wątpliwość zwiastowały coś — niezwykłego i Prażmowski się poruszył niespokojnie.

— *Quid novi!*—powtórzył.

Gorzeński pogładził łysinę, poruszył głowę i trochę wahając się rozpoczął.

W istocie nowego coś przynoszę—rzekł—chociaż może to być niedorzeczną bajką, która sprawdzenia potrzebuje.

Wszystkich oczy ciekawie zwróciły się na mówiącego.

— Szlachta w Kaliskiem, w Sandomierskiem i w Krakowskiem—ciągnął dalej Gorzeński — burzy się trochę.

— Oh!—przerwał Prymas—będzie miała czas się wyburzyć.

Cedro głową zawahał.

— Tymczasem, przeciwka Kondeuszowi się sposobią — mówił — jedynie dla tego, iż senatorowie i *primates Regni* są za nim.,. Ruch ten się wzmaga.

Zmarszczył się prymas.

— A kogóż oni chcą?—zapytał gniewnie prawie... Lotaryngskiego może!

— Wcale nie—odparł szlachcic—oni sami niewiedzą kogo postawić... potroszę im Piast księdza Olszowskiego głowy zawrócił.

— *Absurdum* — zamruczał Prymas — nie widzę w tem najmniejszego niebezpieczeństwa, bo na Piasta żadnego, nigdy się nie zgodzę. Cóż nam to szkodzi, że się zabawią urojeniem. Jaki Piast? który? gdzie? coraz żywiej unosząc się mówił Prymas.

Olszowski ten to prawdziwy *turbator chori*. Posądzam go, że tylko aby nam troski przymnożyć na żart Piasta zaleca, boć wie, że go nie ma i być nie może!

Gorzeński milczał z poszanowaniem, aż gdy Prymas skończywszy zamilkł, począł znowu.

— Z tem wszystkiem, pomiędzy szlachtą agitacya wielka. jeżeli nie przeciw Kondeuszowi, bo mu nic zarzucić nie mogą, to przeciwko panom senatorom i starszej braci.

— Także mi mów — gorąco odezwał się Prymas.— Stare to dzieje, duch przeciwieństwa, podmuch szatana.. zepsucie wszelkiej karności i posłuszeństwa władzy przez Boga wyznaczonej!! Poczęło się to dawno i nie rychło skończy... równy wojewodzie, brzmi jako hasło.

Zamilkł chwilę.

— Lecz—dodał—jak mawiał wielki ów kanclerz Zamojski, Szlachta wykrzyczyć się musi, a rychło ostygnie. Znał to do niej i Chmielnicki. Dać się wyburzyć, a wszystko się potem ukoi i uśmierzy.

Gorzeński nie przerywał, lecz gdy nastąpiło mil-

czenie, a oczy znowu na niego się zwróciły, mówił spokojnie.

— Nie chcę powtarzać złośliwych kalumnji, ale noszą się z tem, że Kondeusz kupił sobie wszystkich, że pieniędzmi idzie do korony, że ją zawczasu, bo za Jana Kazimierza miał sobie zapewnioną.

Sobieski i Pac spojrzeli na siebie, a kanclerz litewski mruczeć począł coś po cichu.

Marszałek, który dotąd się nie odzywał, rzekł dosyć obojętnie.

— Na wszystkich elekcyach zawsze się musiał jakiś opór objawić, bo to niemal potrzebą jest dla szlachty, aby miała zręczność okazania, iż się do pewnego znaczenia poczuwa. Jeden nasz ostatni pan, winien był *unanimitatem*, kozakom,.. a i ten wprzód księcia Karola musiał uprosić, aby mu ustąpił.

O Piaście mowy być nie może—odezwał się prymas — lękam się, aby to nie było sztuczką Lotaryngczyka, który szyki pomięszawszy współzawodnikowi, chce z mętnej wody korzystać... Chavagnac daleko jest chytrzejszym i przebieglejszym niż się wydaje.

To mówiąc arcybiskup rękę podniósł do góry i głową począł potrząsać.

— Lotaryngczyka—rzekł śmiało Sobieski—wcale się nie ma co obawiać. Sam poseł jego uważa sprawę za przegraną.

— Zatem i nikogo jużby nie było do współzawodu—rzekł Pac —bo ja Neuburgskiego nie liczę, choć u nas na Lirwie, słyszę, że się z nim niektórzy noszą.

Mówiąc to spojrzał na Sobieskiego, niechcąc spokrewnionych z nimi wymienić Radziwiłłów.

— Ja o tem niewiem nic - odparł Sobieski—i nie sądzę, aby mu się źle tak przysłużono, na sztych go wystawiając, gdy za sobą niema nikogo.

Po krótkiej pauzie, Gorzeński się odezwał.

— Już mi to nie nowina panów moich szlachtę widzieć w wielkiem poruszeniu i animozyi, ale, jakem żyw, takiego rozdrażnienia nie znałem nigdy. Domyślam się więc, że tu czyjeś drożdże się znajdują na dnie...

— Czyjeż?—zapytał Prymas kwaśno—Lotaryngski by się zdradził, a gdy nie on, to któż znowu?

Zamilczał Gorzeński.

— Prawda, że o Piaście mówiąc — szepnął poczekawszy, mianować go nie umieją i Polanowskim się śmieszą...

Wszyscy to nazwisko dzielnego wojaka, ale mało znaczącego człowieka przyjęli ze śmiechem. Uśmiechał się też Gorzeński.

— Pewnie pociesznym kandydatem jest książę Dymitr Wiśniowiecki — rzekł Prymas. W rodzinie tej już jagielońska krew się wyczerpała, a niczem się nie odznaczają.

Poruszył ramionami.

— Żaden z znaczniejszych naszych dygnitarzy i panów nie przyjąłby tego brzemienia—dodał — wiedzą dobrze, iż koronę musieliby wdziać cierniową, bo by wszystko co żyło powstało przeciwko Piastowi...

Słuchał Gorzeński cierpliwie..

— Ten cały ruch i gorączka uśmierzą się — mówił cichym ciągle, stłumionym głosem Prymas — gdy na pole elekcyjne się ściągną... Ale któż wywołuje to warcholstwo i przewodzi?

Stolnik zacierał ręce.

— Właśnie w tem trudność jest, aby dośledzić początku — odezwał się — i dojść kto rzucił to zarzewie... Sądzę, że ono w Sandomierskiem się rozpaliło, ale z czyjej poszło ręki—nie wiem.

— Toż mi pierwszy raz — rzekł Prażmowski— nie umiał dotrzeć do dna... i naprawdę przyszedłeś z niczem...

— Nie wiele ja ważę sam to, co przyniosłem— odezwał się Gorzeński—i byłbym zmilczał może, ale

sądziłem, że obowiązkiem moim przecie i o tem dać wiedzieć...

— Staraj-że się dojść, zkąd to płynie — przerwał Prymas — a mówić nie potrzebuję, że oddziaływać należy i wyśmiewać tych krzykaczy...

Cedro znając Prymasa, domyślił się, że temi słowy dawał mu odprawę, pokornie więc jak wchodził, tak z kolei kłaniając się wszystkim nizko, wysunął z gabinetu.

Po wyjściu jego trwało czas jakiś milczenie... Trzej wodzowie Kondeuszowskiego stronnictwa, krótko coś poszeptawszy z sobą, zdawali się uspokojeni. Pierwszy do wyjścia ruszył się kanclerz Pac... schylił do ręki Prymasa, skłonił zdala Sobieskiemu. i—odprowadzony do drzwi — zniknął. Po odejściu jego Prażmowski poufalej pochylił się ku Sobieskiemu.

— Smutna to rzecz wyznać — rzekł cicho — ale ja nie zupełną mam ufność w kanclerzu... Wprawdzie musi iść z nami, lecz... lecz...

Niedokończył, Sobieskiemu uśmiech przebiegł po ustach, pokręcił wąsa.

— Ja też nie dowierzam Pacom — odparł, ale na Litwie, nie można zaprzeczyć, dorobili się znaczenia i potęgi. Urośli dużo...

— Przecież z Radziwiłłami się mierzyć nie mogą — rzekł Prymas.

— Ale nie mniej wszędzie gdzie mogą, podstawiają im nogę—mówił Sobieski.—Prędzej później przyjść musi do walki.

— Tymczasem trzeba ich oszczędzać — zakończył Prymas.

Sobieski, który dnia tego powrócić musiał do Warszawy, po krótkiej rozmowie pożegnał Prymasa.

Hetman i marszałek, jeden z najczynniejszych tego czasu i największego znaczenia dygnitarzy, Jan Sobieski, któremu jeszcze z większą gorączką poruszająca się, krzątająca, zapobiegająca żona nie dawała pokoju — należał do wybitnych wodzów partyi Kondeusza, a raczej kandydata jakiego się Francyi mogło podobać chcieć osadzić na tronie polskim.

W tej chwili była to jeszcze postać zarysowująca się niejasno, której ambicya i chciwość Maryi Kaźmiry nadawała barwę fałszywą.

Niefortunny los chciał, że ten znakomity ze wszech miar mąż, który przy wychowaniu i ogładzie zachodniej zachował nigdy nie starty charakter szlachcica polskiego—zawczasu się rozmiłował w zachwycającej wychowance królowej Maryi Ludwiki.

Piękna, ale bez serca francuzka, która poświęciła naprzód Sobieskiego staremu Zamojskiemu, dla jego fortuny i znaczenia, dała się potem nieokazując zbytniej miłości zaślubić pierwszemu ukochanemu, wiedząc, że on będzie w jej rękach narzędziem posłusznem. Pierwsze lata tego małżeństwa, w których by nie ledwie posądzić można marszałkową, że uciekała od męża — były straszną próbą, na którą kochający do szaleństwa mąż był wystawiony... Wymagająca, nienasycona, kapryśna, przepiękna Marysieńka wywarła wyływ wielki a zgubny na słabego Sobieskiego. Cudem jakimś znakomity wojownik tam, gdzie szło o służbę rzeczypospolitej nawet wszechmocnej tej pani nie dawał sobą rządzić... Ale w chwili gdy to opowiadanie się rozpoczyna — mimo, że był hetmanem i marszałkiem, to jest stał na najwyższym szczeblu dostojeństwa—jeszcze nie było pewnem, czy piękna Marysieńka nie każe mu się wyprzedać ze wszystkiego i wynosić z sobą do Francyi. Podróż i pobyt tam Sobieskiego ostudziły ją może i przekonały, że lepiej być hetmanową w Polsce, niż jedną z mnóstwa markiz i hrabiną nad Sekwaną...

Niezmiernie wydatkami żony uciśnięty Sobieski, który jako hetman i marszałek oprócz tego z własnej kieszeni i wojsku często płacić i posłom dawać musiał podarki, tak, że po odjeździe tatarskiego posła pisze, iż ostatnią srebrną miednicę z nalewką po-

święcił;—troskał się teraz głównie o pieniądze.. Obiecywano je we Francyi, rachował na nie wielce hetman i żona.

Oboje oni—a szczególnie sama pani, z jej przyczyny więcej mieli nieprzyjaciół i zawistnych niż wiernych sobie... Czyniło to życie trudnem, bo się z wielką ostrożnością poruszać było potrzeba.

Ci nawet co szli w zwartym szeregu partyi Kondeusza pod wodzą Prymasa i Sobieskiego — choć na oko z nim byli w najlepszych stosunkach, potajemnie mu zazdrościli i szkodzili.

Można rodzina Paców, której trzej koryfeusze stawili czoło Radziwiłłom i Sobieskim spokrewnionym, dyssymusowała tylko nienawiść swą dla hetmana.

W koronie tak samo uśmiechano się im wdzięcznie, ale obgadywano i starano szkodzić pokątnie. Wszystkiemu temu winną była Marya Kaźmira której duma i pewność siebie raziły i zniechęcały...

Sobieski, który był stworzonym raczej do obozowego i familijnego życia, niż do zawikłanych intryg, w które go żona wpiątała, prawdziwym męczennikiem obracał się w tym ogniu, zmuszony obowiązkami hetmana do czuwania nad bezpieczeństwem kraju, elekcyą do popierania niepopularnego kandydata—naostatek potrzebą duszną do gospodarowania na rozległych majętnościach, w których się budował, tulipany i drzewka sadził, a nawet karety pod swym dozorem w domu wykończać musiał.

Rozkochany w kobiecie, która wtedy tylko czulszą się okazywała, gdy coś wymódz potrzebowała, zarzucony sprawami różnemi, Sobieski tchnąć swobodnie czasu nie miał.

Marysieńka była wymagającą bez miary, on powodującym się aż do zrzeczenia własnej woli..,

Słaby dla tej kobiety, do której go więcej temperament i zmysły przywiązywały niż serce. Hetman był nieskończenie wyższych zdolności i wykształcenia od tej żony, która nim miotała. Chciwy

wiedzy i nauki, lubiący książki, przekładający nadewszystko towarzystwo ludzi uczonych, znakomity strategik i hetman—stał na wysokości ducha wieku, wśród którego żył, ale miał też wszystkie jego słabości, wady i przywary. Niepomierną żądzą grosza i zbogacenia się zaraziła go żona; tak, że sprzedanie korony Kondeuszowi nie wydawało mu się frymarkiem występnym, ale bardzo naturalnym targiem, za który zapłaty wymagać było wolno.

Kandydat ten francuzki, krajowi z tego tylko znany, co o nim stronnicy jego głosili, u szlachty, w wojsku był najpopularniejszą postacią—bo francuzi naprzykrzyli się za Jana Kaźmirza i Władysława, a rosnącą ich buta oburzała.

Począwszy od peruk, które pudłami zwano, aż do pończoch, trzewików, mankietów i kryz wszystko w nich wydawało się śmiesznem. Pierwszeństwo jakie im we dworze dawano, naśladowanie ich obyczaju w pańskich kołach, niechęć tę powiększało. Francuzowi krwawą wypłatać sztukę było najmilszą zabawką.

Kondeusz więc wcale serc nie pociągał ku sobie, a sposób w jaki oddawna knuto około tego poddania Polski zwierzchnictwa i władania Francyi — mnożył wstręty...

Posądzano stronników francuza, że go wbrew prawom kardynalnym za żywota Jana Kaźmirza chciano wybrać i ogłosić—niechciano teraz, że namówiony, zmuszony, uwiedziony Kaźmirz ustępował tylko dla tego, aby miejsce francuzowi opróżnił.

Można więc było przewidywać opozycyą, ale panowie zbyt ufali swej potędze i wpływowi, ażeby się jej obawiać mieli. Szlachta miała tę zdawna sławę, że głośno krzyczała, miotała się gorąco, ale wystygała prędko i naburczawszy Senatowi, szła za nim posłuszna.

Hetman powróciwszy z Łowicza, wprost zajechał do dworu, który zajmował, nie mogąc się do-

prosić, a raczej nie chcąc siłą zabierać Cekhauzu który mu należał na mieszkanie, czasu sejmów i elekcyi. Dwór ten i dwa przy nim sasiednie, z kuchniami, stajniami. oficynami, zaledwie ciasno i niewygodnie pomieścić mogły piękną Marysieńkę i czynnego hetmana.

Pomimo oszczędności—Sobiescy nie mogli wysokiego swego dostojeństwa wymaganiom się uchylać; hetman lubił wystąpić, a Marya Kaźmira potrzebowała jaśnieć i pierwsze zajmować miejsce. Dwór z pocztem jaki Sobieski przyprowadził z sobą wynosił kilkaset ludzi. Stajnie dla pomieszczenia koni nie starczyły, ludzi wiele obozowało po szopkach i zakątkach.

Cały jeden dwór zabierała dla siebie hetmanowa, u której, jeżeli była w domu, nigdy nie przebierało się gości płci obojga. Tu się zbiegły, ztąd rozchodziły nowiny i hasła...

Lecz niczem to było jeszcze obok kancelaryi i pokojów Sobieskiego, w których tłok był nieustający. Co chwila przybywali posłańcy, co chwila też wyprawiano ich. Około kilku dziesiątek pisarzy ledwie mogło starczyć pisania listów i przepisywania wiadomości. Starszyzna z trudnością utrzymywała porządek. Cisnęli się wojskowi, pchali cywilni, nabijali żydzi...

Straż jednych wpuszczała milcząc, drugich odpychała niemiłosiernie...

Sam hetman pomiędzy gości a kancelaryą dzielić się musiał...

Ale to była natura dziwna, nigdy prawie nie czująca się silną ani zdrową, skarżąca codzień, a mogąca podołać i bezsennościom i natężonej pracy i nieustannym drażnieniom. Rzadki dzień Sobieski bez jakiejś porady doktora lub pół-doktora się obchodził... — a mimo to z młodzieńczym zapałem po całych dniach hasał na łowach, noclegował po lasach i odbywał podróże pośpieszne bez odpoczynku.. Często

nawet zmusili go starzy przyjaciele wieczorem się więcej napić niż było potrzeba, za co nazajutrz pokutował.

I tego dnia powrót hetmana powitała gromada oczekujących nań ludzi z dóbr jego, od wojska, z różnych stron kraju przybyłych, tak, że mu się przebrać nie dano, a już drzwi się uchylały ciągle i posły od pani hetmanowej ku niej go wzywały co prędzej.

Przed najpilniejszemi sprawami, powitanie Marysieńki było pierwszem.

Czekała go nie sama, ale w świetnem pań i młodzieży gronie. W pokojach już oświeconych gwar słychać było wesoły zdaleka, w salce kręgiem siedziały postrojone panie żywą zajęte rozmową ze stojącemi przed niemi po większej części młodemi panami, z niewielu wyjątkami we francuzkich strojach i w perukach. Wśród kobiet pani Dönhoffowa z czarnemi wyrazistemi, żywo biegającemi oczyma, najgłośniej się odzywała i śmiała, mówiła najśmielej, choć każdy wykrzyk nieznaczny drżenie brwi i ust na piękną twarz gospodyni wywoływał. Marysieńka, która już o powrocie męża była uwiadomioną, czekała na niego przy bocznych drzwiach salki, któremi był zwykł przychodzić, niecierpliwie wachlarzem potrząsając... Świeża jeszcze na podziw i młoda, pomimo dość już nużących lat i słabości przebytych, hetmanowa blaskiem swych wdzięków odznaczała się wśród licznego orszaku, który ją otaczał. Chłodem i dumą wiało od niej, ale rysy oblicza klasycznej regularności, cera nadzwyczaj i delikatna i biała, oczy pełne ognia—nadawały jej majestat zwycięzkiej piękności. Nie pociągała niczem, budziła może trwogę jakąś, chociaż odgadnąć było łatwo, że chcąc być miłą i czarującą, mogła serca podbijać i panować nad niemi. Kobiety wszystkie bez wyjątku, niepostrzeżone wzrok na nią zwracały, patrzały z oba-

wą i niechęcią. Nie starała się też wcale przypodobać nikomu z wyjątkiem kilku panów, dla których na chwilę łagodziła wyraz twarzy. A gdy się ku innym zwracała przybierała natychmiast zwykłą swą despotyczną fizyognomię. Oczy pani Dönhoffowej, która nieustannie pochylając się, powołując do siebie nader żywo zajęta była rozmową, ani na chwilę nie schodziły z gospodyni.

Z wymiany wejrzeń między niemi, obcy nawet mógł odgadnąć stosunek naprężony, przyjacielski z musu, w sercach pełen niechęci. Dönhoffowa nie mogła ani myślała o jabłko piękniejszej się ubiegać, lecz walczyły o wpływ i znaczenie, o rolę w politycznych intrygach, w których obie były czynne.

Zmuszona oszczędzać Dönhoffową piękna Marysieńka, podobną była czasami do rumaka gryzącego żelazne wędzidło.

Sobieski cicho stąpając zbliżył się do drzwi zawieszonych gobelinową portjerą, w których żona, czekała na niego, z brwiami zmarszczonemi i zniecierpliwionym twarzy wyrazem. Szedł ku niej przejęty cały, rozpromieniony, śląc jej od ust całusy i byłby może przypadł przed bóstwem na kolana, gdyby nie obawa ściągnięcia gniewu na siebie. Marysieńka nie dała mu się zbliżyć do ust, wyrwała od ust białą rączkę i ściągnęła brwi.

— Zostawiłeś mnie samą na cały dzień — poczęła, wcale się nie rozczulając widokiem męża, który ją zjadał oczyma—bawiłeś się gdzieś napróżno, zapominając ile tu czeka na ciebie.

Egypcjanka (szepnęła ciszej) jest dziś tak wesołą i roztrzpiotaną, iż ją posądzam, że nam jakiegoś figla chyba spłatać musiała. Usta się jej nie zamykają, a kąsa!

Widziałeś Wardeńskiego? przywiózł pieniędzy? ja nie wiem. Elent, jak mi mówiono, samemi Boratynkami za dzierżawę wóz wyładował. Niepotrzeba ich przyjmować.

— Ale bóstwo ty moje — szepnął Jan — pieniędzy tak potrzebujemy, że bodaj boratynkami brać muszę.

Marya Kaźmira poruszyła ramionami.

— Znowu strata. Aron tylko na tem skorzysta.

Korzystając z zadumania krótkiego Sobieski nieznacznie pochwycił rączkę i wycisnął na niej pocałunek gorący.

— Jak się ma Fanfenik!

— Zdrów, ale krzyczy nieznośnie i tak już samowolny jak ojciec — odparła Hetmanowa.

— Samowolny! — zapytał mąż z uśmiechem.

— Despota! — odparła Marya Kaźmira — na pozór zawsze posłuszeństwem mnie uspakajasz, aby się pozbyć, a potem robisz swoje.

Hetman westchnął.

— Masz mi co do rozkazania!

— Bądź bardzo uprzejmym dla Egipcjanki, (Dönhoffowej), inaczej domyśli się, żem się na nią skarżyła—szepnęła gospodyni—i ustępując od progu, wprowadziła męża z sobą.

Oblicze pana Hetmana, które dla żony łagodnem było i jakby rozczulonem—w progu już oblekło się powagą pańską, ale zarazem spokojem. Chciał okazać jakby najmniejszej nie miał troski i ze wszystkiego z całego obrotu spraw był zupełnie rad.

Zobaczywszy go panowie, którzy dworowali przed postrojonemi damami poczęli z kolei zbliżać się dla powitania, a Hetman wszystkich z taką swobodą pozdrawiał, z taką poufałością pańską, jakby wśród nich nie było ani jednego dwuznacznego i wątpliwego przyjaciela.

Pomiędzy innemi i młody Michał Wiśniowiecki znajdował się tu, nie z Pacem, ale z Lubomirskim szwagrem swoim, mimo młodości, powierzchowności, imienia i rodu zajmując w stronie bardzo podrzędne miejsce na uboczu.

Nie młoda już, bardzo strojna i klejnotami okryta wdowa księżna Radziwiłłowa, zabawiała go rozmową. Inne panie niemal z politowaniem spoglądały na młodzieńca, który—niemiał za sobą nic oprócz wspomnienia nieszczęśliwego ojca i miłej twarzyczki. Nikt się nim tu nie zajmował, a Radziwiłłowa tylko dla tego bawiła go konwersacją że nikogo innego do niej nie miała. Wiśniowiecki też widocznie czuł się tu nie w miejscu i jakby z musu przyciągniętym.

Gdy Sobieski zbliżył się, poszedł go powitać, ale Hetman zaledwie głową go pozdrowiwszy mimochodem poszedł na stronę z Lubomirskim. Rozmowa ogólna głośna toczyła się o Janie Kaźmierzu i jego podarkach hojnym przyjaciołom. Zazdroszczono Ujazdowa a szczególniej wieści o ex-królu były bardzo sprzeczne, jedni utrzymywali, że już żałował swej abdykacyi, drudzy że się nią cieszył i wiele obiecywał z pobytu spokojnego we Francyi; gdzie mu król—nadanie opactw i pensij obiecywał.

Uśmiechając się wyliczono osoby które zebrał z sobą lub przodem wyprawił.

— Nie może być aby mu po nas tęskno nie było, utrzymywał wojewoda kijowski—bądź co bądź, kochaliśmy go, a on się do nas przyzwyczaił. Francuzi milszemi mu nie będą.

— Ah! — przerwał pisarz polny koronny — od ożenienia z nieboszczką królową nikt go nie widział nigdy idącym w taniec, a w Krakowie pono dał się wyciągnąć i bardzo był dobrej myśli.

— Tak bardzo, wtrącił wojewoda ruski z przekąsem, iż przez cały czas na Polskę i polaków wymyślał na nikim poczciwej nie zostawując nitki.

— U Jana Kaźmierza wszystko to nie więcej znaczy nad humor chwilowy, przerwał wojewoda kijowski—kochał on i zniechęcał się łatwo, serce miał miękkie a fantazja niem rządziła. Wiele mu też przebaczyć należy, bo w życiu szczęścia nie miał wcale.

Po tym epizodzie krótkim, towarzystwo się podzieliło na pomniejsze kupki i w każdej z nich zaczęto się po cichu zajmować tem co w języku ówczesnym—wtajemniczonych, zwało się Hyacentami—to jest przyszłą Elekcją.

Ponieważ wszyscy prawie tu zebrani należeli do Kondeusza, otwarcie mówiono o współzawodnikach. Neuburgski nie miał najmniejszego nawet prawdopodobieństwa aby go na serjo wzięto — Lotaryngski stał słabo, ale wielka zręczność i przebiegłość jego posła Chavagnaca — nakazywała czuwać.

Był on nadto dobrze ze wszystkiemi, otwarcie zbyt się oświadczał zawczasu zwyciężonym i pobitym, aby mu chciano uwierzyć. — Pani Dönhoffowa utrzymywała, że zapewne pana swego do korony, nie mając pieniędzy lub mając ich bardzo mało, nie doprowadzi, ale drugim dojście do niej może utrudnić.

— Cóżby mu z tego przyszło! zapytała gospodyni.

— Miałby przynajmniej wymówkę tę że innym się też nieposzczęściło jak jemu—wytłomaczyła Dönhoffowa.

W tem Morsztyn Referendarz, którego z powierzchowności i mowy za rodowitego francuza wziąć było można, odezwał się cynicznie trochę, choć niby na wpół żartami:

— Nie potrzebuje się Chavagnac tłumaczyć, dość aby pokazał sakiewkę wypróżnioną. Cóż się dziś robi bez pieniędzy? Lotaryngski chciał być na kredyt obranym, ale któż nam mógł ręczyć iż potem popłaci długi!

Najtańsza z Elekcji ostatnia, przecież półtora miljona kosztowała księcia Karola, który nigdy jej straty zapomnieć nie mógł.

Chavagnac gdy przyjdzie stawić się przed Sejmem i pana zalecać, nie wiem jak na przyzwoitą

kalwakatę i dwór się zbierze. Żal mi go biedaka, bo zresztą człowiek jest miły i gładki.

— Książę Lotaryngski,—dodał ktoś z boku,— z początku liczył na poparcie króla francuzkiego.

— I niepotrzebnie się ambarasował szepnął chorąży koronny.

Goście wśród tej rozmowy powoli się rozchodzić zaczynali, Lubomirski żegnał już gospodynię, która na jego towarzysza księcia Michała zaledwie spojrzeć raczyła.

Zwyczajem powszednim drzwi się nie domknęły za niemi, gdy oba stali się przedmiotem mowy złośliwych.

— Książę Michał, odezwał się, gospodyni bardzo musi opłakiwać syna naszej królowej, która miała słabostkę dla niego. Słyszałem ją żartem raz prorokującą, że młodzieniaszek kiedyś królem być może.

Wszyscy goście głośnym wybuchnęli śmiechem, tak się to wydawało poczwarnie dziwacznem.

— Mogło to chyba zrodzić się teraz w głowie tak obcego światu naszemu człowieka jak ten biskup Chełmiński, rzekł Morsztyn, aby Piasta na tron prowadzić. Nigdy do tego nie przyjdzie i nie należy życzyć abyśmy prośbę taką uczynili, bo kraj by się niechybnie rozpadł, zamącił i wojna domowa a rokosze by się z tego zrodziły.

— Królowa Marja, miała słabość do księcia Michała—gdy był jeszcze wyrostkiem, ciągnęła dalej gospodyni — ale nie przewidywała że z dosyć ładnego chłopczyka tak nieznacząco, zimna—sztywna wyrośnie istota. Ja go nigdy nie widziała po młodemu wesołym.

— Trudno po nim wymagać, aby się radował, bo niema czemu, rzekł Referendarz. Codzień musi patrzeć i słuchać użalań matki i troski jej o majętności pozadłużane, w domu niedostatek prawie. Spotkałem niedawno w drodze księżnę Gryzeldę. Jechała w przedpotopowej wypełzłej kolebce, konie chude, barwa ludzi wyszarzana i przedwieczna. Wierzycielom się opędzić nie może.

— *Nous en ferons qeulque chose!* wtrąciła gospodyni domu spoglądając na męża, który wąsa pokręcał ale zmilczał.

Kobiety poczęły dosyć otwarcie o księciu Michale mówić, jak się on której wydał i podobał. Wszystkie prawie znajdowały go znośnym ale ani powierzchowność jego, ani wykwintne wychowanie, nie pociągały ku sobie. Dönhoffowa chłodnym i zbyt nieśmiałym go sądziła.

— Zyskałby na odważniejszem występowaniu.

— Mój Boże — przerwał żartobliwie Morsztyn, aby mieć odwagę. trzeba być sytym i mieszek czuć pełny, a na obojgu zbywa biednemu księciu Michałowi.

— Lubomirscy go przecież czemś uczynić muszą—rzekł chorąży koronny. Ma czas, boć zaledwie lat może liczyć trzydzieści.

W ostateczności powrócićby mógł na cesarski dwór, gdzie go słyszę ceniono dosyć... dodał Morsztyn.

— Ani Lubomirscy, ani książę Dymitr nie dopuszczą do tego, szepnął Chorąży.

Na wspomnienie księcia Dymitra Wiśniowieckiego, z którym Sobieski był w otwartej niemal wojnie, po twarzy jego przebiegł wyraz jakiś pogardliwej niechęci—i rozmowa na tem się skończyła.

Reszta gości żegnała Hetmanowę i Hetmana, który z galanterją panie do powozów odprowadzał prawiąc im słodycze.

Gdy potem do salki powrócił, w której żonę się zastać spodziewał — już jej tu nie zastał i pośpiesznym krokiem pogonił za nią do jej gabinetu.

Marja Kaźmiera siedziała w krześle, a przywołana sługa, francuzka ciemnej płci, opalona, niepiękna, z kwaśnym twarzy wyrazem — zajmowała

się ułożeniem włosów i przygotowaniem pani swej do spoczynku.

Widok Pierrety, której się tu nie spodziewał zastać, trochę zniecierpliwił Hetmana—przy niej bowiem wezbranej swej czułości, która się w pieszczotach i całusach objawiała, nie mógł puścić wodzów. Można było nawet posądzić, dosyć znudzoną i ostygłą panią, że pośpieszyła przywołać sługę właśnie dla tego, ażeby męża trzymać zdaleka.

Jakiem uczuciem była ożywiona w tej dobie, małżeńskiego pożycia dla swego Jasieńka — o tem ona tylko może wiedziała. Hetman nie mógł się pochwalić żadnym dowodem czułości, przeciwnie, składało się tak zawsze, iż nawet jemu niedopuszczono zbyt być natrętnym

I tym więc razem Orondat nie mógł mówić z Astreą o niczem innem, tylko o sprawach ogólnych, lub w interesach prywatnych, a te szczególniej zaprzątały panią hetmanową. I nie bez przyczyny, gdyż wszystko, co miał Sobieski, należało już prawnie tytułem zapisów i dożywocia do żony.

Dopilnowała się w tem tak dobrze, a przypominała tak natrętnie, iż uległy i posłuszny, zakochany Orondat uledz musiał i wszystkie akta darowizn, przekazów i zapisów już były dokonane.

Oprócz troski o siebie, Marja Kaźmira miała ojca, brata i siostrę, któremi się opiekowała.

Hetman, który rozkazywał w wojsku rzeczypospolitej i razem z Prymasem władzę miał w niej największą, z pokorą musiał słuchać instrukcyj, jakie mu dawała żona. Najmniejszy szczegół nie uchodził jej baczności i pamięci. Powtórzyła mu, co miał nakazać rządcy swemu dóbr, Wardeńskiemu, jak odprawić dzierżawcę Kałuzkiego elenta... i użyć zręcznego do posług Arona.

Rozmowa się przedłużała — po kilkakroć. Pierreta zabierała się odchodzić, ciągle na nowo przywoływana przez panią. Hetman siedział uparcie, chcąc się doczekać, aby sam na sam zostali.

Wtem Marja Kaźmira powstała, spojrzała na zegar bronzowy, stojący na kominie. Ziewnęła kilka razy i stanowczo zapowiedziała służącej, że natychmiast idzie do łóżka, dając dwuznacznie do poznania mężowi, że go się pozbyć potrzebowała.

Zamruczał jakąś prośbę pokorną hetman, lecz otrzymał tak ostrą odprawę, iż jej powtórzyć nie śmiejąc zbliżył się już tylko dla—pożegnania, przyczem mu się ciężkie wyrwało westchnienie. Marja Kaźmiera z niecierpliwością skróciła swe czułe dobranoc i głosem nakazującym zwróciwszy się do sługi, — pośpieszyła ku usłanemu pod pawilonem łożu. Sobieski rzucił na nie okiem utęsknionem—i powolnym krokiem wyszedł wygnany z raju!

IV.

Żywy ten ruch, jaki w przededniu elekcji panował w Krakowie, niedochodził prawie do spokojnego dworku przy Miodowej ulicy. Odgłosy jego tylko przynosił z sobą książę Michał, który tak mało się zajmował w ogóle sprawami publicznemi, iż o nich nawet matce nie umiał przynieść dokładnych wiadomości. Nieco apatyczny — przyciśnięty swem ubóstwem i położeniem, które mu żadnego nie dawało znaczenia, wprawdzie codziennie bywał u Lubomirskich, u Branickiego, u księcia Dymitra, lecz nigdzie żywego nie brał udziału w tem co tak mocno innych roznamiętniało.

Przywiązany do matki gniewał się tylko na wszystkich, którzy jej spokój zakłócali—a naówczas

wybuchał aż nadto gwałtownie, ale zresztą było mu obojętnem i kto królem zostanie i jak się potem złożą owe wielkie zastępy, które z sobą o władzę rzeczywistą walczyć miały.

Za każdym powrotem do domu, szedł matkę zabawiać opowiadaniem, o tem co słyszał i widział wśród tego świata od którego się ona usuwała—ale chciała wiedzieć co się w nim działo.

Tak po bytności u pani hetmanowej musiał też wieczorem powtórzyć ks. Gryzeldzie urywki rozmów, jakie uszu jego doszły. — Sobiescy nie należeli do ulubieńców staruszki, której hetman naraził się procesami, wymaganiami sum, jakie miał na dobrach Jeremiego, a naostatek i swą jawną nieprzyjaznością a zatargiem z ks. Dymitrem.

Nie lubiła szczególniej francuzki, której wszystkie wady i rysy charakteru znała i odgadywała doskonale. Wielkie znaczenie i wpływ, jaki uzyskali Sobiescy w ostatnich czasach, niepokoiły ją i raziły.

Po każdem syna opowiadaniu, nie spowiadając się z tego co czuła, księżna Gryzelda coraz była smutniejszą.—Ani Lubomirscy, ani Wiśniowieccy nic się od Sobieskich dobrego dla siebie spodziewać nie mogli.

Nazajutrz, gdy już ks. Michał wyszedł był z domu, a księżna matka sama siedziała z Hedą swoją, prowadząc bardzo długiemi przestankami milczenia przerywaną rozmowę, dały się słyszeć powolne kroki od przedpokoju. — Zebrzydowska powstała z siedzenia swego, staruszka podniosła głowę, i w progu ukazał się mężczyzna już lat podżyłych, ale krzepki i rześki, w sukni duchownych świeckich, z płaszczykiem czarnym na ramionach... i głębokim ukłonem pozdrowił księżnę, witając razem zwyczajowem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Księżna z rozjaśnioną twarzą wstała podchodząc ku niemu, a Hela pocałowawszy w rękę, poprowadziła ku krzesłu, które stało naprzeciw stolicz-

ka i siedzenia zwykłego gospodyni. Twarz księdza, nie odznaczała się wielką rysów dystynkcją, była wyrazistą, grubo wyciosaną, ale zarazem w prostocie swej kształtną i sympatyczną. Pomimo wieku wiele życia było w tych rysach, które powaga stanu—czyniła majestatycznemi.—Był to ksiądz Fantoni kustosz warszawski, dawny przyjaciel domu Wiśniowieckich, pomimo nazwiska swego i pochodzenia, od dzieciństwa w kraju żyjący i z włoska w polaka przeistoczony. Dawne i nowe stosunki jego dawały mu przystęp do wszystkich znaczniejszych domów, a niezależność, gdy ks. kustosz za dosyć majętnego uchodził—dozwalała poruszać się wśród arystokracyi tem swobodniej, że Fantoni nie potrzebował jej, bo ambicyi nie miał i infuły się dobijać nie myślał. Mimowoli prawie zostawszy kustoszem, urządziwszy się wygodnie w kamienicy kustodzią zwanej, w której mieszkał aż nadto przestronno—nie pragnął więcej—obowiązki duchowne przy kollegiacie, stosunki towarzyskie, zajęcie czytaniem, które lubił, starczyły mu na zapełnienie życia. Rodziny nie miał blizkiej.

Litościwego serca, dla ks. Gryzeldy miał szczególny szacunek, na który charakterem swym, i losem zasługiwała. Energja, z jaką stawiła czoło ciosom, które ją dotykały,—obudzała w ks. Fantonim podziwienie i uwielbienie.

Widząc ją osamotnioną, kustosz miał sobie za obowiązek odwiedzać. Lubił też i cenił Helę, która się umiała poświęcić swej przybranej matce, wcale nie dając czuć ofiary, wesoło i ochoczo.—Naostatek zajmował go i ks. Michał, w którym by był może rad rozbudzić więcej życia i ufności w sobie,—apatją jego niewłaściwą wiekowi — czynniejszym udziałem w sprawach publicznych zastąpić. Lecz młody Wiśniowiecki pomimo łagodności swej, opierał się wpływowi. Nawet matka choć go miała posłusznym zawsze, przemienić natury nie potrafiła.

Ks. Fantoni w poufnej z matką rozmowie, gdy

o ks. Michale wspominali, a ona się na tę jego obojętność uskarżała, utrzymywał, iż chwila nie nadeszła, i okoliczności jeszcze się nie zjawiły, które z odrętwienia wyprowadzić go miały.

— Wolę to opóźnienie, w ks. Michale — mówił kustosz—niż innej młodzieży zbytnią porywczość do życia, na którą siły się najlepsze zużywają. ks. Michał gdy wybije godzina jego, z całą mocą i zasobem jakie po ojcu odziedziczył—stanie w szrankach.

Księżna Gryzelda wzdychając odpowiadała:— Daj to Boże!

Ale oka matki ujść nie mogło, że Michał wychodził z tej apatji czasami tylko, gdy szło o—strój wykwintny, o elegancję, którą lubił się otaczać, a naostatek o stół wytworny, w którym do zbytku smakował. W innych sprawach żywota zimnym był tak, jakby one całe mu były obojętne. Ambicją trudno w nim obudzić było.—Nie mając zajęcia czasami chętnie brał książki do ręki, ale rzucał je, nie czując potrzeby powrócić do nich

Nawet te młodzieńcze przyjaźnie, które się w wieku ks. Michała zawiązują łatwo i służą w życiu wiele—nie pociągały go—Michał wielu dobrych znajomych, ale prawdziwych poufałych druhów—nie znał.

Jedna Hela miała całe jego zaufanie i przed nią zwierzał się ze wszystkiego, z najtajniejszych myśli swoich. Matka znając to braterskie przywiązanie i wpływ Heli na syna, używała też jej, gdy sama mu czegoś poddać i rozkazać nie chciała.

Ks. Fantoni przychodził jak zawsze z pewnym zapasem nowin do księżnej. Z ust jego wychodząc, przybierały one charakter inny może, niż obiegające płochy świat ówczesny, bo kapłan chętniej im dobre niż złe nadawał znaczenie.

— Już się wielu zjeżdża na elekcyę, szopę postawiono i wkopano. Województwo i ziemie dawne swe obozowiska wytykają. Zjazd spodziewać się

będzie bardzo liczny i ożywiony... począł kustosz. W Warszawie dla panów senatorów niemal miejsca już braknie. Dwory z sobą prowadzą liczne, choć nie sądzę, ażeby milicji potrzebowali, jak niegdyś, bo się żadna walka nie zapowiada. Francja jest zanadto potężną, aby po takim wysiłku nie była pewną zwycięztwa.

— Sądzicie?—zapytała księżna Gryzelda.

— Prawie tego jestem pewnym — mówił dalej ks. Fantoni—a najlepszym dowodem, że Cesarz, który z tradycyi powinien był zajmować się tą elekcją... i czynnym w niej być—wcale się prawie nie miesza.

— Wszakże cesarskim kandydatem jest Lotaryngski—rzekła ks. Gryzelda—i słyszałam, że w razie gdyby mu się poszczęściło, arcyksiężniczkę dla niego w pogotowiu trzymają.

Kustosz się rozśmiał...—cicho powtarzając—*Tu Felix Austria nube*...

— Tak—dodał—jest to już tradycją i obyczajem.

— Wystaw że sobie—zniżając głos przemówiła ks. Gryzelda, pochylając się ku stojącemu—że Lotaryngski poseł, usiłował mojego Michasia pozyskać.

Poruszyła ramionami.

— Michała tak mało ta elekcja obchodzi—dodała że go często namówić trudno, aby poszedł się poinformować, i gdyby Lubomirski mi nie przynosił wiadomości—żadnych bym nie miała.

— Elekcja — odparł kustosz — cała się smaży i gotuje u naszego ks. Prymasa, i u hetmana Sobieskiego. Tym dwom potęgom cóżby się oprzeć mogło?

Ks. Gryzelda zwolna podniosła blade swe, wypłakane oczy na Fantoniego.

— Wczoraj—rzekła — był u mnie stary sługa Jeremiego, Sandomierzanin, który teraz na swe śmiecisko powrócił. Prawił mnie dziwy, do których ja nie przywiązuję ważności — powiada, że szlachta

zbiera się stanąć murem przeciwko panom i nie dopuścić Kondeusza!!

Rozśmiał się dobrodusznie ks. Fantoni.

— Uliczna gadka! — zawołał — przy każdej elekcyi, szlachta staje okóniem przeciw starszej braci, ale ją łatwo ułagodzić i pozyskać... nie ma się czego obawiać Kondeusza... Zresztą kogóż by oni chcieli i mogli wybrać. Dla nich tak dobry Kondeusz, Lotaryńczyk jak Neuburg, bo żadnego z nich nie znają.

— Ja prawie obojętnie patrzę — mówiła ks. Gryzelda — na wypadek elekcyi. Kondeusz będzie miał na względzie, że królowa nieboszczka wielce była Michasiowi życzliwą i jej winniśmy, że wychowanie odebrał staranne... o co mnie chodziło najmocniej.

Jeżeliby cudem Lotarynski się miał utrzymać, tego z pewnością cesarz będzie popierał, ożeni się z arcyksiężniczką — i dwór austryacki mieć będzie wpływ wielki, a Michał ma na nim stosunki i przyjaciół.

Neuburczyk zaś. — —

— Wprost niemożliwy — dodał ks. Fantoni. — Dwór rakuski tylko pozornie mu sprzyja, nie ma nikogo, a pieniędzy nie wiele, spokrewnieni Radziwiłłowie nie na wiele się przydadzą.

Ks. kustosz chociaż do rozmowy treści się przebrało, siedział jak gdyby go tu coś jeszcze trzymało, oglądał się, a że Helę ciągle widział za sobą, milczał. Domyślała się księżna, iż coś poufałego mógł jej mieć do zwierzenia.

Nieznacznie skinęła na Helę, która zrozumiawszy to—wyszła natychmiast.

— Jesteśmy sami—odezwała się księżna.—Zdawało mi się, ojcze, że możeście mieli co do — powiedzenia mi?

— A! tak jest! tak!—żywo podchwycił kustosz— noszę się z tem oddawna, a nieśmiałem... odzywać.

Teraz zaś czas jest ostatni, i muszę prosić was, M. księżno, abyście mnie wysłuchali bez gniewu...

— Bez gniewu!—śmiejąc się zawołała staruszka.

— Nie obraźcie się otwartością moją — mówił ks. Fantoni. — Dla syna Jeremiego i wdowy po nim, w tym starym dworku mieszkać nie przystało. Dla świata, dla rodziny coś uczynić potrzeba... a nadewszystko dla przyszłości ks. Michała. Chociaż dzisiaj interesa są ciężkie, muszą się one polepszyć, a tymczasem choć z trochą wysiłku potrzebą księcia na świetniejszej stopie postawić. O żadnych nie mówię zbytkach, ale syn Jeremiego...

Ks. Gryzelda załamała ręce i łzy się jej z oczów potoczyły.

— Sto razy o tem marzyłam i rozważałam, co czynić—odezwała się — ale na obronę moją mam: że ubóstwo nasze to chluba, to zasługa, to oznaka jakiej największa świetność nie zrówna! Michał zmuszony brać pensyą od królowej, nie jestże to świadectwo ojca, że wszystko ojczyźnie poświęcił?

— Lecz, jest we wszystkiem miara—podchwycił kustosz — co dla innego byłoby dostatkiem, dla syna Jeremiego jest niczem... Zbyt nizko nie potrzeba upadać.

— Wszystkie moje źródła wyczerpane — przerwała ks. Gryzelda.—Lubomirskiej prosić nie mogę, Dymitr nie ma wiele... moi...

Zamilkła.

— W takich razach—odezwał się ks. kustosz— gdy się na pewną przyszłość czeka, potrzeba rachując na nią zapożyczyć się bodaj... Ja dla w. ks. Mości u kanonika Brandta mam tysiąc czerwonych złotych leżących... a mojej kustodji cała kamienica na usługi. Pustką stoi... Tam i przyjąć można przystojnie i ze wszech miar wygodniej.

Wzruszona księżna ledwie odpowiedzieć mogła i powtarzała ciągle:

— Niech wam Bóg płaci.. Ja się pożyczać lękam, a ten dworek...

Kustosz nie dał dokończyć.

— Dworek zupełnie dla księżnej i dla ks. Michała nie przystał. Mógł tylko służyć tymczasowo, póki się co innego nie znalazło, ja nalegam na kustodją. Stoi w pogotowiu.

Na te słowa nadszedł właśnie powracający ks. Michał, posłyszał je i z radością nie tajoną, rzucił się ręce księdza całować. Matka zobaczyła go tak uszczęśliwionym, iż protestować nie miała serca. Westchnęła tylko.

— Ale mnie, mnie — rzekła — pozwolicie tu jeszcze pozostać. Niech Michał będzie swobodnym, swoim dworem.

Młody książę się zachmurzył; kustosz widząc, że matka i syn najprędzej się porozumieją zostawszy sami, wstał i pożegnał starą księżnę, która go do progu odprowadziła. Zaledwie z oczów jej zniknął, gdy wzrok podniosła na syna.

— Poczciwy ten przyjaciel — rzekła — tak bardzo troszczy się o nas, jak żaden o krewnych... Ma on po części słuszność, że zanadto jesteś ukryty i dajesz wszystkim iść przed sobą... ale mogłoż się inaczej ułożyć, przy tak szczupłych środkach, a takiej nawale długów? Ludzie by uwłaczali pamięci ojca, mówiąc, że my długów tych nie płaciemy, a na zbytki tracim. Ks. Fantoni ma może słuszność — powtórzyła księżna — czyniąc mnie wyrzuty... Ja mogę pozostać w kątku i zakryta, ale ty...

— Ja—począł syn z widocznem zakłopotaniem — ja—idę za radami Lubomirskiego, nie kryję się, jeżdżę i bywam wszędzie, alem nie winiem temu, że inni świetniej występujący—więcej oczy ściągają.

— O! tyś bo rzadko nieśmiały—odparła matka — wszyscy to mówią, ja to widzę. Wieluż uboższych od ciebie, a niemających takiego imienia, hałaśliwie sobie torują drogi i w towarzystwie odgrywają rolę...

— Ja nie potrafię tego — uśmiechnął się ks. Michał.

Zaraz po wyjściu ks. Fantoniego przybyła Hela stała tuż i słuchała.

— Potrafilibyście—wtrąciła — gdybyście chcieli tylko, ale ta powolność wasza, ta obojętność na wszystko.

Ks. Michał zwrócił ku niej oczy z wymówką.

— Że i ty nawet mnie obwiniasz! — rzekł — ale zachowanie się moje doskonale się godzi z położeniem...

— Ono mówi tylko jakbyś niczego nie żądał od losu i nie czuł się stworzonym do niczego więcej nad taką zapomnianą, ubogą, egzystencyą—podchwyciła Hela.

— Ale w świecie bez środków... bez... zewnętrznej okazałości — przerwał ks. Michał — nic się nie robi, a na śmieszność naraża. Stojąc na boku, nie wymagając nic, łatwiej mi jest moją godność zachować. Gdybym się cisnął zbyt natarczywie, mógłbym się narazić na nieprzyjemne odparcie, któregobym nie zniósł.

Rozmowa pomiędzy matką, która zamilkła dumając, a synem, zmieniła się na maleńką sprzeczkę Heli z kuzynem. Ks. Gryzelda, która potrzebowała być samą, wyszła zostawując ich z sobą, pewna, że młode dziewczę wypowie myśl własną razem ze swoją.

Michał usiadł naprzeciw niej z rodzajem rezygnacyi, ale, jak zawsze, gdy z nią był sam na sam, twarz zwykle zasępiona rozjaśniła mu się, wziął jej rączkę, pocałował, uśmiechnął się i rzekł prawie dziecinnym wyrazem głosu:

— Nie łajcież, bo mnie wszyscy!... czego chcecie odemnie!... Jestem i bez tego dosyć biedny i umęczony...

Hela niecierpliwie poruszała ramionami, ale wejrzenie jej z wielką czułością spoczywało na kuzynie.

— Wszyscy my o was się troszczym—rzekła—wszyscy, aż do ks. Kustosza, który choć obcy, znajduje, że wam przystało więcej się i okazalej pokazywać na świecie—jeden tylko... sam ks. Michał tak jest obojętnym...

— A! Helo moja — przerwał książę ciągle goniąc za rączką jej, którą usiłował pochwycić, a która mu się wysuwała. — Helo moja... ten biedny Michał wcale dla siebie czego innego pragnie i marzy, niż wybyście mu dać chcieli. Ja nie jestem stworzony do tego świata, w którym mi ciągle czegoś dobijać, coś zdobywać potrzeba, aby nazajutrz jeszcze większego i wyższego pragnąć. Takby mi dobrze było w bardzo miernym stanie, w bardzo skromnym pałacyku, z kilkunastu służby w ładnej barwie, z parą kolebek poszóstnych w stajni, z dobrym kucharzem i pasztetnikiem.

— No i z garderobą z Paryża! — dodała szyderczo Hela.

— A! to się rozumie — wesoło ciągnął dalej książę.

— Cóż więcej? — pytała Hela.

— Bez troski o te Boratynki, bez długów, od których się trzeba wypraszać...

Tu zamilkł chwilę.

— Bez nieprzyjaciół, bez tych walk i intryg, które zatruwają życie—dokończył.

— Obraz tego pożycia niepełny — wtrąciła Hela dla dopełnienia go potrzeba dostojnej i miłej małżonki...

— Wiesz—żywo zawołał ks. Michał—bylebym miał matkę i ciebie, nie zatęsknię za nikim więcej. Kobiet się boję... a spokój tak mi jest drogi.

— Leniuszek jesteś — odpowiedziała Zebrzydowska. — Boisz się wszystkiego, gdy ojciec twój niczego się przecież nie lękał.

Zmarszczył się na to wspomnienie Wiśniowiecki.

— Mylisz się Helo moja — rzekł poważniej — a jeżeli się w polu nie lękał nieprzyjaciela, o tego i ja się nie obawiam, ale tych, co pozorem przyjaźni i braterstwa zdradę przynoszą.. co jemu życie tak ciężkim uczynili, tak jak ja się obawiał i nienawidził. Nie idę więc chętnie tam, gdzie się z niemi spotkać mogę.

Żebrzydowska siedziała zamyślona.

— Wszystko to w kobiecie by było do wytłómaczenia—odpowiedziała po przestanku—mężczyzna stworzony jest do walki; nie do takiego żywota sybaryty w spoczynku... cóż, gdy jak wy młody jest, gdy nosi imię Wiśniowieckich—i gdy ma wszystko, coby go na świecie zalecić mogło...

— Ah! — rozśmiał się ks. Michał — mylisz się właśnie przyznają mi, czego nie mam!...

Oboje milczeli chwilę, Hela badała go wzrokiem, on milczał, lub spotkawszy jej wejrzenie uśmiechał się słodko.

— Wierz mi Helo — rzekł wstając — póki mam matkę i ciebie więcej nic a nic nie pragnę. Tak mi z wami dobrze... Sądzisz, że zbliżając się do tego świata, najeżonego intrygami, smaku do czego nabrać można!... Patrzę, słucham i wzdrygam się. Widzę ich jak się ściskają, całują, zwierzają sobie, jak się bratają, a w chwilę potem ośmiewają się wzajemnie i dołki kopią pod sobą... Walka Paców z Radziwiłłami, walka Lubomirskich z Sobieskim, niedowierzanie, sprzedawanie się wzajemne... zgody, które są zawiązkiem nowych kłótni, przymierza nazajutrz zrywane, zazdrości, współzawodnictwa, ambicye nienasycone... a fałsz chlebem powszednim...

Hela słuchała ze smutną rezygnacyą.

— Wy wszystko widzicie za czarno—odezwała się. — Ludzie są słabi, ale nie tak źli, jak się wy-

dają, a z takiemi, jakich ich Pan Bóg stworzył żyć przecie potrzeba, bo na pustynię uciec nie można...

Widząc zasępionym mocno Michała, litościwe dziewczę usiłowało go rozerwać.

— Spodziewam się — rzekła — żeście nie zapomnieli wysłać do Paryża zamówienie na suknie?...

— Wczoraj jeszcze—żywo odparł ks. Michał — coś podobnego mieć muszę, jak Chavagnac... Na nieszczęście te koronki są tak drogie, a hafty i galony tak sobie płacić każą.

— Będziesz, że to miał w porę na koronacyę?— pytało litościwe dziewczę.

— Wyraźnie położyłem ten warunek. Sejm Elekcyjny, który się dopiero rozpoczyna, niezawodnie się przeciągnie. Choćby nie szło o kandydata, szlachta różne wprzódy położy warunki, odzyskanie ziem oderwanych, zabezpieczenia praw dyssydentów i tym podobnie. Będzie to pretekstem do długich mów, rozpraw i straty czasu... Przyjdzie potem posłuchanie posłów, kandydatów do tronu, narady... burze... i w najszczęśliwszym razie miesiąc czasu od otwarcia upłynie. Nie wiem zresztą, ale jeżeli jest w interesie Interrexa naszego dłużej się bawić tą władzą jaką ma... przeciągnie... Czekać może zechce, aby Kondeusz się miał czas zbliżyć do granicy i ukazać potem natychmiast w aureoli swego rycerskiego bohaterstwa... Jeżeli mi nie przywiozą na czas tych sukni z Paryża—dodał z wielkim naciskiem książę— przyznam się, że będę w czasie uroczystości następnych dosyć zakłopotany... Jeden tylko garnitur cały mam świeży i wytworny, inne nie nowe są i znać na nich, że wiele do zmiany nie mam w garderobie. Chavagnac mi wielką oddał przysługę, wcale się tego nie domyślając...

— Zdaje mi się — szepnęła Hela — iżby się bez niej obeszło, bo księżna spodziewa się pieniędzy i wiem, że one są dla was przeznaczone...

— Naprzód powinna pamiętać o sobie—wtrącił książę.

— My niczego nie potrzebujemy—sprzeciwiła się Hela. — Wam wszystkiego trzeba... Suknie, konie, barwa, ludzi...

Niedokończyła. Książę Michał westchnął.

— Nadewszystko potrzeba wam ochoty do życia... — zakończyła Hela.

Spojrzeli sobie w oczy. Wiśniowiecki nie odpowiedział, wziął jej rękę, przyłożył do ust i wyszedł zadumany.

Wkrótce potem kazał sobie podać konia i wyjechał na miasto; dzień wiosenny wabił wszystkich ku Woli, tłumy ciekawych ciągnęły ku szopie. Książę pojechał też ku dworowi kanclerzyny Pacowej, który stał na drodze z Warszawy ku okopom. Dla ciekawych pań, przyjaciółek Kondeusza, które Elekcya żywo obchodziła, tak, że pragnęły być jaknajbliżej Woli i poza pod okopami, właścielka rozkazała właśnie przybudować wzdłuż dworu długą całą oszkloną galeryę, w której jak kwiaty w cieplarni po całych dniach, od dnia rozpoczęcia zjazdu, siedziały wszystkie piękne i nie piękne, młodsze i starsze panie, przypatrując się przejeżdżającym, krytykując powozy, konie, ubiory, służbę, zatrzymując znajomych, powiewając chustkami i bawiąc się ruchem ożywionego gościńca doskonale.

Kanclerzyna ledwie mogła pomieścić gości, tak się jej tu napraszano, panie siadywały po całych dniach, mężczyźni przybywali, siedzieli, odjeżdżali, wracali.

A że sprawa Kondeusza, którego niewidzialna chorągiew powiewała nad tą galeryą, stała w przekonaniu wszystkich doskonale, wesołość i najlepszy humor panowały tu ciągle, galerya rozlegała się śmiechem, piękne panie trzpiotały. Nie pominął nikt kanclerzynej, aby nie stanął lub przynajmniej nie zwolnił kroku i parę słów nie zamienił z kobietami.

Kanclerzyna, hetmanowa, piękna młodziuchna księżna Radziwiłłowa, Donhoffowa i inne, miały na usługach mnóstwo kawalerów, krewnych, dworzan... Ci pomiędzy Wolą, Warszawą, a w pośrodku stojącym dworem tym utrzymywali nieustający związek. Zbiegały się tu nowiny najświeższe, plotki i wiadomości z obu stron.

Nikt do okopów nie mógł się dostać nie przejechawszy pod oczyma ciekawych pań, które na dane hasło zbiegały się do okien, cisnęły, pozdrawiały znajomych, i rozpierzchały około stołów przez cały dzień przekąskami, konfiturami, ciastami i winem zastawionych. Jadący konno podjeżdżali pod samą ścianę, aby podaną im białą rączkę uścisnąć i odebrać z koralowych ust rozkazy; z kolebek niektórzy wysiadali, inni jak Prymas wychylali się, błogosławili.

Gawiedzi też ciekawej zawsze nieco opodal stały gromadki, które więcej oknom galeryi niż przejeżdżającym się przypatrywały.

Książę Michał bezmyślnie skierował się w tę stronę zrazu, ale wpół drogi, spojrzawszy na swego wierzchowca, na towarzyszących mu dworzan w dosyć wytartej barwie, zawrócił... O białym dniu on i jego dwór nadto niepocześnie wyglądali, aby się narażać na porównanie z temi, którzy pod galeryą znaleźć się musieli, a ci właśnie stanowili część towarzystwa najwytworniejszą.

Nawet młody przyjaciel Pac, z którym się spotkał, namówić go z sobą nie mógł do kanclerzynej, książę Michał wymówił się tajemniczą jakąś sprawą pilną, a udał się na samotną przejażdżkę...

Gdy się to działo, a księżna Gryzelda, po żywej rozmowie z Helą, wzięła książkę, aby czytaniem zatrzeć przykre wrażenia i smutne myśli;—stary sługa dał jej wiedzieć, że ów niegdy księcia Jeremiego dworzanin z Sandomierskiego, niejaki Wacek Grąbczewski, chciał się pokłonić.

Nie dobrze zrozumiała księżna czego on mógł potrzebować, gdyż raz już mówiła z nim, ulękła się nawet trochę, aby nieświadomy jej położenia, nie zażądał w imie dawnych zasług jakiej pomocy, lecz ktokolwiek przychodził w imię nieboszczyka—odepchnąć go nie mogła.

Zyskał więc powtórne posłuchanie Grąbczewski.

Z wielką pokorą stanął ubogo odziany, chudy, długi, z szyją też wyciągniętą, z głową śpiczastą — niegdy Wackiem poufale zwany podkoniuszy Jeremiego.

Pozdrowiła go uprzejmie księżna, nie powstając z siedzenia, zakłopotana samą myślą tą, że może czegoś żądać, czego mu odmówić będzie musiała.

— Ja to — odezwał się szlachcic od progu, pociągając wąsa, widocznie zmięszany... jąkający się— ja to do stopek W. ks. Mości raz jeszcze przychodzę z prośbą wielką.

Księżna aż pobladła.

— Kiedy mi moją śmiałość, pani przebaczy — mówił dalej Grąbczewski. — My Sandomierzanie wszyscy w wielkiej mamy weneracyi tych, co dla rzeczypospolitej cierpieli i walczyli za nią, więc też i imię nieboszczyka, panie mu świeć—Jeremiego jest u nas w największej estymie. Zatem i ród jego cały... wielu się u mnie prosi, żeby choć syna bohatera oglądać mogli. Jużci to trudno wszystkich przyjmować... ja to wiem, ale mam jednego poczciwego przyjaciela, a po trosze i plemiennika... którego bym, za pozwoleniem księżnej Mości (tu się pokłonił) — rad przyprowadzić... niechby miał to szczęście krew wielkiego naszego hetmana oglądać.

Księżna słuchała, powoli ochłonywając ze strachu... ale prośba poczciwego Grąbczewskiego nie mniej tak się wydała dziwną jakoś, że nie rychło odpowiedź na nią znalazła...

— A wy toście ks. Michała nie spotkali, nie widzieli? — spytała.

— Niech mi W. ks. Mość daruje—rzekł szlachcic — oczyska mam złe, nie dowidzę, a co prawda, nie widywałem ks. Michała od jego dziecięcych lat, poznać by mi było trudno.

Uśmiechnęła się staruszka wesoło, bo ta cześć dla imienia męża miłą sercu jej była.

— Mój Grąbczewski—odezwała się do niego—jutro rano przyjdź z tym przyjacielem, Michał będzie w domu, i starego sługę ojca pewnie przyjmie wdzięcznie. Za przywiązanie do domu naszego—Bóg zapłać!

Szlachcic nie przedłużając już rozmowy, nizko się pokłoniwszy, wyszedł natychmiast.

Dziwne trochę żądanie Grąbczewskiego, przez cały dzień w wesołem usposobieniu utrzymywało staruszkę, pochwaliła się tem Heli naprzód, potem ks. kustoszowi, który przyszedł na chwilę, naostatek powracającemu ks. Michałowi, który wiadomość tę przyjął dosyć obojętnie. Dać się tak na widowisko nie było mu miłem. Nie był wcale usposobionym do przypochlebiania się i pozyskiwania sobie serc panów szlachty. Wychowaniec innego świata, dziecię innej cywilizacyi, mało rozumiał tę tradycyjną, starą domową, która nie mając powierzchownej ogłady zachodniej, w pewnych względach stała z nią na równi.

Śmiałem się może wyda to twierdzenie, lecz nie mniej pewna, że moralne i religijne pojęcia w lepszej części szlachty, rozwinięte były wielce, a tam gdzie ani fanatyzm ni przesąd nie skalał ich, na łacinie samej wyrobieni ludzie, mogli na francuszczyźnie wypolerowanym sprostać.

Skrzywił się nieco ks. Michał, gdy mu matka prośbę Grąbczewkiego przełożyła, dodając, że mu posłuchanie zapewniła. Matce niczego w świecie odmówić nie mógł... ale gdy sam na sam pozostał z Helą zamruczał.

— Niepodobam się im, to pewna, chociaż starać się będę, abym pamięci ojca nie uczynił krzywdy... ale co za pocieszna myśl chcieć mnie oglądać?...

Hela nie znajdowała jej wcale tak dziwną.

— Mój Michasiu — odezwała się łagodnie przygotuj się tylko jutro z wesołą twarzą do szlachty... po co świat ma wiedzieć, jakie my troski w sobie nosiemy?

Nazajutrz około dziesiątej zjawił się zapowiedziany Wacek Grąbczewski, prowadząc z sobą drugiego mało co pokaźniej, niż on sam wyglądającego pana brata. Był to Ireneusz Piotrowski.

Uprzedzona służba, której stara księżna kazała się w trochę większej liczbie i w najlepszej barwie stawić, wprowadziła do salki jadalnej gości, w której staraniem Helki, niezbędna przekąska była przygotowaną.

Hela, której o sławę domu nie mniej chodziło, jak księżnie Gryzeldzie, postarała się o to, aby w zastawie stołu resztki sreber, szkła rzniętego, i najpiękniejsze obrusy wystąpiły,..

Śniadanie też zimne, z wędlin, chleba, masła, suszonych owoców i różnych przysmaków złożone, wcale pańsko wyglądało...

Przychodzących przywitała Hela, a tuż i ks. Michał już ubrany, w najświeższej peruce, w najwytworniejszych sukniach, z dosyć jasną twarzą ukazał się na progu, na komplement Grąbczewskiego odpowiadając bardzo grzecznem powitaniem.

Wacek natychmiast powinowatego swego Piotrowskiego przedstawił, ale pod imieniem Sasa, które klejnot oznaczało...

Piotrowski po krótkim preliminarzu zręcznie zawiązał rozmowę, której ks. Michał dosyć roztargniony słuchał. Nie wiele go obchodziło to wszystko Kiedy niekiedy rzucał słówko od niechcenia.

Tymczasem przepić musiał do gości, i razem z niemi ochoczo się wziął do śniadania.

Hela wyszła zaraz zostawując ich samych, i wkrótce Piotrowski bardzo zręcznie na elekcyą się zawrócił.

— My byśmy, radzi co najprędzej tę pańszczyznę odbyć—mówił—bo dla nas hreczkosiejów to ciężka rzecz w samą porę wiosenną, przy nadchodzących sianokosach, a gdzie może niejeden się jeszcze i nie obsiał, stać w polu kilka tygodni... a, choć suche dni minęły pościć często gęsto, bo nie każdemu stać na kuchtę.

— Zdaje się — wtrącił książę obojętnie — iż elekcya się nie przeciągnie, wszyscy zgodni prawie na Kondeusza. Drudzy kandydaci nie wielu za sobą mają.

— Myśmy to słyszeli i wiemy o tem—odezwał się Piotrowski—ale i to nam wiadomo, że Kondeusz za gotowy grosz sobie przyjaciół pokupował, a to jest obrazą Bożą, simonją wprowadzać tam gdzie ducha świętego się wzywa i jemu potem przypisywać, co się pieniędzmi uczyniło.

U nas szlachty Kondeusz nie jest *persona grata*...

— A któż? — spytał ciekawie ks. Michał.

— Bóg wiedzieć raczy, kogo nam podda duch święty — śmiejąc się mówił Piotrowski. — Czemu by Piast nie miał być?

— Ah! — spytał Wiśniowiecki — wybór Piasta bardzo trudny — bo to tak dobry jeden jak drugi... a zazdrość by się zrodziła nadto...

— My też nię przesądzamy nic — ciągnął na pozór obojętnie Piotrowski — to tylko W. ks. Mości powiemy, co jest rzetelną prawdą, iż szlachta niemal wszystka (trutniów się nie liczy) ani Kondusza nie chce, ani żadnego z tych, co się jemu przekupić dali.

Rozśmiał się książę słysząc to.

— Wybór będzie bardzo trudny — rzekł żartobliwie — ja tam w te sprawy się mało wdaję, za młody jestem, ale że pomiędzy panami mało kto jest nie pozyskany dla Kondeusza... —więc kandydata nie łacno znajdziecie.

— Ha! —rozśmiał się Piotrowski—przy pomocy Bożej, gdzie kilkadziesiąt tysięcy głów jest do wybierania i do wyboru razem, jedną zawsze się wyszuka, której korona będzie do twarzy...

Śmiejąc się wołają niektórzy, żeby bodaj Polanowskiego, aby nie Kondeusza, ani tych, co się przekupstwem skazili.

Książę Michał milczał, a Piotrowski popatrzywszy na niego ciągnął dalej.

— Ja to Waszej Książęcej Mości z naszych arkanów się spowiadam, bo syn Jeremiego, srodze pokrzywdzonego do magnatów tych nie należy, co bez szlachty, sami chcą koroną rozporządzać.

Zarumienił się Michał—rozmowa poczynała być drażliwą.

— To pewna—odparł nieco się zawahawszy — iż ja do żadnej partyi nie należę, a za młodym jestem, abym mógł co znaczyć między koryfeuszami... Dla mnie, kogo Bóg natchnie, a szlachta wspólnie z szatanami okrzyknie panem, równie będzie wdzięcznym...

— My też nie inaczej o Waszej Książęcej Mości wróżyliśmy sobie — mówił Piotrowski. — Imieniem i rodem należycie nie tylko do magnatów, ale do jagiellońskiej dynastyi, a no sercem i duchem, po tem czegoście doznali trudno wam z panami iść, szlachta też tem więcej was miłuje.

Skłonił się zmieszany nieco ks. Michał, nie wiedząc już co ma odpowiedzieć. Nastąpiła chwilka milczenia, przerwał ją Grąbczewski.

— W. Książęca Mość, nie możecie tego ani wiedzieć, ani widzieć, jaki duch szlachtę zagrzewa... a jak oburzoną jest, że jej Simonjacy chcą swego króla narzucić. Głoszą go bohaterem wielkim, wodzem i hetmanem, ale pono inna to wojnę prowadzić z niemcami czy francuzami, niż u nas z kozaki i tatary. Nam drugiego by Jeremiego potrzeba... a prze-

dewszystkiem szlachta, której więcej jest stokroć niż panów, pragnie obrać sobie króla po swej myśli a woli Bożej.

Słuchał ks. Michał zdziwiony nieco, niedowierzający, lecz ciekawy.

— Pierwszy to raz o tem usposobieniu wmościów się dowiaduję — rzekł — ale życzę, aby lepiej porozumieć się i iść zgodnie, a do rozterki i rozdwojenia nie dać asumptu.

— Lubo, nam się widzi dodał cicho i skromnie Piotrowski — nie może być ani walki, ni rozdziału. Nas szlachty, jest, co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, Kondeuszowych panów, licząc hojnie, kilkuset... więc liczba weźmie górę...

Słuchając tego programu jak zabawnej baśni, Wiśniowiecki, który widział w tem tylko fantazyę szlachecką, nie mogącą się urzeczywistnić, wesoło napełnił kieliszki winem, które przed nim stały i odezwał się konkludując do Piotrowskiego:

— Zatem waszego kandydata zdrowie.

I wypił, a Grąbczewski z Piotrowskim żywo i głośno okrzyknąwszy—Vivat! poszli w jego ślady.

Wkrótce też potem, pod pozorem zajęcia Wiśniowiecki wstał, a szlachta się z nim pożegnała.

Wprost od niej przeszedł książę do matki, aby jej zdać sprawę z przyjęcia gości, choć staruszka siedząca w sąsiednim pokoju, część rozmowy słyszeć mogła.

— Mameczko droga — rzekł wesoło w rękę ją całując, rad, że się pozbył szlachty — nasz Grąbczewski przyprowadził mi osobliwego Sandomierzanina... Utrzymuje on, że na złość Prymasowi i Sobieskiemu Kondeusza nie wybiorą...

I śmiać się począł—nie mogąc powstrzymać...

— Szlachta myśli o Piaście! — dodał ramionami zżymając — górą pan Polanowski!!

V.

Kika tygodni upłynęło na wstępnych rozprawach około królewskiej elekcyi, sam wybór przeciągał bardzo, a panowie szlachta szemrali. W istocie przyczyn zwłoki trudno się było dobadać.

Na Woli, około okopów, obozowiska województw przedstawiały obraz tak ciekawy i ożywiony, iż tłumom, które się tu ściągały, aby mu się przypatrywać choć zdala, wcale się dziwować nie było można.

Mało kto, zamożniejszy mógł się w mieście wygodniej rozłożyć, uboższa szlachta, a tej liczba była przemagająca, w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu obozowała. Tylko był to obóz *sui generis*, bez taborów po większej części, a że już od miesiąca się tu rozłożył, miał czas sobie stworzyć pewną fizyognomię odrębną.

Nie mówiąc już o tem, że Litwa i Ruś samą powierzchownością, mową i obyczajem, na pierwszy rzut oka różniła się ogromnie od Wielkopolski, mało polan i mazurów, każda ziemia miała odznaczające ją właściwości. Po sukniach, po wozach, po uprzężach i po garnuszkach z jadłem odróżnić było można zkąd kto pochodził...

Prześmiewano się tak dobrze z mazurskiej mowy, jak ze śpiewania litwinów, ale drwiono też z różnych właściwości krakowian i sandomierzanów. Rzadko jednak między panami bracią przychodziło do drapieżnej waśni, a dłuższe obozowanie pozawiązywało mnóstwo stosunków i poprzypominało dawne koligacye i związki.

Życie tu wiodło się w osobliwszy sposób. We wszystkich województwach, naczelnicy ich, starszyzna, pan wojewoda, kasztelan mieli rozbite namioty pańskie ogromne, często po kilka ich otaczało chorągiew, a tabor też wozów je opasywał — ale pan wojewoda nigdy lub bardzo rzadko noc przepędzał w polu, miał każdy pomieszczenie w klasztorze, dworze, w najętej kwaterze w Warszawie, a na Wolę, do swoich zjeżdżał tylko we dnie, gdy było potrzeba. Stoły otwarte, marszałkowie dworu obsługiwali, zastępując panów.

Oprócz tych różnobarwnych, kosztownych szkarłatnych, złocistych, pasiastych namiotów pańskich, które zdala widać było, mało kto miał pokaźniejszy.

Bracia szlachta albo sobie kleciła szatry płótnem zgrzebnem i wojłokami oktyte, lub budowała szałasy, budki i szopki. Niektórzy z tarcic wcale pokaźno sklecone mieli domki słomą okryte, ale tych było niewiele.

Wóz, a przy nim daszek od słoty przyparty, ognisko wykopane w ziemi i od wiatru przysłonięte, były najzwyklejszem schronieniem. Około wozu czeladź na gołej ziemi legiwała, chroniąc się pod wóz, gdy deszcz nocą padał. Sam też pan niewiele więcej wymagał, bo każdy był do łowów i do koczowania nawykły, a choć potem łamało w kościach—niezważano wiele i lada smarowanie pomagało.

Konie musiały dzielić los panów, choć wielu o nie prawie dbało więcej niż o siebie i ludzi, i dla nich szopki kleciło, a żłoby kupowało. Ubożsi wszakże z płóciennym żłobem i workami na łeb zarzuconemi się uspakajali.

Było co się rozliczności tych gospodarstw przypatrzeć, bo i tu charakter, temperament, obyczaj człowieka dobitnie się malował. Jeden dbał tylko aby jego taborek pięknie świecił, drugi aby mu wygodnie i zaciszno było.

Nie zbywało i na stowarzyszonych po kilku, którzy do spółki obozowali, gotowali, jedli pili i noclegowali.

Bracia, powinowaci, przyjaciele chętnie się tak skupiali, bo im kupką było najweselej,—kuchta jeden warzył, expens był mniejszy, jadło lepsze... śpiżarnia obficiej zaopatrzona. Z tą, po czterech tygodniach, gdy się z wozów wyjadło wszystko, nie jeden miał kłopot nie mały. Trzeba było po wszystko do miasta na rynki i targi posyłać, bo przekupnie miejsca zabiegali po drogach i gościńcach, wykupując od wieśniaków wszelką żywność, a potem ją dwakroć przedając drożej. Przychodziło nieraz z temi przekupniami, po większej części żydkami, do kłótni i do bójki po przesmykach, a przemyślniejsza szlachta posyłała po wsiach okolicznych dla picowania.

Jadło swoją drogą, a napój też był niemałą troską, bo i o dobrą wodę dla koni i ludzi nie łatwo było, rozbijano się u studni z wiadrami, wozili ją beczkami sprzedający. Tandem bez piwa, gorzałki i nawet wina mało kto się obchodził. Co się z domu przywiozło nie na długo starczyło przy dobrych humorach, o piwo wareckie, częstochowskie i inne trzeba się było starać w Warszawie, a nie zawsze go łatwo i tanio dostać było, — na gorącu też kwaśniało prędko.

U skrajów obozu stały wprawdzie z wiechami sosnowemi budy, w których sprzedawano gorzałki, piwa miody, a nawet liche wina, ale w tych szynkach czeladź się po większej części napijała, bo szlachcic do nich szedł niechętnie. Najuboższy nawet swoją chciał mieć piwa bodaj baryłkę. W gorące dni wychodziło ono tak, że ani się było opatrzeć, gdy drożdże tylko pozostały. Przyjęcia u wojewodów, dygnitarzy i panów nie starczyły szlachcie— a nie codzień bywało tego świętego Jana. Kłopot więc, bo raz w raz trzeba było sięgać do mieszka,

licząc się z tem, czy do końca starczy a i z powrotem do domu.

Jeśli komu tu gody były to chyba czeladzi,— dla tej elekcja rajem się mogła nazwać, bo i swobody miała więcej i zabaw różnych do wyboru.

Około bud, szynków i kramików gromadziły się płci obojej z miasta przybysze nie samej ciekawości k'woli. Postrojone jejmościanki, pod wieczór zawodzące pieśni, czeladź na pokuszenie wiodły.

Obok tych, kosterów z miasta, na oko ludzi porządnych, nadchodziło dużo, z kośćmi podrabianemi, z kubkami umyślnie na oszukaństwo robionemi. Kto się tu wdał w grę, nie wyszedł cały. Z tych zawsze prawie i kieszeń próżną i guzy w dodatku wynosił.

W szałasach niektórych cyganie, żydzi i różne narody grały do tańca, śpiewały pieśni, a młodzież z pannami z miasta patrzała się na pląsy. Na tem jeszcze nie koniec pokusom, bo ławek i straganów z rozmaitą kupią, stały całe szeregi, tak obrachowanych, że właśnie najpożądańsze towary w sobie zawierały, przyczem każdy taki przekupień zapewniał i poprzysięgał, że gorszy towar w mieście Warszawie, dwukroć był droższy.

W budach tych czego dusza zapragnąć mogła, dostał każdy.

Czapki, obówie różne, suknie nowe i przenoszone, chusty wschodnie, bramowania, kutasy, sznury, rzemień, sprzączki, żelaztwo... leżało tu poddostatkiem. Wszystko za bezcen.

Nie jeden łatwowierny szlachcic tak się tu zaopatrzył, że dopiero nazajutrz rano dojrzał oszukaństwo, gdy tego co go odrwił, ani było znaleźć.

Do miasta wprawdzie z ciekawości samej każdy się wlókł, gdy mógł, ale codzień tam bywać nie stało czasu.

W niedzielę obozowisko przy okopach, inną tylko przybierało postać. Budy z kupią były pozamykane, szynki nie wszystkie otwarte, bo kto mógł na nabożeństwo do kościołów spieszył.

W obozie było kaplic kilka pańskich, ale do tych się docisnąć nie każdy mógł i umiał. Wabiły też uroczyste nabożeństwa u św. Jana, u Jezuitów, u Bernardynów i po innych bliższych kościołach. Obóz w święta i w niedziele zmierzał, panowie wszyscy ucztowali w mieście, gdzie zawsze któryś z ważniejszych przyjmował, Prymas czasem, hetman, kanclerze, marszałkowie, Radziwiłłowie, Pacowie, Lubomirscy.

We dni powszednie szlachta wcześniej od panów otaczała szopę, i nierychło się doczekała z miasta prywatów.

Każdy z nich z pompą się stawił i okazałością, z pocztem, z hajdukami, z czeladzią, a kolasy pozłociste, a barwy jak z igły.

Biednej szlachcie już zmęczonej wyczekiwaniem widok tych wspaniałości o świadczących dostatkach, więcej przynosił goryczy niż pociechy. Kłaniano się duchownym okrom Prymasa, który miru nie miał, ale innych zuchwałe mierzyły wzroki i nie jeden nieprzyjemny wykrzyknik doleciał do ucha. Przez kilka tygodni miał czas każdy poznać i barwę i konie i dwór i oblicza dygnitarzy. Pokazywano ich sobie palcami.

Szopa, w której się naradzano oblężoną była po dniach całych, a szlachta otaczająca często bardzo burzliwie i krzykliwie się znajdowała... tak że Prymas i staruszkowie biskupi bledli, bo i szable pobrzękiwały i odgróżki latały w powietrzu.

Nikt już teraz nie mógł zaprzeć, że usposobienie umysłów po województwach bardzo rokoszem pachło. Spodziewał się jednak każdy z wojewodów i starszyzny, że u siebie, przez wiernych klientów burzę zażegna. Nie pierwszy to raz butna szlachta chciała moc swą pokazać, a gdy ją długo wytrzy-

mano na słocie, o głodzie, w końcu szła gdzie jej wskazano.

Tak, zdaniem Prymasa i Hetmana tym razem też być miało. A że niecierpliwość rosła coraz i objawiała się codzień gwałtowniej—postanowiono wreszcie, że posłów od kandydatów do korony przyjmować miano, co zapowiadało już zbliżającą się elekcję. Dla wszystkich była ta chwila stanowcza, bo i na wystąpienie posłów rachowali partyzanci, gdyż z wspaniałości ambasady wnoszono o zamożności panów, co je wysyłali. A nie łatwą rzeczą było wystąpić tak, aby ludziom zaimponować tam, gdzie naprzykład hetman Sobieski z królewskim niemal przepychem się pokazywał codzień, z końmi, kolaskami, usarją, kopijnikami, kozakami, z których kapało złoto.

Obok hetmana, Radziwiłłowie też z niemniejszą ostentacją przyjeżdżali, a Lubomirscy, Pacowie, nawet Morsztyn nie dawali się im zatrzeć.

Jedni przepychem, drudzy smakiem, ci końmi, tamci rzędami i uzbrojeniem celowali, tak że było codzień na co patrzeć.

W szopie czasem wrzało i huczało, a gdy się tu poczęło, do koła też szlachta brała udział we wrzawie. Dopiero pod wieczór kończyły się narady i znowu począwszy od kolaski Prymasa ciągnęło to wszystko mimo domu kanclerzynej do miasta.

Tu mało kto nie był zmuszony stanąć, bo piękne panie niedawały się pominąć, nie zasiągnąwszy wiadomości u źródła. Często bardzo przed tym domem kanclerzynej powozów, koni i ludzi było tyle, że drogę zapierali. Rozlegały się wesołe śmiechy, szumiały rozmowy, rzucano spragnionym z okna pomarańcze. Pacowa kazała rozuosić po gościńcu wino i napoje, jakich kto zażądał.

Wcale się nie troskano o to, że oprócz osób należących do tego towarzystwa, mnóstwo szlachty, mieszczan i gawiedzi różnej przypatrywało się temu pańskiemu... mięsopustowi na ulicy który szlachtę

szczególniej raził i oburzał wyzywającem swem przyzwoitości iekceważeniem.

Na tem kończyły się prace dzienne senatorów, którzy powróciwszy do Warszawy, przebrawszy i otrząsłszy z okrutnego kurzu, który najczęściej na drodze tumanami się wzbijał, jechali albo na nowe narady, lub zaproszeni na biesiady, najczęściej kończące się takiemi upojeniami, że niektórzy z niego dopiero około południa wychodzili, całkiem już do Szopy i okopów jechać nie mogąc.

Tu także noc miała swą odrębną fizjognomją. Nie mówiąc o budach pod wiechą, otwartych do białego dnia, z pod których dromle, cymbały, szaławaje i skrzypki ze śpiewkami słychać było, a do nich czeladź się wykradała, pod wielą namiotami i szałami ucztowano nie wytwornie, ale obficie się składając na wspólne biesiady. Napoje wówczas podbudzały umysły, żywiej poruszały serca, śmielej się odzywano i tu niechęć przeciwko panom, która była hasłem elekcij od początku rosła, coraz groźniejszą się stająca.

Karmiono ją umiejętnie codzień nowemi opowiadaniami, a dosyć było samego widoku tych przepychów urągających się szlacheckiej mierności i ubóstwu, aby oburzyć i do zemsty podbudzić.

Lada słówko prawdziwe czy fałszywe, jakoby na pokojach wyrzeczone, które piórkami różnemi przystrajano, rozchodząc się z ust do ust jątrzyło ją coraz więcej. Utrzymywano, że Prymas i Hetman ze wzgardą się wyrażali o gawiedzi szlacheckiej, o szaraczkowych kapotach, którą obelżywie „szują“ zwali. Szlachta zrywała się do szabel, zgrzytając zębami i czasem tylko ostygnięciu w nocy i snom uspakającym winni byli panowanie, iż ich nie napastowano, gdy do Szopy jechali.

Trafiało się już wszakże, iż po drodze napiły, a nieumiejący się utrzymać szlachcic pięść ściśniętą wyciągał bodaj naprzeciwko Prymasa, a drugi sza-

blą pobrzękiwał. Wówczas nie pozostawało im, jak—niewidzieć i niesłyszeć, odwrócić się i pominąć zuchwalca.

Pomimo tych oznak, coraz częstszych podrażnień, panowie wcale niezwątpili o sobie i swej sile.

Klienci ich, któremi się każdy posługiwał, nie mówili im prawdy i nie śmieli wyznać, że ust otworzyć już w obronie Kondeusza i jego partyi nie było można w obozie.

Gorzeński, który z raportami przychodzi do Prażmowskiego, Korycki niejaki, służący w tenże sposób Sobieskiemu, Moczydło, który był Paca sługą;—spróbowawszy panów swych ostrzedz, nieznalazłszy u nich wiary, albo milczeli i dysymulowali, lub sprowadzali to o czem donosili do najdrobniejszych rozmiarów.

W obozie szlacheckim pomimo nocnych narad i spisków, we dnie panowała karność, bo i Piotrowski i jego pomocnicy ciągle to szlachcie wrażali, że do momentu ostatecznego, powinna się zachować skromnie, cicho, aby przedwcześnie panów do obrony nie zbudzić.

Piotrowski był niezmordowanie czynnym, ale po swojemu—wszędzie on był, albo ręka jego, a nigdzie go widać nie było.

Tak stały rzeczy, gdy jednego poranka, hrabia Chavagnac, poseł niefortunny księcia Lotaryngii, kończył się ubierać ,i oblewał perfumami, mając wyjechać do Kanclerzyny, a w tem służący mu oznajmił, że jakiś szlachcic życzył sobie z zim mówić.

Rola, jaką tu hr. Chavagnac odegrywał, była bardzo smutną. Godzien lepszego losu, lepszej sprawy, przebiegły, zręczny, umiejący sobie drogę utorować wszędzie murów nie rozbijając, dworujący chętnie pięknym paniom bez różnicy do jakiego obozu ich mężowie należeli i tym sposobem dowiadujący się mnóstwa tajemnic — od niejakiego czasu udawał zrozpaczonego i zwątpiałego.

Mówił otwarcie, że się już niczego nie spodziewał dla swego kandydata, ale mu honor kazał dotrwać do końca.

Potajemnie protegowany przez Austrję, Chavagnac przekonywa się, jak tu opieka w Polsce małego była znaczenia bez pieniędzy. Temi musiał bardzo oszczędnie szafować, bo zapasy się wyczerpywały.

Nieumiejętność krajowego języka zastępował Chavagnac jaką taką łaciną, a w najgorszych razach tłómaczem się posługiwał.

Oznajmienie o szlachcicu nieznajomym, który z nim mówić życzył sobie—nie było mu w tej chwili pożądanem, bo mu żaden taki szlachcic nie mógł się przydać. Skrzywił się i byłby go odprawił z niczem, gdyby nie myśl, że wszystkiego próbować i w zdesperowanych razach wszelkich środków się chwytać należało.

Przyglądał się jeszcze w zwierciadle najwytworniejszemu swemu ubraniu, które mu było do twarzy i poprawił peruki, w lokach spadającej z obu stron świeżej i ładnej twarzy, pełnej życia i dowcipu, gdy w tem samem zwierciadle pokazał mu się wchodzący gość tak ubogo, biednie, nieobiecująco wyglądający, iż Chavagnac pożałował, że go kazał wpuścić.

Obok niego miał nawet postać żebraka. Żupanik wybladły na piersiach, na tem kontusz sukienny dobrze przenoszony, pas zwiędły i wymęczony, na nogach buty niegdyś czerwone, ale dziś barwy niedającej się oznaczyć. Szabelka w oprawie prostej... czapka w ręku z barankiem, którego tylko resztki pozostały—oto był strój, w jakim Piotrowski się stawił do eleganckiego posła księcia Lotaryngii.

Piotrowskiemu na posmarowanie biedaków, których używał do rozbudzenia szlachty na ospałych województwach potrzeba było koniecznie pieniędzy. Zbierać ich po szlachcie nie mógł, straciłby mir

u niej przez to... od nikogo też brać nie chciał. Myśl mu przyszła śmiało do posła Lotaryngskiego zastukać, który miał w tem największy interes, aby szkodzić Kondeuszowi. *Dictum, factum* i oto stał przed hr. Chavagnac'em.

Hrabia przyjął go ukłonem zimnym nader, ale grzecznym. Nadto był dobrze wychowanym, by komukolwiek chciał uchybić, a robić sobie nieprzyjaciół nie była też pora.

— Mówisz pan po łacinie?—spytał go Piotrowski.

Chavagnac skłonił głową.

— Z biedy się rozmówimy—odparł.

Oko dyplomaty po odezwaniu się, poczęło badać przybysza i brabia zaciekawiony, postrzegł, że może go powierzchowność omyliła.

Wejrzenie Piotrowskiego zdradzało inteligencję. Nie płaszczył się też i nie uniżał jak inni. umiał zachować swą godność, co także mówiło za nim.

— Jesteś pan posłem księcia Lotaryngskiego?— spytał przybyły.

Chavagnac potwierdził.

— Musi więc waćpanu chodzić o to, abyś się niewygodnego i niebezpiecznego zbył współzawodnika. Mówię o Kondeuszu.

Wyrazy te w ustach tak niepoczesnego człowieka, wywołały uśmieszek mimowolny na usta posła. Co taki biedak mógł zaszkodzić Kondeuszowi, a pomódz Lotaryngskiemu?

Uśmiechu tego może dostrzegł Piotrowski, ale się nie zmięszał.

— Któż pan jesteś? i w czyjem mówisz imieniu?—zapytał Chavagnac.

— Kto ja jestem?—począł spokojnie szlachcic— to mój strój i mina powiada panu. Jestem jednym z tych dwudziestu tysięcy, *electores regum*, którzy stanowić będą w koronie.

Skłonił się Chavagnac.

— Przychodzę sam od siebie — ciągnął dalej

Piotrowski, i mam panu do uczynienia propozycję. Chcesz waćpan abyśmy ekskludowali z liczby Kondeusza, jako jawnie o przestępstwo obwinionego?

Poseł się aż rzucił w tył ze zdumienia.

— Ekskluzja Kondeusza!—zawołał żywo—zapewne! nic dla mnie pożądańszemby być nie mogło, ale jakże się to może stać?

— Co panu do tego, jeśli ja biorę na siebie, że my go wyłączymy—odparł Piotrowski.

— Jakaż rękojmia?

— Żadnej... moje słowo. Chcesz waćpan, dobrze—nie—kłaniam uniżenie. (Servus).

— Czekajże! na Boga!—zawołał mocno zaintrygowany Chavagnac — proszę pana. Rozmówmy się lepiej, otwarciej. Nie chcesz mi pan powiedzieć nazwiska swego?

— Owszem, jeśli ono potrzebne—rzekł—Sas— ale ono nie nauczy niczego. Jestem sobie ubogi i nieznaczący szlachcic — a jak mnie waćpan widzisz—ręczę za ekskluzją Kondeusza.

Chavagnac milczał.

— Tak—rzekł w końcu—ale jakież warunki?...

— Nader przystępne — odezwał się zimno Piotrowski.—Sto dukatów, nie więcej.

Śmiać się zaczął poseł.

— Żartujesz pan ze mnie?—zawołał.

— Bynajmniej, daje na to szlacheckie słowo, a u nas *verbum nobile* to tak jak przysięga, że Kondeusz będzie ekskludowany.

— Pewność z jaką to mówił Piotrowski tak uderzyła Chavagnaca, że się głęboko zamyślił.

Targ, jaki mu szlachcic proponował zdawał się śmiesznym, lecz Chavagnac znał już do tyla Polskę, iż wiedział, że tu z powierzchowności sądzić nie można. Śmiałość, pewność siebie Piotrowskiego, imponowały mu... wahał się. Ofiara była małoznaczącą, ale oszukanym być sobie nie życzył.

— Przyznasz pan — odezwał się — iż propozy-

cja takiej przysługi od zupełnie nieznajomego, który oprócz słowa swego żadnej nie daje rękojmi, potrzebuje namysłu. Nie idzie o sumkę tę, jest ona nieznaczącą, ale to wygląda na żart ze mnie!

Zmarszczył się Piotrowski.

— Mówię serjo i słowa dotrzymam, a nie miła moja ofiara.

Skłonił się.

Powaga i zimna krew szlachcica zwyciężyła. Chavagnac wyciągnął mu rękę.

— Siadaj pan, przynoszę co żądasz.

Zamiast usiąść Piotrowski począł się przechadzać po pokoju, a Chavagnac wkrótce powrócił z rulonikiem, który wcisnął wcisnął w rękę.

Szlachcic mu nie podziękował i obojętnie wsunął go do kieszeni.

— Słowo jeszcze—zatrzymując już wybierającego się odchodzić odezwał się Chavagnac. — Jakie masz pan środki, aby dokazać tego cudu?

— Najprostszy w świecie, jeden tylko, wiemy kogo i za jaką sumę kupił Kondeusz, co wziął i ma obiecane Prymas, Hetman i jego żona, Pacowie i in ni... dosyć będzie huknąć, aby zmusić senatorów do ekskluzij. Rzecz jest pewna i stanie się jak powiedziałem—dokończył Piotrowski.

Wszystko to stało się tak jakoś niespodzianie i prędko, że dopiero po odejściu szlachcica, poseł rozmyślając nad tem co uczynił — chociaż sam się śmiał z łatwowierności swojej—uznał dobrem, że sto czerwonych złotych ważył dla dokonania tego, za coby chętnie wprzódy ofiarował był tysiące.

Ale był też w położeniu tak rozpaczliwem, że stawić małą sumkę z nadzieją choć najsłabszą wygranej, mogło mu w każdym razie być wybaczonem.

Dnia tego, jak zwykle, jechał do domku nadrożnego Kanclerzynej, gdzie się piękne panie zbierały, aby słuchać kondolencij nad swym losem i żarcików. Tym razem jednak mała ta, nic nie-

znacząca okoliczność, spotkanie z Piotrowskim, dawało mu i humor lepszy i iskierkę nadziei.

Księżna Radziwiłłowa, gdy wszedł, pierwsza z twarzy jego wyczytała, iż był lepszej myśli.

— Hrabio—spytała go żartobliwie—miałżebyś od wczora pozyskać Prymasa, czy Hetmana, że tak dziś wyglądasz wesoło?

— Ja?—odparł zręczny francuz, ruszając ramionami—nie próbuję, jak księżna wiesz najlepiej, oblegać twierdz niezdobytych.

— Ale dziś masz niemal twarz zwycięzcy!—śmiała się księżna.

— Bez mej wiedzy—rzekł Chavagnac—gdyżczuję się, wedle logiki ludzkiej najniezawodniej pobitym... alem sobie przypomniał co historja powtarzanieustannie, że los dumnych upokarza... a Kondeuszowi tak zawczasu tryumfują... iż mogą wywołać zemstę losu.

— Z której hr. Chavagnac będzie się starał skorzystać!—zaśmiała się księżna.

Hrabia skłonił się w milczeniu.

O trzy kroki dalej siedziała w blasku swej piękności królewskiej Marja Kaźmira, przy niej wsparty na poręczy krzesła stał Hetman, który, jadąc do szopy na chwileczkę się tu zatrzymał.

Francuzka zrana odebrała listy ode dworu, a twarz jej promieniała tryumfem. Warunki wszystkie, jakie Sobiescy stawili za wybór upewniwszy Kondeusza, zostały przyjęte — a mimo to Hetman miał oblicze posępne i wąsa tak targał, jak gdy go co mocno drażniło. Razem z żoną wyszli do sąsiedniego gabinetu.

— Cóż tam znowu zaszło żeś tak chmurny?—zapytała Marysieńka.

— Jestem zmęczony jak wyrobnik! — zawołał Sobieski,—ani dnia. ani nocy spokojnej i drzwi się nie zamykają; ciągłe wydatki, na nic nie starczyć groszem—a na dobitkę mi Korycki młody przyniósł złe wiadomości z Woli.

— Z Woli? a cóż to być może — pogardliwie spytała Sobieska.

— Szlachta nie żartem spiskuje — mówił cicho Hetman — wre i kipi u Sandomierzan, w Krakowskiem, odgrażają mi że nas na szablach rozniosą i wprost wołają, żeśmy koronę sprzedali.

Zaperzyła się Marja Kaźmira:

— Hałastra! — zawołała gniewnie, tupiąc nóżką.—Szablami grożą, jak gdybyście wy wojska nie mieli, które ich w puch rozbić może!

— A potem?—pytał Sobieski—któż będzie króla wybierał?

— Senat... wy! okrzyknie go Prymas.

— Łatwo to powiedzieć, ale nie tak jak się zdaje dokonać. Za szlachtą stoi cała rzeczpospolita i jej prawa, które szanować musiemy.

Że zmarszczonem czołem zabierał się odchodzić.

— Korycki młody—przerwała nagle królowa—kłamcą jest. Chce tylko wyłudzić pieniądze. Strzeż się go.

— Pieniędzy nie żądał — odparł Sobieski — bo powiada że teraz na nic by się nie zdały.

Niedowierzająco popatrzyła piękna pani, niemogąc pojąć, aby kto nie potrzebował pieniędzy, gdy je pod jakimkolwiek wyłudzić mógł pozorem.

— Koniec końcem — całując białą rączkę, niechętnie podaną mu — rzekł Hetman: panu Bogu podziękuję, gdy zaśpiewamy Te Deum; niewytrzymałbym dłużej.

— Jutro, poseł Kondeusza? nie prawdaż—zapytała żona.

— Tak jest; dwie moje najpiękniejsze karety muszę posłać po niego, a moja pani i królowa będzie musiała niebieską się kontentować i temi woźnikami co przyszły z Jaworowa.

Byłaby może zaprotestowała piękna pani przeciwko poświęceniu jej dla posła Kondeuszowego, ale dla Francji gotową była na tę ofiarę.

Z kolei przed galerją Kanclerzynej przesunęły się wszystkie orszaki panów ciągnące do okopów. Młody Pac w towarzystwie ks. Michała, którzy dnia tego nie potrzebowali się znajdować przy swoich województwach—przybyli też bawić panie do pawilonu Kanclerzynej.

Pomimo bardzo starannego ubrania, książę Michał, w towarzystwie, w którem się kilku francuzów, Chavagnac, Pac i inni eleganci znajdowali — stawił się nader skromnie.

Oczy pięknych pań zmierzyły go ciekawie.

— Ten biedny Wiśniowiecki — szepnęła młoda Radziwiłłowa—aż mi go żal. Tak wszędzie pokorną i nieznaczącą rolę grać musi.

— Był to ulubieniec Marji Ludwiki—z przekąsem odezwała się Sobieska, — ale tylko dobre serce tej pani, mogło do istoty tak upośledzonej się przywiązać.

— Jakto?—przerwała Radziwiłłowa—słyszałam że mówi ośmiu językami!

— A tak, ale żadnym z nich nic do rzeczy powiedzieć nie umie—rozśmiała się Hetmanowa—i ten wiekuisty pozór ofiary, mający obudzać współczucie!

— Nie miał szczęścia się wam podobać?—podchwyciła Radziwiłłowa—tembardziej mi go żal.

Sobieska ruszyła ramionami.

W istocie ks. Michał, zmuszony pozostać w cieniu, sam jeden, bo mało kto się chciał zbliżyć do niego, nie znalazł nikogo takiego oprócz Chavagnaca, który tego dnia miał więcej uprzejmości niż zwykle i sam go przyszedł powitać.

— Na kiedyż wasz wjazd?—spytał go ks. Michał.

— Zapewne pojutrze—odparł wzdychając Chavagnac - mowę mam już gotową, ani się z tem kryję, że jej sam nie pisałem.

— Ks. Riquet—szepnął Wiśniowiecki.

— Tak jest — potwierdził hrabia — ale co zna-

czą najpiękniejsze słowa, gdy się niema czem poprzeć!

Żartobliwie ręce rozpostarł.

— Heroicznie—dodał—spełnię moją ofiarę i wypiję kielich do dna! Gdyby nie to że Neuburg jeszcze jest biedniejszym odemnie, bo o nim nawet mowy niema, byłbym najnieszczęśliwszym z ludzi.

Wiśniowiecki stał obojętnie zadumany czy roztargniony.

— Mój hrabio, — rzekł w końcu — mówią że w czasie elekcji dzieją się czasem rzeczy niespodziane. A nuż szlachcie się zamarzy okrzyknąć Lotaryngskiego?

Skrzywił się Chavagnac.

— Nie żartujcież! - odparł co niepodobna—niepodobna. Mojem zadaniem twarzą pogodną złą grę witać. Patrz książę, jak mój rywal jest tryumfujący.

Chwila była jakiegoś milczenia — okna galeryi stały otwarte; zdaleka od okopów wiatr przyniósł jakby jakiś szum i wycie. Szlachta się także około szopy manifestowała.

Chavagnac się wdrygnął cały.

— Trzeba przyznać — rzekł — że ta potwora Apokalypsy, która się zowie tłumem, głos ma nie piękny. Ryczy nawet gdy się weseli, a cóżby było gdyby się chciała rozgniewać!

Niektóre z pań zadrżały też na odgłos krzyków, dochodzących je od okopów. Sobieska, przypominając co jej mówił mąż, pobladła, ale Kanclerzyna Pacowa nie strwożona odezwała się:

— Szlachta jest w dobrym humorze! to dobrze! Im głośniej krzyczy, tem pewniej zrobi co jej każe starszyzna. Ja się raczej boję milczenia.

W tem zahuczało na gościńcu, na pole pędził jeszcze spóźniony biskup Chełmiński Olszowski, ale na widok jego wszyscy odwrócili głowy, panie się pochowały, i minął galerję, niemając się komu pokłonić.

— Przyjaciel Wiśniowieckich! — szydersko syknęła Dönhoffowa, spoglądając z ukosa na stojącego w cieniu ks. Michała—Podziwienia godna odwaga, że śmie z tem występować.

W tem weselszy jakiś przedmiot śmiechem wielkim, szepty te zagłuszył.

VI.

Nieodstępnym towarzyszem młodego Paca, który często księcia Michała odwiedzał, był jego wieku, daleki i powinowaty, Zygmunt Kiełpsz, starej litewskiej rodziny potomek, sierota, miernego majątku. Ale wychowany starannie, bo go Pacowie ze swemi synami razem w domu i za granicą kształcili.

Kiełpsz miał wprawdzie parę wiosek w Olszmiańskiem, które puszczał dzierżawą, starczyło mu to na przyzwoite utrzymanie, ale obok Paców uchodził za ubogiego. Bardzo miłej powierzchowności, paniczykowato wyglądający, po francuzku przebrany, wesół, śmiały, żywy, Zygmunt miał dosyć szczęścia między ludźmi, a szczególniej opiekowała się nim troskliwie pani Kanclerzyna.

Łaski tej pani miały naówczas wielkie znaczenie. Niegdyś zachwycająca urodą i wdziękami, Klara Eugenja de Mailly, daleka krewna Maryi Ludwiki, powinowata Kondeuszowi, znakomitego rodu—teraz już trzydziesto kilko letnia, ale jeszcze piękna a nadewszystko za piękną uchodzić pragnąca, nie mogła rywalizować ze swą przyjaciółką Hetmanową Sobieską ani świeżością, ani blaskiem, ale powagą i wziętością w niczem jej nie ustępowała.

Kiełpsz miał naówczas lat dwadzieścia i Kanclerzyna obchodziła się z nim jak z wyrostkiem, ale zazdroszczono mu tej opieki. Zygmuś zresztą miał łaski u wszystkich i starał się wkupić w nie, będąc uprzejmym dla każdego.

Młody Pac przybrał go sobie za przyjaciela, a razem sługę, bo Kiełpsz słuchał jego skinienia, ułatwiał mu, pośredniczył — i rzadko ich widywano osobno, tak, że spotykając pojedyńczo, natychmiast się o drugiego dopytywano. Zawisłość tę swoją od Paców Kiełpsz zrobił, jako rzecz naturalną, wypływającą z położenia, o wyswobodzenie z niej nie dobijając, młody, wrażliwy, bywając często w domu Wiśniowieckich, Zygmunt spotykał zawsze Helę, a składało się tak, że ona go zabawiała i on się nią zajmować musiał.

Piękność, a nadewszystko rozum i właściwy jej wdzięk, który nieodejmując młodości, nadawał rzadko w tym wieku powagę Zebrzydowskiej, powoli młodego Kiełpsza rozmarzyły i zachwyciły.

Zakochał się w niej szalenie. Miłość ta długo pozostała niepostrzeżoną, on sam się może do niej przed sobą nie przyznawał, ale z każdym dniem rosłą i naostatek stała widoczną. Pac zaczął Helą prześladować przyjaciela.

Było to uczucie — bez przyszłości i bez nadziei. Najprzód Hela, mimo grzeczności dla Kiełpsza, okazywała się obojętną, potem wiadomem było, że ona nie miała majątku, a Zygmunt był bardzo miernego. Pacowie chcieli go, obyczajem w wielkich rodzinach bardzo pospolitym, ożenić z jaką bogatą, niemłodą wdową, któraby mu wniosła zamożność do domu. Nie mogło więc być mowy o Zebrzydowskiej, nie mającej nic oprócz opieki ks. Gryzeldy, która sama cierpiała prawie niedostatek.

Wszystko to i on sam sobie i Pac mu ciągle powtarzał, a niemniej Zygmunt upierał się, rozmiłowując coraz mocniej w wychowance ks. Gryzeldy,

Zdradzające się atencye młodego chłopaka, Hela przyjmowała z widocznym frasunkiem i zakłopotaniem. Była dla niego chłodną, a strzegła się najmocniej, aby grzeczności nawet fałszywie sobie nie tłómaczył.

Nadskakiwania Kiełpsza nie uszły i oczów księżnej Gryzeldy, która o swą wychowankę spokojną była, ale radaby ją była widzieć—szczęśliwą, może inaczej, a nadewszystko się z nią nie rozłączać.

Naostatek i ks. Michał dostrzegł, że Zygmunt się zalecał, wesoło winszując Heli, która się rozgniewała.

— Przepraszam cię, moja kochana Helo — odparł ks. Michał - niema się za co srożyć na mnie. — Kiełpsz jest bardzo dobrym, miłym, zacnym chłopakiem i nikomu zaloty jego nie czynią krzywdy.

— Ale niegodzi się grzeczności młodego kawalera zwać zalotami — odparła Hela, bo ani ja jestem do zalotów, ani on o nich nie myśli.

— Dla czegóżby on w ślicznej mojej Heli nie miał się zakochać po uszy? — żartował kuzyn — ja to znajduję tak naturalnem, że gdyby widując cię nie kochał się, posądziłbym go o ślepotę..,

— Nie wiesz, jaką mi tem przykrość czynisz— przerwała Zebrzydowska — obracając w żart... to, co dla mnie jest bardzo smutnem. Ja, nikomu żadnego nie zazdroszczę losu, alebym pragnęła, aby mnie ludzie nie narzucali tego, który moim być nie może. Stworzoną jestem na cichą sługę i pomocnicę, na to czem jestem przy twej matce... więcej nic nie pragnę. Do świata nie mam ani tych przymiotów, jakich on wymaga od swoich, ani mnie on nęci. Jestem szczęśliwą... bez zalotów, bez marzeń o małżeństwie. Cóżbym ja komu przynieść mogła?...

— Jużciż przecie kiedyś za mąż wyjść musisz?— zawołał.

— Nigdy — mówił Hela.

— I Kiełpsz ci się niepodoba? — pytał książę.

— Owszem, jest bardzo miły i może bardzo dobry chłopak, gdy wy wszyscy za nim świadczycie— mówiła Zebrzydowska — ale w nim rozmiłować się nie myślę, a jego grzeczności dla mnie wielce mi ciężą.

Książę Michał trzymał stronę zakochanego, dowodził, że należał do bardzo dobrej rodziny, że nie był tak ubogim jak utrzymywano, a rachować mógł na spadki, na protekcyę wszechmogących na Litwie Paców i na krescytywę.

— Cóż mnie to wszystko obchodzi, kiedy ja ani za niego, ani za nikogo zamąż iść nie myślę — odpowiadała Hela.

— Ale dla czego?

— Nie mam powołania do tego stanu—mówiła Hela, spuszczając oczy.—Czyżbyście się mnie pozbyć chcieli?...

Ks. Michał porwał się zagniewany.

— Mnie o twoje szczęście chodzi—zawołał z gorącością, którą rzadko okazywał — bo nic w świecie przykrzejszemby być nie mogło, nad rozstanie się z tobą. Nie pojmuję życia bez ciebie...

Hela miała oczy spuszczone.

— Nie szukajże dla mnie także innego szczęścia nad to, jakie ja mam dziś i chcę jaknajdłużej się niem cieszyć...

— Tak, moja Helo — ciszej rzekł książę — ale przyszłość?...

— Przyszłość — odparło dziewczę — wiem co myślisz. Ty możesz się, a raczej musisz ożenić, ale twoja żona pozwoli przecież, abym ja jej służyła wiernie, jak twej matce. Ja więcej nie wymagam, tylko nie odłączać się od was. Od dzieciństwa przywykłam do tego domu i innego mieć nie chcę, a bardzo skromnym w nim kątkiem się zaspokoję.

Z uczuciem pochwycił ks. Michał rękę wyrywającą się Heli i okrył ją pocałunkami,

— A! ten świat, te jego wymagania, obowiązki względem imienia i rodziny, wszystko to, co człowieka czyni niewolnikiem, jak to są rzeczy smutne i wstrętne. Czemu się od tego uwolnić nie można, gdy kto niema ambicyi, a od losu dla siebie nie pragnie wiele?...

— Nie zapominajcie — poczęła Hela — że kobieta może się wyrzec wszelkiej ambicyi i samoistności, a mężczyzna nie, bo jest głową rodziny...

— Dajmy temu pokój — niecierpliwie dorzucił ks. Michał — poco przewidywaniami zatruwać sobie chwilę obecną! Będzie co będzie. Gotówbym moje szczęście twojemu poświęcić... i dlatego łapię Kiełpsza, gdzie mogę, ale w istocie wszystkichbym prędzej porozpędzał, co nam cię odebrać grożą.

Chocia sam tak na próbę, czy naprawdę protegował Kiełpsza, książę Michał, gdy ten więcej nadskakującym, natarczywszym się okazywał, chmurzył się tak, że go można było o zazdrość posądzić.

Nie mógł nic zarzucić panu Zygmuntowi, ale szukał w nim jakichś śmiesznostek. Znajdował, że zbyt zależnym wisiał przy Pacach.

Wszystko to przynosił Heli, która uśmiechając się, odpowiadała:

— A przecież zalecałeś mi go?

— Bo ma też i dobre strony, ale właśnie dlatego, że go upatrzyłem dla ciebie, radbym mu wszystkie przyswoić doskonałości.

Rzadko którego dnia nie wspominał o Kiełpszu, a ta usta mu zamykała.

— Ale dajże mi z nim pokój.

Księżna Gryzelda, którą los wychowanki wielce obchodził, dopatrzywszy się zalecanek Zygmunta, mocno się nim zajęła. Postarała się zebrać wiadomości o rodzinie, stosunkach, majątku i znajdowała, że dla Heli nie byłby—do odrzucenia.

Hela, zwierzała się synowi, pewno więcej warta, imię Zebrzydowskich samo wiele znaczy, a jej przymioty tysiąc razy więcej jeszcze, ale kto się pozna na tej stokrotce ukrytej w trawie, która główki nad nią podnieść nie chce? Skarb to jest ta dziewczyna — niestety! ludzie się na nim nie poznają!!

Ks. Michał na zwierzenia odpowiadał tem co słyszał od kuzynki, że ona ani za mąż, ani z ich domu wychodzić sobie nie życzyła.

— Nie racya to, abyśmy się nie starali o to, co jej przyszłość zapewnić może — mówiła ks. Gryzelda. — Ja nie jestem długowieczną. Cóż potem? Przy tobie pozostać nie może, chyba gdybyś się ożenił... a narzucać jej żonie twej niepodobna, jeśli się sama na niej nie pozna. Musimy przecie wyszukać jej męża. Do klasztoru, pomimo zamiłowania spokoju i pobożności powołania nie ma. Ja oddawna staram się i powoli dla niej gromadzę wyprawę...

Rozmowy podobne powtarzały się często, a Kiełpsz tymczasem nie zrażony okazywanym mu chłodem, coraz się większą zapalał namiętnością.

Doszło to do tego, że się nie powstrzymał i przed opiekunką Pacową, która Zebrzydowskiej nie znała prawie, wychwalać ją zaczął. Obudziło to do tego stopnia ciekawość kanclerzynej, że rzadko odwiedzając ks. Gryzeldę, dwa razy umyślnie pojechała do niej, aby się lepiej Heli przypatrzeć. Umiała ją wciągnąć w rozmowę, wybadać i wprawnem okiem kobiety na wielkim wychowanej dworze oceniła ją jak zasługiwała...

— Ma w sobie wszystko, coby z niej mogło bardzo znakomitą uczynić panią, ale uboga; bez rodziny, trudno, aby w towarzystwie dobiła się należnego stanowiska...

Nie dziwuję się Zygmusiowi, że mu głowę zawróciła, choć ani on dla niej, ani ona dla niego.

Kiełpszowi potrzeba majątku, jej także. . ubodzy musieliby się na wsi zakopać... Nie każdy znajdzie Władysława jak Kazanowscy. Myśmy dla Zygmusia wiele uczynić gotowi, ale mu fortuny dać nie możemy. Kto ma dziś dosyć?

Kanclerzyna usiłowała wybić z głowy protegowanemu Helę. Biedny chłopak milczał, było to nad jego siły. Szukał wszelkich możliwych środków, aby się dostać do dworku Wiśniowieckich i choćby spojrzeć na Helę. Pac doszedł, że się stał nawet z tego powodu pobożnym, bo wyśledził w którym kościele ks. Gryzelda z wychowanką bywały i łapał je u kropielnicy, przy wyjściu, a potem odprowadzał na Miodową.

Widząc go za każdym razem rumieniła się Hela, często go zbywała milczeniem upartem, ale to go nie zrażało. Przeciwnie ks. Gryzelda, która rachowała na protekcją Paców, na opiekę kanclerzynej, a nic dla Heli lepszego nie widziała, starała się Kiełpsza pociągnąć, ośmielić, zapraszała go, dawała małe polecenia.

Kiełpsz, który jej był niewymownie wdzięcznym, korzystał chciwie z uprzejmości ks. Gryzeldy. Wykradał się z odwiedzinami, siadał i przesiadywał przy krosienkach Heli i stoliczku staruszki, przynosił nowiny i skrypta, słowem nie wahał się okazywać, że konkurował o łaski panny.

Ale im on się stawał natarczywszym, tem Zebrzydowska zimniejszą się być starała. — Ostrożnie napomykała księżnie, że — możeby nie należało tak często przyjmować Kiełpsza.

— Cóż ci to szkodzi! — odpowiadała uśmiechając się staruszka — ja go dla siebie nie dla ciebie zapraszam, bywa tylko przy mnie... Nie zaleca się tak, aby ci to mogło czynić ujmę... Ja go bardzo lubię i dziwię, że ty ocenić nie umiesz.

— Ale, mamuńciu — przyklękając przed staruszką mówiła Hela — ja mu oddaję sprawiedliwość — jest

z młodzieży może najprzystojniejszym — po księciu Michale, ma tylko tę wadę, że się chce zalecać, ja tego nie lubię.

Księżna Gryzelda za każdym razem kończyła rozmowę długim wywodem konieczności zabezpieczenia się na przyszłość.

— Moje dziecko—mówiła—gdy się znajdzie człowiek zacny, uczciwy, który się gorąco przywiąże, nie potrzeba go zrażać. O ludzi nie łatwo... Choćbyś nie miała serca do niego — trzeba się przyzwyczajać... oswajać... przywiązanie się znajdzie... a ja dla ciebie życzę całem sercem Kiełpsza.

— Ale ja wcale za mąż wychodzić nie myślę— powtarzała Zebrzydowska.

— To dziwactwo — mówiła żałująca ją ks. Gryzelda—za mąż iść jest przeznaczeniem naszem! Choćbyś nie chciała, musisz... Klasztor ci się też nie uśmiecha.

— Ah!—kończyła Hela — z dwojga złego jużbym wolała prawie klasztor, niż zamążpójście przeciw sercu i przeciw woli.

Świadek tego oporu, w końcu i ks. Michał przed matką brał stronę kuzynki.

— Jeżeli się jej Kiełpsz nie podoba — mówił— i za mąż iść nie chce! pocóż ją zmuszać?

— Nie zmuszam jej—tłómaczyła się stara księżna—ale... zostaw to mnie.

Miała pobudkę do tego wielką troskliwa matka, że tak uporczywie Helę nawracała. Oka jej nie uszło to, o czem ani Hela ani ks. Michał sami nie wiedzieli, do czego się nie przyznawali przed sobą. Ks. Gryzelda widziała rodzącą się miłość syna dla wychowanki i jej uczucie dla niego. Napełniało ją to obawą; nie lękała się żadnego ze strony obojga zapomnienia się, ks. Michał był statecznym, pobożnym i surowych obyczajów młodzieńcem; Hela dziewczęciem zbyt panującem nad sobą, aby im groziło niebezpieczeństwo, ale coraz bardziej przywiązując

się, nawykając do siebie — mogli w końcu dojść do tego przekonania, że bez siebie żyć nie podobna — a Michał mógł zapragnąć się z nią ożenić.

Naówczas cała przyszłość jego byłaby złamaną— wszystkie nadzieje matki w niwecz by się obróciły. Marzyła dla niego jakąś Zasławską księżniczkę, Lubomirską lub dziedziczkę ogromnych włości.

W ten tylko sposób dawny splendor domu mógł się podźwignąć.

Wmawiała to często ks. Michałowi, który słuchał milczący, ale wcale się nie przejmując.

Widząc jak te dwie drogie jej istoty, kochały się, jak dla siebie zdawały się stworzone, jak Hela doskonale sobą dopełniała to, czego Michałowi brakło, matka smuciła się, iż los skazywał ich na rozłąkę— lecz teraz ona była głową rodziny, a nie mogła poświęcić jej dla szczęścia jedynaka... Wiśniowieckich imie i ród wymagały ofiary.

Wprzódy może niż które z nich uczuło, że braterskie ich przywiązanie, wcale inny przybiera charakter, nim ręka Heli zadrżała dotknięta przez Michała, nim wejrzenie jej sięgnęło mu do głębi duszy matka przewidziała tę nieuchronną ostateczność.

Jedynym środkiem zdawało się jej wydanie za mąż wychowanki, a nikt się nie nastręczał oprócz Kiełpsza.

Musiała mu więc być pomocą.

Ks. Michał miał nawet zbytnią tę troskliwość za złe matce.

Przyjmowany bardzo mile przez ks. Gryzeldę, pod pozorem, iż nowiny elekcyjne przynosi, pan Zygmunt codzień już zachodził do księżnej... Gdy z okopów nie było nic nowego do ofiarowania, ratował się Kiełpsz powtarzaniem tego co słyszał u kanclerzynej.

Zbierało się na wezwanie posłów od kandydatów a pierwszym miał być Kondeuszowy, gdy zrana wpadł Kiełpsz, zastając jeszcze ks. Michała przy

śniadaniu, któremu matka i Hela asystowały tylko. Kawa wprawdzie znaną już była naówczas i jako osobliwość przywożono ją ze wschodu, gotowano, podawano, ale się w niej nikt nie kochał, a mężczyźni pili winną polewkę, piwo grzane albo jedli coś posilniejszego. Ks. Michał, który lubił jeść, właśnie był dwie miski opróżnił, gdy Zygmunt się zjawił na progu, z twarzą mocno ożywioną, zmęczony i zadychany.

— Przybiegam tylko na chwilę— zawołał — aby oznajmić, że w okopach jakaś się na dziś gotuje burza... Książe Michał pewnie zechce być na stanowisku, ja także. Potrzeba pośpieszyć, bo rozprawa dziś szlachty z senatorami będzie żywą i stanowczą.

— Zkądże o tem wnosicie? — zapytała ks. Gryzelda.

— Mam świeżuteńką wiadomość od okopów—mówił Kiełpsz—przez Gintowta, który wprost ztamtąd przybył, aby dać znać Radziwiłłom... Szlachta kilku województw formalny zdaje się gotować rokosz. Kupy się gromadzą, szopa otoczona, burza wre. — Wszyscy mówią, że to wymierzone przeciwko Kondeuszowi.

— Przez kogo?—wtrąciła księżna.

— Bóg wie, bo tego zrozumieć nie można, do wieczora szala się przechyli i zagadka rozwiąże.

W tej chwili wchodzący książe Michał, który już na koń siadać był gotów, nie dał się nawet zbliżyć Zygmuntowi do Heli. — Potrzeba było w czwał pośpieszać na pole pod Wolę, aby być świadkami tego, co się tam odbyć miało.

Całując w głowę syna, matka nieznacznie krzyżyk mu zakreśliła nad czołem, młodzi panowie pożegnali się i wybiegli w ulicę, spiesząc ku Woli.

Na gościńcu nie widać już było ani kolas pańskich ani pocztów, ani opóźnionej szlachty z miasta do okopów pśopieszającej — wszyscy już na miejscu być musieli.

W dość znacznej odległości od szopy i okopu ks. Michał usłyszał wrzawę i huczenie tłumów, z pośrodka którego krzyki się piskliwe wyrywały niekiedy. — Gdy się zbliżyli, widok jaki się ich oczom stawił, nie dozwalał wątpić, że tu jakaś katastrofa się gotowała.

Szopa stała oblężona niepoliczonym szlachty tłumem, tak rozgorączkowanym, jak gdyby tuż na szablach miał roznieść osaczonych senatorów.

Ks. Michałowi i Kiełpszowi już by się bliżej szopy nie dało pewnie docisnąć, gdyby się nie trafił na drodze Gorzeński znajomy księciu, który dopomógł mu tak dzielnie, iż konie oddawszy sługom,—za nim się przedzierając dotarli aż do słupów, i mogli wejrzeć do środka. Tu potrzeba było całych sił młodych ludzi, aby się oprzeć naciskowi fali tej ruchomej, która gdzie niegdzie tak szopę oblegała, że słupy jej trzeszczały.

Zewnątrz i wewnątrz—było na co patrzeć... Przy stole ogromnym, na krzesłach i ławach, mając w pośrodku siebie bladego jak trup Prymasa, siedzieli potrwożeni senatorowie i biskupi... Na twarzach ich malował się przestrach niewysłowiony. Prażmowski drżącemi rękami ocierał pot z czoła, inni szeptali niespokojni — oczyma rzucając ku żywym ścianom otaczającym. Nie było prawie jednego z nich, który by tej burzy jak orkan strasznej śmiał stawić czoło... Nie wrzawa ale ryk dziki rozlegał się nieustannemi wybuchy, wśród których trudno było głosy pochwycić. Szczęk szabel podobywanych z pochew, któremi nad głowami wywijając szlachta ciągle uderzała... był jakby towarzyszeniem muzyki do tej pieśni szalonej.

Z senatorów żaden nie mógł przyjść do słowa; podnosili się śmielsi prosząc o głos, zahukiwano ich wrzaskiem.

Oswoiwszy się dopiero z tą wrzawą, ks. Michał mógł pojedyncze wykrzyki zrozumieć.

— Precz z Kondeuszem! precz z przekupionemi!

Jeden z biskupów powstał, ręce rozpostarł, podniósł je ku niebu — ale nieubłagał milczenia — powtórzono.

— Precz z Kondeuszem!

Ekskludować Kondeusza! Precz z Judaszami! precz ze zdrajcami!

Gdy prośby senatorów nic nie mogły na rozwścieczonym tłumie, szlachta po za szopą zebrana, sykać zaczęła sama, domagając się milczenia, które nie rychło, powoli... zaczęło się od uśmierzenia bliżej stojących i poszło potem w głąb tłumów... Szmer tylko głuchy i szczęk szabel nie ustawał... W tem po za szopą, na rękach podniesiono barczystego mężczyznę, a ten pomimo wielce niewygodnego na rękach panów braci umieszczenia, rozpoczął mowę.

— Jawnem to jest — nikt się z tem nie kryje, wszyscy wiedzą, że Kondeusz ludzi i głosy zakupił... Stała się zdrada i świętokradzkie przysiąg złamanie... Ojcowie to ojczyzny dopuścili się simonji...— sprzedali sumienia... Kondeusz co ich kupił nie może być królem naszym. Pocznie się to panowanie od frymarku, skończy się na zdradzie i sprzedaniu ojczyzny.

Precz z Kondeuszem, ekskludować Kondeusza!!

Senatorowie siedzieli niemi. Ze szlachtą do tego stopnia rozszalałą nie było już sposobu ani traktować, ani ją chcieć uspokoić, ni przekonać.

Nikt prawie nie czuł się tu czystym w sumieniu, a z wyjątkiem niewielu twarzy, z których jeszcze duma i gniew buchały, reszta wybladła i zmieniona zdawała się błagać o miłosierdzie.

Prymas drżał tak widocznie, słabł, oglądał się z taką trwogą ku tym brzękającym szablom, jak gdyby nadeszła ostatnia godzina.

W tej chwili jednego szalonego wybryku tylko potrzeba było może, aby się krew polała i szopa napełniła trupami. Tłum się upajał swoją potęgą,

mruczał, groził, miotał — czuł silnym i nie myślał ustąpić, żadne błaganie nie mogło go zmusić do milczenia.

Pomimo wojskowej straży, która u wejścia do szopy strzegła, deputacja szlachty wparła się do środka.

Sami tworząc tych wysłańców mogły spotęgować trwogę, byli to ludzie zrozpaczeni, niepamiętni na nic, szli ku starcom i ojcom duchownym na pół zmartwiałym na krzesłach, jak ludzie co prawo dyktować mieli.

Najmniejszej oznaki względności i poszanowania dla dostojeństw nie okazywał z nich żaden. Czuli się wysłańcami tej siły pięści, która się szanuje nic, a wszystko gruchocze.

— Precz z Kondeuszem! precz z Kondeuszem! poczęli krzyczeć wysłani, z których jeden się zuchwale przybliżył i stanął nad Prymasem, tak że starzec poczuł oddech jego piekący na sobie.

Prażmowski się odwrócił do niego.

— Na Boga! dzieci moje! co czynicie! jęknął głosem osłabłym.

— Niema tu dzieci, jest naród który przychodzi się upomnieć o poszanowanie przysiąg i prawa, i woła wam, domaga się, nakazuje.

— Precz z Kondeuszem:

To mówiąc—gdy mu ogromny chór zawtórował— dokończył palcem wskazując na arkusz papieru leżący na stole.

— Ekskluzja Kondeusza.

Struchleni senatorowie milczeli, Prymas drżał i dygotał jak w febrze, chwytał rękami suknię ku sobie, oczyma rzucał błagając litości — a nie miłosierne—precz z Kondeuszem, wrzało nad nim.

Prażmowski chciał zwlec, rachując na to że później usposobienie to się zmienić może, iż się burza zażegna, spoglądał więc na swych pomocników i filary Kondeuszowego stronnictwa na kanclerza Paca,

Sobieskiego, Morsztyna, ale żaden z nich nie dawał znaku najmniejszego—nadziei.

Pac dumnie spoglądał zagryzłszy wargi na dach szopy i belki. Sobieski stał wąsa kręcąc z czołem pofałdowanem, Morsztyn zdawał się sam z siebie i ze wszystkich urągać. Nie było środka — uledz musiano.

Szlachcic sięgnął po papier i podsunął przypadkiem siedzącemu blizko Biskupowi chełmskiemu Olszowskiemu.

— Proszę pisać ekskluzję Kondeusza, krzyknął zuchwale, a nie to my ją szablami pisać będziemy i nie atramentem... ale krwią.

Olszowski natychmiast wziął się do pióra — tem swobodniej, że do Kondeuszowych nie należał. Szlachcic za nim stojąc oczyma po papierze chodził za piórem, każde słowo śledząc—aż do końca. Niedając nawet zaschnąć inkaustowi porwał arkusz i poniósł go, rzucając przed Prymasa.

— Podpisujcie! zawołał nakazująco.

Prażmowski się nie namyślał już, szło mu teraz tylko o wyrwanie się ze szpon szlachty, środków przeciwko temu gwałtownie obiecywał sobie szukać później. Salwował życie, choć mu się ręka tak trzęsła, że trudno nią było nakreślić nawet tych liter kilka, podpisał się - a pismo poszło od niego do panów kanclerzy, którzy milcząc musieli iść za przykładem Prymasa. Wszyscy też oni to co on myśleli.—Byle się z okopów wydobyć.—Znajdziemy środek aby tę exkluzję czynić nieważną — wkrótce cisnąć się zaczęli Senatorowie i wyprzedzać, aby co prędzej z pod szopy uwolnić — chociaż wyjść z niej teraz jeszcze nikt by był nie mógł, taka ciżba zbita usiana, stała do koła.

Akt napisany okrył się podpisami, Prymas wstał szukając oczyma Krucyfera, kapelana dworu, ale do tego tłum się dostać nie dozwalał.

Tymczasem szlachcic z pod szopy z arkuszem

wyszedłszy, nad głową go unosząc—krzyknął do stojących braci.

— Kondeusz ekskludowany!

Ogromny okrzyk radości powitał to zwycięztwo tysiąców, Senatorowie w szopie stali zamknięci jeszcze, nie mogąc się wydobyć. Lękali się mówić i naradzać aby nie ściągnąć oczów. Prymas który był blady i trząsł się przed chwilą, odzyskiwał nieco ducha burząc się gniewem. Krew biła mu do głowy.

Upokorzonym czuł siebie i godność swą prymacjalną! On! vice-rex! zmuszony przez oszarpaną gawiedź do zadania kłamu, do potępienia samego siebie. Na innych twarzach wyraz ten złości mniej był widoczny, ale całe koło czuło i wiedziało jedno— to, że szlachta je zwyciężyła i zuchwała teraz skorzysta pewnie z tryumfu.

Nie rychło dworzanom Prymasa i wojskowym Hetmana, udało się z głównego wyjścia szopy rozdzielić ciżbę — i panom swobodną utorować drogę. Lecz w porównaniu z tem jak przybywali — co za zmiana!! Było to coś jak sen, któremu się wierzyć nie chciało. Zrana Kondeusz był pewnym tronu — teraz—wszystko przepadło... Szeptali między sobą senatorowie.

— To sprawa Lotaryngskiego, to ten lis układny Chavagnac.

Drudzy posądzali neuburgskiego, inni składali to na jakąś piekielną kabałę. Sobieski pogrążony był w myslach, jakby gmach cały złudzeń runął na niego i przywalił go.

Gniewy panów musiało to zwiększać, że naokoło szopy panowała radość, okrzyki, śmiechy, które paliły nieszczęśliwych. Chęć zemsty rodziła się w sercach przeciwko szlachcie.

Prymas ile razy mówić zaczął, plątały mu się wyrazy, jąkał, nic nie kończył ze wzruszenia.

Siadano do kolebek, na konie, jakby dla towarzyszenia pogrzebowi. Prażmowski kazał swoją ko-

lebkę firankami zapuścić dokoła, aby jego nikt i on nikogo nie oglądał.

Wieść o ekskluzij błyskawicą z pod okopów poleciała do Warszawy, a po drodze obiła się o pawilon kanclerzynej — ale Pacowa krzyknęła z oburzeniem

C'est un mensonge infame!

Hetmanowa łamała ręce.

Drugi i trzeci, z podjeżdżających gdy potwierdzili wieść pierwszą, Pacowa wpadła w rodzaj szału. Musiano ją trzeźwić, uspakajać kroplami, a że Chavagnac przypadkiem się znajdował tam właśnie, na niego spadły gromy.

Poprzysiągł, że o niczem nie wiedział.

Oczekiwano hetmana i kanclerza, aby się od nich o czemś więcej dowiedzieć. Nadjeżdżał pierwszy Sobieski i choć z posępną twarzą zesiadł z konia nie okazując po sobie zbytniej rozpaczy. Miał już czas wiele rozważyć.

— Ale cóż się to dzieje? ale to nie do wiary, ale jakżeście pozwolić mogli na to?

Kanclerz i Sobieski długo szli milczący, chcąc zapewne oba wyręczyć się sobą.

Pac wybuchnął na ostatek.

— Nikczemna, podła intryga! wszystko było ukartowane! Rozbój na gładkiej drodze. Prymas stracił przytomność, on zgubił wszystko. Mógł się oprzeć. Zląkł się takich szabel brzęku. Przecież szlachtaby arcybiskupa nie tknęła! On! on! niepojętym czynem zgubił sprawę i nas.

— Więc się do szabel rwano! — krzyknęła Pacowa.

— Ba! ba!—rzekł kanclerz - mieliśmy ich tysiące nad głowami dobytych, a zbój ks. Olszewskiemu do ucha wrzeszczał: pisz, bo my szablami pisać zaczniemy i nie inkaustem, ale krwią.

Kobiety oczy sobie pozakrywały.

Hetman milczał zbliżywszy się do żony, na którą patrzał z politowaniem.

— Prymas—rzekł poczekawszy nieco — zląkł się, co prawda, ale dziwować się nie można, bo my, co znamy związki wojskowe i ich zuchwalstwa, wiemy, co może taki tłum, gdy się upoi! Nie są to żarty.

Szlachcic dobry i miękki, jak wosk, gdy w domu siedzi, ale w polu i w kupie... wolałbym z niedźwiedziem i dzikiem mieć do czynienia.

Chavagnac, który napadnięty, zmięszał się i zarazem potem dla informacyi odjechał, nie przeszkadzał mówić otwarcie. Zaczęto więc badać przyczyny tego rozjątrzenia, przypisując wszystko Lotaryngskiemu, ale i Neuburgskiego z cesarzem można było posądzać.

Z całego towarzystwa, znajdującego się u kanclerzynej, nikt nie myślał głosować za Neuburgskim. Z musu zwracano się ku ks. Lotaryngskiemu, roztrząsając już, jak się z nim mogły składać sprawy rzeczypospolitej.

Stronnictwu Kondeusza pozostawało oprócz tego zadanie trudne, wytłumaczenia się, uniewinnienia. Katastrofa przychodziła tak niespodziewanie, tak dziwnie, iż wczoraj jeszcze wysyłano kuryerów z zapewnieniami o wyborze niezawodnym—dziś zaś musiano oznajmić, że nagle runęła ta budowa, nad którą Marja Ludwika pracowała, którą pomagał wznosić Jan Kazimierz, a wysypano na nią krocie.

Zaufanie, jakie przewódcy stronnictwa francuzkiego mieli u tamtejszego dworu, musiało runąć. Sobiescy, którzy budowali niemal przyszłość swą całą na spodziewanych łaskach, Marja Kaźmira, która dla swej rodziny potrzebowała tam opieki, była w rozpaczy. Kazała zaraz zachodzić karecie i chora odjeżdżała do miasta. Wrażenie wypadku było niezmierne, ale ci, co na elekcyę nastawali, aby na niej coś zyskać, nie potrzebowali długiego czasu do namysłu i tegoż wieczoru byli już u Chavagnaca, któ-

ry odżywiony nadzieją, rozweselony, przyjmował nieustannie napływających gości.

Przypomniał on owego szlachcica, o którym nikomu nie wspominał i w duchu powiedział sobie, że w Polsce ani ludzi ocenić, ani zrozumieć nic obcemu nie było podobna.

Szlachcic więc dotrzymał słowa! Intrygę całą przypisano naturalnie Chavagnacowi, a nadto mu to pochlebiało, aby się wypierał zbytecznie.

Teraz z kolei wybór Lotaryngskiego zdawał się pewnym i potajemny kuryer pobiegł z tem do Wiednia nocą.

Chociaż i Neuburgski coś na tem zyskiwał, o szczebel stając wyżej, nie łudził się nikt jego wyborem. Jedni Radziwiłłowie z częścią Litwy gotowali się dać mu głosy.

Wszędzie pogłoska o upadku Kondeusza uczyniła wrażenie ogromne. Ale każdy to inaczej tłumaczył.

Ks. Michał, który w czasie burzy znajdował się ze szlachtą Sandomierską po za szopą, świadkiem był niemym i biernym tego dramatu, który w nim niesmak obudził.

Przetrwał cały ten zamęt, stojąc razem z Kiełpszem na koniu, nie mięszając się do niczego, dotrwał do końca, a potem apatycznie dość zawrócił się do domu. Kiełpszowi chwilami krew szlachecka w żyłach kipiała, lecz umiał się trzymać na wodzy. Później gdy zobaczył kanclerza, który szedł jak z krzyża zdjęty, żal mu się go zrobiło. Pod miastem rozstali się z ks. Michałem, który wróciwszy do matki, znalazł ją jeszcze zupełnie nieświadomą wypadku, a gdy opowiadać zaczął, sądziła zrazu, że z niej żartuje.

Nawet w zimnym opisie ks. Michała wypadki dnia tego groźnemi się wydawały, a ks. Fantomi, który zjawił się tu wkrótce — nie wahał się z dnia tego wyciągać następnie wnioski najgroźniejsze.

— Teraz już nic a nic przewidzieć nie można— mówił kustosz—szlachta zwycięzka nie da sobie narzucić nikogo, wybierze po swej myśli i może panom na przekorę zrobić wybór najdziwaczniejszy.

Wszyscy reczą już za Lotaryngskiego, a ja czuję, że umyślnie go pominą. Gotowi wybrać Polanowskiego.

Na zapytanie Kustosza, gdy ks. Michał ożywiwszy się nieco, opisywać począł oblężenie szopy, przerażenie Prymasa, wtargnięcie deputacyi do senatorów i dyktowanie im ekskluzyi, wrzawę tę rokoszową—wszyscy się wzdrygali ze zgrozy i strachu.

— Znam naszego arcypasterza—dodał Kustosz— próżno i myśleć, ażeby on zdał się tak pobity i zwyciężony na łaskę lub niełaskę. Jestem pewnym, że jutro rozpocznie walkę, że się szlachta rozbije może, a elekcya wśród zamętu przedłuży. Prymas się uląkł, ale właśnie za to się na wszystkich mścić będzie...

We dworku ks. Gryzeldy uczyniło to wrażenie smutne. Elekcya zmuszała ks. Michała i matkę do wydatków, na które ciężko było starczyć.

Z drugiej strony wybór Lotaryngskiego, kandydata Rakuskiego, o którym już mówiono, że mu arcyksiężniczkę Eleonorę przeznaczono, jeśliby był królem—pomyślnym się zdawał dla księcia, który miał zachowanie u cesarza i stosunki na dworze.

Tylko kustosz, składając ręce i oczy podnosząc do góry, szeptał:

— Za nic nie ręczyć! Okrzykną Polanowskiego!!...

VII.

Nazajutrz dopiero szlachta swem zwycięztwem upojona się otrzeźwiła i rozmyślać poczęła—co dalej?

Tryumf wczorajszy był wprawdzie wielkiego znaczenia, ale nie przygotowano się rozważnie jak korzystać z niego. Pomiędzy senatorami a — ludem, jak szlachtę ową małą zwano — rozbrat był zupełny, lecz starszyzna wiedziała dokąd szła i co miała na celu, a ów lud ślepo i namiętnie kroczył na przekór.

Nie stało Kondeusza i znienawidzonych francuzów, ale nie było go kim zastąpić.

Ci co w myśl ks. Olszowskiego życzyli Piasta, nie wiedzieli jakiego wziąć, chcieliby go szukać między panami — a to im było wstrętnem, okrzyknąć zaś takiego wojaka w wytartym kubraku, jak Polanowski, śmiesznem się stawało... coby na to świat powiedział?

Lotaryngski, rycerski pan... tak z francuzka wyglądał im jak Kondeusz.

— Nie kijem go to pałką! — wołał Piotrowski. — Ta tylko między dwoma różnica, że za Kondeuszem stała Francja, a za Lotaryngskim rakuszanie występują.

Do okopów nazajutrz panów widać nie było.

Prażmowski, już ochłonąwszy ale mściwy i przewrotny, a razem tchórzliwy, wołał miotając się po mieszkaniu wśród dworu i przyjaciół.

— Gdzie szablami dzwonią nad głowami, nie nasze miejsce! Jak sobie posłali tak niech śpią, my tam niepotrzebni.

— Pozwolisz mi W. Eminencja uczynić sobie tę uwagę — zamruczał kanclerz — że do proklamowania króla, pod absencję waszą dobrowolną, oni sobie innego biskupa znajdą, a ks. podkanclerzy jest na pogotowiu!

Gdy u Jezuitów, u Bernardynów po refektarzach w Warszawie burzliwe senatorów odbywały się narady — co poczynać, Prymas jechać na pole nie chciał, inni się też ociągali — pod okopami szlachta chodziła

namarszczona, groźna, ale zakłopotana również jak panowie.

Odgrażano się — sami sobie króla obierzemy! ale do skutku doprowadzić pogróżkę nikt nie miał odwagi.

— Czekajmy! — dodawali kunktatorowie — ichmość się namyślą, że nas więcej jest i że bez nas do końca nie trafią.

Oczekiwano więc, ale od Warszawy nikogo widać nie było, oprócz wysłanych na zwiady. Ci donosili:

— Naradzają się, wzajem sobie czyniąc wyrzuty... ale koni zaprzęgać, aby do okopów jechać, ani myślą.

— Chcą nas tak ichmość panowie starsi bracia skarcić — mówi Piotrowski, siedząc na opróżnionej beczce od piwa — aleby się powinni rozmyśleć, że my sobie na ich miejsce ludzi dobrać potrafiliśmy, a oni bez tego tłumu, na który plują, nie stąpią kroku. Jutroby im jednego dworzanina niestało, gdybyśmy krzyknęli na naszą młodzież, kto im służy to zdrajca!...

Wśród trochę ostygłych po wczorajszem rozgorączkowaniu gromad, które już się na nowo rozpalać i podżegać zaczynały, Gorzeński, Korycki, Moczydło, wysłani po języka przez Prymasa, Paca i Sobieskiego, krążyli z rękami na plecy założonemi i przysłuchiwali się.

Gorzeński pierwszy przeszmurkowawszy po województwach, powąchawszy tu i owdzie, czem ta rebelia wczorajsza pachniała, siadł na szkapę i pokłusował do miasta do OO. Jezuitów i Prymasa. Jechał biedaczysko z głową zwieszoną, bo mu się to wszystko niepodobało, a wypadek był, jak się francuzi wyrażali, bez precedensów, to jest bezprzykładny.

— Tego związki wojskowe nauczyły — szemrał Sobieski, a Prymas dodawał:

— Mogli rozsiekać hetmana... potrafią i biskupa męczennikiem uczynić...

Wśród rozpraw tych nadjechał z raportem Gorzeński, z nosem tak zwieszonym, iż ani go pytać było potrzeba, co przywoził. Miał to wszystko wypisane na czole.

— A co? — zapytał Prymas.

Gorzeński ramionami poruszył.

— Mówią — poczekamy mało, a nie zechcą oni do nas; my do nich nie pójdziemy, obejdziemy się bez Prymasa i Hetmana.

Wszyscy panowie spojrzeli po sobie i milczeli.

— A lękać się znowu tego brzęku szabel — dodał do Prymasa się obracając Gorzeński — lękać nie ma czego. Hałasu dużo... a w rzeczy to pusta wrzawa. Głos podnieść łatwiej niż rękę...

Panowie naradzali się oczyma, Prymas się ociągał. Nie tyle już może obawa katastrofy, co srodze obrażona duma, wstrzymywały go. Wczoraj on—Interrax—Prymas, najwyższy dostojnik duchowny państwa, którego tron biskupi malowano na równi, z królewskim dawniej—on! musiał drżeć przed kubrakami. Tego im darować nie mógł. Gdy sobie przypomniał strach własny, bladł z gniewu i upokorzenia.

Zemścić się, choć to uczucie kapłanowi i biskupowi nie przystało wcale, zemścić się, było jedynem jego pragnieniem....

W samym charakterze tego człowieka... leżało rozwiązanie zadania, jak tylko by ostygł i zapanował nad sobą — Prażmowski musiał poddać się pozornie, uniżyć... i zdradą potem a spiskiem zapłacić.

Przebaczyć! ani umiał, ani mógł... w starcu nadto jeszcze zepsutej krwi kipiało...

Cóż teraz mówiono we Francyi o jego zaręczeniach uroczystych, co myślano o jego znaczeniu, jak się tam wyśmiewać musiano lub o oszukaństwo go obwiniać!! Tego przebaczyć nie mógł także...

Tak dzień cały upłynął w niepewności, ale od okopów przyszła wieczorem przez różne usta jedna rezolucya szlachty.

— Nie przyjedzie Prymas i przekupieni koryfeusze, obejdziemy się, dali Bóg bez nich...

Prymas obawiał się podkanclerzego, że gotów był na wszystko.

Gdy późno już kilkunastu z województw ichmościów niby *proprio motu*, stawiło się do Prymasa, i poczęli radzić, a prosić, aby się nie absentował, Prażmowski był już przytowanym.

Przybrał postawę smutną, bolejącą, a rozczuloną łzy mu stawały na powiekach.

— Dzieci moje—odezwał się czule do posłów — ja wam, ojczyźnie i sprawom tej r eczypospolitej do tchu ostatniego służyć jestem gotowy... Siły mi dziś nie dozwoliły dojechać, smutek wielki przygnębiał. Modliłem się... aby Bóg zesłał opamiętanie i pokój...

Naznaczono dzień do posłuchania Neuburgskiemu, pościągali się rozpłoszeni... Szlachta stała zimna, szyderska, cierpliwa.

Neuburgski tak nędznie i niepokaźnie wystąpił, że w szeregu powozów jego, dwie kolebki, które z urzędu posłał od siebie, jako marszałek, Sobieski. najwięcej się odznaczały, a orszak jego o wiele i liczbą i blaskiem przechodził poselstwo, z którego się otwarcie naśmiewano. Sam pono poseł, który musiał go zalecać, czuł i widział, że się to na nic nie zdało.. panowie senatorowie nie słuchali, myśląc o czem innem—tłum drwił i śmiał się... Drugiego dnia kolej przychodziła na Lotaryngskiego... Hrabia Cavagnac zręczny, przebiegły umiał ze wszystkiego korzystać.

Z rozbitej nawy Kondeusza, co tylko na brzeg dało się wyciągnąć—zagarnął. Umysły panów, nie mając się już do kogo skierować, skłoniły się ku ks. Lotaryngskiemu. Wielu mówiło za nim, młodym był, rycerskiego usposobienia, obiecującym, przyrzekał do

ostatniej kropli krwi wylać w obronie rzeczypospolitej rekuperować awulsa! Wiedziano, że rakuską miał opiekę i poparcie. Może by to mu przyjaciół nie przyczyniło, ale gdy zewsząd groziła wojna, a szczególniej od wschodu, przymierze z Cesarstwem do pogardzenia nie było.

Rozprawiano o Lotaryngskim, który też, choć się mierzyć nie mógł rozsypanemi pieniędzmi z Kondeuszem, pokaźniej i zamożniej się stawił.

Wjazd hr. Cavagnaca nie czynił mu wstydu, oprócz karet Sobieskiego, miał własnych cztery pozłocistych i świeżym aksamitem poobciąganych, a wewnątrz powyściełanych adamaszkami i lamami. W karetach jechał dwór hrabiego, strojny, błyszczący, wesoły. Barwa domu lotaryngskiego, w której występowała zielona ze złotem, połyskiwała i na służbie, której po dwunastu przy każdej jechali karecie.

Szuur się umiejętnie i umyślnie przedłużony wyciągał na przestrzeni dosyć znacznej. Karety szły w pewnych odstępach od siebie, dalej jechali paziowie konno, kapiący od złota, a za niemi dwudziestu masztalerzy z czubami piór szkarłatnych, białych i zielonych. Prowadzono nawet konie paradne pod szytemi dywdykami... słowem, wjazd wcale się okazywał, niczego... Szlachta mu się przypatrywała, szczególniej na konie zwracając uwagę, które jedni chwalili, drudzy w nich wad szukali... Wieczorem, gdy się te zalecanki kandydata skończyły, a szlachta rozeszła po obozie, namiotach i szopach, można było słuchając sądzić, że lotaryngczyka wybiorą.

Z Neuburgskiego wprost się wyśmiewano, nic go nie zalecało, za lotaryngskim mówiło wiele, szczególniej zaś to, że pod ręką innego nie miano kandydata, a Piast... choć się uśmiechał im... drugim się wydawał mrzonką.

Naradzano się, ziewano, a *Vox populi*, domagał się—końca.

Po wybuchu tym, znużenie czuć się dawało, jak po wysiłku każdym. Tu i owdzie powtarzano:

— Do domów!... Ś-ty Jan, kosowica, terminy. Żony nakazywały przez posłańców do mężów, aby wracali. Tymczasem znowu Prymasa i panów w okopach widać nie było... Prażmowski się zżymał.

Późnym wieczorem Sandomierzanie i Kaliszanie się zgromadzili i postanowili wyprawić do Prymasa *ultimatum*.

— Nie zechcecie ichmość do nas! Bóg z wami, sami sobie rady damy, wybierzemy i proklamujemy... bez was...

Znowu tedy uląkł się Prażmowski. Paru deputatów kazał winem częstować, a tego się nie odmawia i u nieprzyjaciela, wyszedł do nich w komeszce, w półuroczystym stroju... łagodny jak baranek, namaszczony, pobożny, serdeczny. Co słowo powtarzał: Moje dzieci!! i zapewnił, że stawi się na żądanie ichmościów.

— Raz to skończyć trzeba — przemówił przewódzca poselstwa — szlachta się wyjadła, zmęczyła, pochorowała, przeszło miesiąc darmo w polu stoi. Dobrze panom pod dachami i z kucharzami, a nam deszcz za kołnierz się leje i często o szklance piwa z suchą grzanką cały dzień trzeba pościć...

Poszło tedy wieczorem wszędzie jednym głosem. Jutro króla okrzykniemy.

Kogo?! Większa część myślała o Lotaryngczyku, innym było to prawie obojętnem, boć szlachta już raz zwycięztwo odniosła.

Od rana pod szopą było gwarno, ale tym razem województwa same pilnowały porządku i kupy, nie rozbijano się i nie rozpływano. Tylko bliżej owej szopy... życie drgało jakieś wydatniej... a widowisko przybywających panów mogło zaprawdę ciekawość obudzać.

Z obliczów czytać było można, jeśli nie myśli, bo z temi się nikt nie wydaje, to charaktery, co się zdradzają mimowoli.

Prażmowski wszeoł uroczyście prowadzony, starszy niż kiedy, umyślnie złamany, a tak pokorny dumnie i mądrze, a uśmiechający się łagodnie, że w niektórych litość obudzał.

Ci co go przed chwilą widzieli jak się przed poufałemi burzył, miotał, pięście ściskał i piorunami rzucał, tu go poznać ledwie mogli. Niejednemu uśmiech mimowolny prześliznął się po ustach, nie jeden szepnął sobie w duchu — O lis!!... lis szczwany!!...

Na innych twarzach maski wedle charakterów były różne. Sobieski hetman stał tak jakby go nic nie dotknęło, jakby nie poniósł szkody, i zimno patrzył na wszystko, choć ruina Kondeusza na duszy mu gruzami leżała...

Ale w tej rycerskiej wąsatej twarzy, która do grania komedyi nie była nawykła, widać było przymus, jaki sobie zadawał — i co go on kosztował...

Pac kanclerz — dumą nadrabiał. Rodzina ta świeżo do potęgi urosła, gotową była zachowaniu jej poświęcić wszystko. Widać to z nich było... Czekali na jaką stronę szala przechyli, bo z wyjątkiem Radziwiłłów, z któremi przejednanie było niemożliwe, mogli przyjąć każdego kandydata, jakiegoby im traf ślepy narzucił. Serce ich i skłonności ku Francyi ciągnęły, ale nawet miłość ku niej, interesowi familji ustąpić musiała. Widzieli się już panującemi na Litwie, pieczęć, buława, krzesła najpierwsze były w ich rękach. Morsztyn nie występował naprzód, i nie widać go było. Reszta zwyciężonych Kondeuszowych, już barwę Lotaryngskiego widziała jawnie...

W umysłach wszystkich... niepewność oczekiwanie, ciekawość... rodziły niepokój nadzwyczajny.

Każdy okrzyk głośniejszy zdawał się coś przynosić... Każdy drżeniem się odbijał pod szopą.

Ks. Michał od rana był na okopach, i stanął przy Sandomierskiej chorągwi, zmęczony, znudzony, o jedno Boga prosząc, aby raz się to skończyło. Spełniał swój obowiązek z apatyą, odrętwiony, obojętny, lecz grożąc ostatkiem cierpliwości.

Cały niemal dzień upłynął na niczem; brakło biskupów, Prymas się opóźnił... a przybywszy i usiadłszy w miejscu swem — mścił się milczeniem.

Szlachta się zżymała. Koryfeusze ostatniej walki poczęli się wyrywać z głosami.

— Jeżeli Imć. ksiądz arcybiskup nie zagaja... prosiemy księdza biskupa Krakowskiego, aby przewodniczył. Czas do obrad przystąpić.

Głuchy szmer wtórował, a Prażmowski jakby się ocknął, cichym głosem zaprotestował, iż do ostatniego tchnienia ojczyźnie służyć gotów.

Tymczasem z senatorów, którzy stali usta mając jak zamalowane, nikt się z niczem odezwać nie śmiał. Oglądano się, potrącano, a obawa wzniecenia burzy była widoczna.

Pod szopą więc — szemrano tylko, więcej pozornie niż rzeczywiście radząc, czekano skazówki od województw...

Tu jakoś dnia tego — umiarkowanie brało górę, ale głosy się słyszeć dawały. Kilka województw oświadczało się za Lotaryngskim.

Część Litwy Radziwiłłowska wołała za Neuburgskim, ale nikt nie poszedł za nią...

Tu i owdzie szlachcic się podnosił i głos zabierał, prawił, rozwodził się, pluł i niekonkludował.

W Sandomierskim naprzód huknęło:

— Piasta! Piasta!!

Ledwie się dał słyszeć ten okrzyk, aż jak iskra elektryczna przebiegł tłumy.

— Piast!

Ze śmiechem w kupkach wołano gdzieindziej:

— Polanowski...

Jakiś żartowniś przypomniał — Bandurę, ale go zahukano.

W tem, ni z tego ni z owego podkomorzy kaliski Krzycki zawołał głosem donośnym:

— Michał ks. Wiśniowiecki! Syn Jeremiego!!

Tak mało się kto spodziewał tego imienia, że go nie zrozumiano w początku, ale zaledwie dosłyszano wyraźniej wymówione — stała się rzecz dziwna, niepojęta... Jak gdyby wszystko ku temu było przytowane, zaczęły wybuchać wołania...

— Michał książę Wiśniowiecki!

Nie było oporu, nikt nie śmiał się przeciwić...

Spadł ten kandydat, jakby istotnie od Ducha Świętego zesłany... Pochwycono go z zapałem... Był to król, jakiego właśnie szlachta potrzebowała. Syn pokrzywdzonego przez magnatów Jeremiego, krew bohatera, plemie jagiellońskie... ubogi.., nieznany, zapomniany.

W wyniesieniu go szlachta mogła dać znamię swej potęgi.

— Vivat Piast! Vivat król Michał! vivat Wiśniowiecki! — zawrzało dokoła z gwałtownością nadzwyczajną...

Napróżno by się był kto chciał przeciwić... Zapał rosnął z taką niesłychaną szybkością i potęgą, że ani było podobna temu prądowi się opierać... Jak ogień w posuchę rozległo się na całem polu:

— Vivat Michał!

Szlachta podrzucała czapki, szable podnosiła w górę, gardłowała jak upojona, jak oszalała... Wołanie stało się krzykiem i ryczeniem zwycięzkiem.

Pierwszy odgłos z pola wpadający do szopy — przeszedł niezrozumiany. Tu tak nikt w świecie nie mógł się ubogiego, nic nie znaczącego, bez stosunków i przyjaciół książęcia spodziewać, że uszom nie uwierzono. Z ustami otwartemi, z oczyma podniesionemi Prymas stał — jak osłupiały... W koło się oglądał, pytając wzrokiem.

W tem z wrzawy tej nagłej dobitnie, jasno, głośno wypłynęło:

— Piast! książę Michał Wiśniowiecki!

Prażmowski, który się był podniósł nieco nasłuchując padł na krzesło bezsilny — z oczyma obłąkanemi...

Gniew, rozpacz, przestrach wypiętnowały się z kolei na twarzy starca. W tej chwili stanowczej, nieprzygotowany, nie mógł być panem siebie, zdradził się, lecz zwolna to, co go otaczało, nakazywało choć pozorną rezygnacyę...

Rzucił wzrokiem w koło.

Oburzenie jego podzielali marszałek sejmowy, który podniósł się pierwszy, jakby chciał miejsce swe opuścić, Sobieski, już zabierający się do wyjścia, i znaczna liczba senatorów... Cała ta opozycya, która jeszcze się czegoś spodziewała, w momencie zbiegła się około krzesła Prażmowskiego.

Szło o to, aby go uprowadzić, naówczas nikt by może inny nie śmiał śmiesznego, jak się Morsztyn wyraził, króla — proklamować...

— Jedźmy! jedźmy! precz!

Bez namysłu prawie, pochwycono starca pod ręce. Nie opierał się.

Pod szopą zamęt się stał wielki, rozerwanie jakieś — niepewność.

— Czekajmy! — wołali niektórzy.

— Jedźmy — nalegał Sobieski gniewny. — Żarty z nas stroją!

Przemogła gromada, która Prażmowskiego otaczała. Powtarzano — Jedźmy... Prymas dał się wziąć i prowadzić do powozu. W jednej chwili znaczniejsza część kolebek i koni stała w pogotowiu. Senatorowie uchodzili do miasta.

Nikt im drogi nie tamował, nikt nie wstrzymywał. Szlachta wybuchała śmiechem z tego popłochu, a coraz głośniejsze wołanie:

— Vivat Piast! Vivat król Michał! głuszyło wszytko.

W tej ucieczce nagłej z pola elekcyi widać było nieporadność panów, którzy wcale nie przewidywali tej ostateczności, ale pozostali sami.

W polu zgodność głosów była—przerażającą...

Powozy, które uciekających z pod szopy unosiły do stolicy, sunęły się wśród tłumu, jak jeden mąż powtarzającego:

— Vivat król Michał.

A wołaniu temu towarzyszyła taka wesołość, radość i szał niekłamane, iż twarze senatorów bladły ze strachu i gniewu.

Nie jeden byłby się może zawrócił, ale było zapóźno... Oglądając się obliczano kto w szopie pozostał.

Brakło wielu... Koryfeusze tylko uchodzili.. Spostrzeżono, że Pacowie pozostali, że Lubomirskich nie było...

W miejscu marszałka sejmowego Potockiego, który jechał za Prymasem, w szopie osieroconą laskę już, po krótkiej rozwadze pochwycił był Stanisław Lubomirski, starosta spiski, szwagier Michała Wiśniowieckiego... nie dopuszczał rozsypania się pozostałych.

Około niego Olszowski biskup chełmiński gromadził rozpierzchłych. Pacowie stali u boku rozmyślać się zdając jeszcze, czy pojadą za Prymasem, czy pozostaną z Olszowskim. U wielu widać było tę samą niepewność i obliczanie się siłą przemagającą, lecz wołanie województw zgodne nie tylko nie ustawało, rosło, wzmagało się, brało górę—niepodobna było wątpić, że tej jednomyślności już żadna siła niepotrafi rozerwać.

Nie było Prymasa do proklamowania króla, ale zastąpienie go przez któregokolwiekbądź biskupa ani było niemożliwem, ni bezprzykładnem.

Stanowczy krok Lubomirskiego wpłynął na to, że większa część senatorów pod szopą została...

Co się działo w polu z ks. Michałem?! On sam z tego sobie nie mógł jeszcze zdać sprawy.

Przybył jak zwykle na Wolę z małym i skromnym pocztem kilku ludzi.

Kiełpsz, który mu towarzyszył, rozłączył się z nim idąc do Litwy swojej, a książę Michał zajął miejsce zwykłe pod sandomierską chorągwią.

Znali go tu niektórzy, a z wielu porobił był czasu elekcyi znajomość. Ubogi ten książę ściągał oczy ciekawe... twarzą posępną i osamotnieniem. Niekiedy zbliżał się do niego stary ów sługa, czasem przychodził Piotrowski, najczęściej jednak—był sam i dumał nudząc się na tem stanowisku obowiązkowem.

Dnia tego był jeszcze może bardziej znużony niż kiedy...

Gdy w niewielkiem oddaleniu kaliskie zaczęło wołać — Vivat książę Michał — Wiśniowiecki, vivat Piast! Książę się tak mało spodziewał tego, iż niezrozumiał i niedosłyszał okrzyku.

Ale w tem tuż Sandomierskie buchnęło całe jak jeden mąż... zwracając się ku niemu.

— Vivat książę Michał!

Wziął to za żart i krew ogniście mu do głowy buchnęła. Zmarszczył się groźno do tych, co bliżej stali wołając.

— Mości panowie, żartów takich się wyprawiać nie godzi.

Nie skłonny do gniewu, zaperzył się. Ale wołanie nie ustawało i stary ów sługa przybiegł pierwszy chwytając go za kolana.

— Królem Was wołają! het! wszystkie województwa jednozgodnie...

— Dajcież mi pokój! to nie może być — odparł gniewny książę Michał.

W tem i drudzy nadbiegać zaczęli wyrzucając czapki, wołając, ciesząc się, szalejąc.

Książę Michał stał blady jak chusta... Niepodobna już wątpić było o tym cudzie. Jak grom i błyskawice przeleciały przez czaszkę jego... łzy strumieniem rzuciły się z oczów..

— *Transeat a me calix iste!* — zamruczał

Stał jak posąg—osłupiony, a łzy ciągle lały mu się z powiek. Wspomnienie ojca, matki, przestrach jakiś nie dozwalały zebrać myśli.

Zdawało mu się, jak gdyby nagle siła jakaś w nowy świat go przeniosła. W oczach się ćmiło, nie wiedział nic. Pochwycono konie jego za cugle, opasano go, prowadzono... nie pojmował sam co się działo...

Rażenie piorunem nie mogło być gwałtowniejszem.

Nigdy może elekcya żadna nie dokonała się z większą zgodnością głosów. Nawet ci co byli pozyskani do Lotaryngskiego i zabierali się go okrzykiwać, porwani prądem nie wiedząc co czynią, krzyczeli Piast. Szał szlachty przechodził miarę wszelką... Był to jej król! Wczoraj ubogi, stojący w kątku u tych możnych, którzy na niego patrzeć nie chcieli, dziś jej głosem, jej wolą na tron podniesiony...

Gdzieniegdzie dawało się słyszeć:

— Zmiłujcie się, toż on pięciu koni nie ma na stajni, a przybył na plac bodaj samotrzeć... a zkądże on wydoła.

Zapał był taki, że wszyscy natychmiast wołać poczęli:

— Odda każdy co kto ma najlepszego! Jutro on niczego od panów potrzebować nie będzie. To nasz król, my sobie wstydu uczynić nie damy... Vivat Piast!

Można sobie wystawić, jakie wrażenie na paniach zgromadzonych w pawilonie kanclerzynej uczyniła wiadomość z pola elekcyjnego przyniesiona.

Przybiegł z nią jak szalony goniąc, aby innych wyprzedzić, zdyszany Kiełpsz. Wszystkie panie zobaczywszy go podnoszącego czapeczkę do góry, wybiegły naprzeciwko niemu.

— Piast... Piast...

Gdy potem dodał—książę Wiśniowiecki — panie mu rozśmiały w oczy.

— *Farceur!* — zawołała Sobieska.

Kiełpsz się w piersi uderzył, ale w tymże momencie przesunęła się kolasa Prymasowska nie zatrzymując i Sobieski nadciągał blady. Imie księcia Michała latało w powietrzu. Kobiety stały zdrętwiałe oburzeniem i gniewem.

Maryę Kazimirę trzeźwić musiano. Hetman zaledwie hamując się mógł mówić.

— Tak—okrzyknięto go, nam na złość, to książątko, któremu koszule może sprawiać będzie musiała rzeczpospolita, ale go Prymas nie ogłosi, a my go znać nie chcemy!...

Mała to była pociecha...

Kanclerzyna Pacowa, więcej panująca nad sobą, dostrzegła pierwsza, iż mąż jej i rodzina nie przybywała, prawdopodobnie, więc musiała w szopie pozostać.

Spytała o marszałka sejmu.

— Ten już jest w Warszawie—rzekł Sobieski—ale po drodze słyszałem, że starosta spicki po nim wziął laskę.

Nie wszyscy więc się cofnęli.

Pacowa usiadła zamyślona. Hetmanowa rzucała się wściekła, płakała, łamała ręce, odpychała męża, który ją chciał całować. Po dwakroć ponieść taką klęskę, ludziom, którym się zdawało, że wszystko mają w ręku, było ciosem nie do zniesienia. Wszyscy szukali winowajców, zrzucając z siebie winę na drugich. Posądzano już Paców o zdradę.

Hetmanowa kazała się wieźć do domu.

Tymczasem u Prymasa, gdzie się wszyscy niemal zbiegli z pod szopy gromadzili, roztrząsano co tu czynić należało, aby elekcyi niedorzecznej, upokarzającej nie dopuścić. Chciano działać na wybranego, na jego matkę, ale na to nie było czasu. Zaprzeczyć ważności wyboru jednogłośnego, jawnego, przeciwko któremu tylko senat powstawał i to nie cały, nie było sposobu.

Pierwszy nadjeżdżający później już hetman zwrócił na to uwagę, że byli w mniejszości—i nie mieli za sobą żadnego prawnego środka.

Tym razem wielka cela generalska u OO. Jezuitów, w której prymas ledwie dysząc, otoczony swemi towarzyszami, naprzemiany słabł i burzył się z gniewu, podobną była zamętem i wrzawą do obozu na Woli.

Nie było sposobu, Wiśniowieckiego musiano przyjąć, ale można było przewidzieć, czego się miał spodziewać.

Do zgromadzonych tu koryfeuszów opozycyj nadbiegł Gorzeński.

Sądzono, że coś przynosił, jeżeli nie pomyślnego, to przynajmniej nowego. Szlachcic miał sobie tylko za obowiązek donieść, że jeżeli nie przyśpieszy powrotu Prymas, innego biskupa zmuszą do obwołania króla i z nim pojadą odśpiewać Te Deum u Ś go Jana.

Prażmowski się porwał, wszyscy czekali, co postanowi—badano się oczyma

Trzeba było upokorzyć się i—wracać,—bo—nie mieli innego ratunku. Król był jednomyślnie obrany. Kazano zachodzić kolasce prymasa. Senatowie niektórzy, wyprzedzając go, udali się nazad na Wolę, usiłując tylko wśliznąć tam teraz tak, jakby jej nie opuszczali.

W szopie, gdzie podkanclerzy Olszowski i Stanisław Lubomirski gospodarowali sami—zmiana usposobień dokonywała się w oczach—cudownie.

Pierwsi, po krótkim namyśle, Pacowie, którzy nie wrócili do miasta, stanęli po stronie elektu.

— Jak skoro Kondeusz nie może być królem— rzekł kanclerz — wolę już Wiśniowieckiego, jak Lotaryngskiego, jestem pewniejszym, że go sobie pozyszczę.

Michał, około którego wczoraj pogardzonego, skupiało się teraz wszystko, kłaniało mu i do pocałowania ręki dopraszało, płakał jeszcze, nie mogąc przyjść do siebie—i opamiętać się.

Wielkie szczęście jest jak nieszczęście wielkie przybijającem.

Myślał o matce.

Z tem większem uniżeniem powracający, powitał go Prażmowski, że był judaszem, który miał zdradzić i zaprzedać. Nie myślał się tłómaczyć z dezercyi—ulegał woli narodu objawionej tak silnie i stanowczo.

Michał, który ani winy żadnej nie widział, ani zdrady nie podejrzewał, przyjął go z poszanowaniem należnem głowie duchowieństwa.

Ze skruszonych i powracających, najmniej pokory okazał hetman Sobieski, z dumą w milczeniu przyjmował tego króla, jak gdyby zapowiadał, że mu zgodę i pokój drogo opłacić musi.

Ci, co dalej i lepiej widzieli, rozumieli to, iż na Olszewskiego tylko na Paców i Lubomirskiego rachować mógł wybrany, reszta uginała się przed koniecznością, była posłuszna, ale wściekle gryzła nałożone wędzidło.

Gdy przyszło jechać do miasta, aby Te Deum zanucić w katedrze, nie miał Michał tylko tego konia i dwu pacholików z któremi przybył i gotów był powracać jak przyjechał, ale Prażmowski nie mógł dopuścić tego.

Ofiarował więc Elektowi miejsce w swej kolebce i wobec cieszącej się szumnie swoim zwycięz-

wem szlachty książę Michał wsiadł około wroga swego do powozu.

Tłumy poprzedzały ich z wrzawą z okopów płynąc do miasta, a w tem pospólstwie panowała radość nie do opisania.

W ciągu jazdy z Prażmowskim nie rozmawiali na te słów kilka, starzec był przybity — młody król rozrzewniony tą łaską opatrzności, którą odnosił do zasług ojca, do modlitw pobożnej matki, nic sobie nie przyznając.

Od Woli aż do zamku i kościoła szeregami poruszał się lud, szlachta, co tylko żyło w Warszawie, a oprócz senatorów, na twarzach wszystkich widać było jakieś uszczęśliwienie i tryumf.

Zdawało się najbiedniejszym, że ten król ubogi, nieznany był—ich królem, dla nich wybranym—a w nim oni wszyscy zwyciężali.

Do kościoła ś. Jana, nabitego już, oświeconego na prędce, którego dzwony rozkołysane wesoło zwiastowały nowinę szczęśliwą—docisnąć się już nie było podobna. Straż, którą Hetman wyznaczył, musiała torować drogę Elektowi, padł na kolana przed wielkim ołtarzem, a Prażmowski przeszedł do zakrystji wdziać szaty uroczyste, aby hymn chwały i dziękczynienie zanucić.

Rad nie rad musiał też Hetman posłać rozkaz do cehhauzu aby z dział bito.

W tym obchodzie, nie podobnym do żadnego z tych co go poprzedzały było coś dziwnie przejmującego, ale smutnego razem. Ten wybraniec narodu otoczony nieprzyjaciółmi, na których twarzach ledwie tłumiona malowała się nienawiść, podobnym był do skazanego, któremu wyrok czytają.

Ze łzami i rezygnacją go przyjmował. Hymn się rozlegał pod sklepieniami kollegjaty głosem w którym brzmiało razem—Miserere pokutne i groźb pełne—Dies irae.

Czuli to wszyscy — panowanie narzuconego zapowiadało się jako walka, dni kary, boleści i sromu.

Na twarzy Michała ani na chwilę nie prześliznął się promyk jasnej łzy — stał blady, zmęczony i głosem zgasłym szepnął podtrzymującemu go Lubomirskiemu.

— Do matki! do matki!

VIII.

W dworku przy Miodowej przecznicy po wyjeździe zrana księcia Michała, życie powszednie swym niezmiennym trybem się ciągnęło.

Tu, jak w innych gospodarstwach ludzi podeszłych wszystko się godzinami regulowało i stosowało do nich.

Starzy słudzy znali je i nie potrzebowali skazówek wiedząc co każda godzina znaczyła.

Ks. Gryzelda usiadła do swego stoliczka, na którym robota ręczna obok książek i różańca złożoną była. Hela Zebrzydowska wydawała rozkazy, chodziła po domu, zbierała co jej było potrzeba aby powrócić do staruszki, siąść naprzeciw niej i zabawiać ją do powrotu syna.

Goście bardzo się tu rzadko zjawiali, a tych dni rozgorączkowanych ostatnich wcale się niespodziewano, z wyjątkiem codziennego, przyjaciela domu ks. Fantoniego.

Ks. Gryzelda otwarcie prosiła Boga aby się raz skończyć mogła ta utrapiona elekcja. Spodziewano się też lada godzina coś stanowczego dowie-

dzieć. Księżna, która tylko o synu myślała, jak wprzódy rachowała na Kondeusza i ciągle o nim mówiła tylko, tak teraz o dworze Cesarza, o pobycie na nim księcia Michała—o nadziejach jakie budować mogła na tem dla przyszłości.

Wtórowała jej w tem Hela i obie rokowały sobie najświetniejszą karjerę dla księcia, który miał wcześnie wymagane przymioty dla wysokiego stanowiska przy tronie.

Imie, wychowanie, sława przodków, osobistą ogładę, przyjemną powierzchowność, charakter łagodny.

— Michał—powtarzała wzdychając księżna Gryzelda—ma tę tylko jedną wadę, która w życiu często jest przeszkodą by dojść do czego — ma nadto pokory i skromności.

Przez cały dzień tak siedziały same, ubolewając nad Michałem, który o głodzie musiał piec się na słońcu i w pyle.

Już się miało ku wieczorowi, gdy Hela usłyszała tentent cwałem biegnącego konia ku dworkowi i wyjrzawszy oknem zobaczyła jezdnego, który do wrót się dobijał, poznając w nim swego starego sługę Jeremiego, sandomierzanina, który się podwakroć wpraszał do księżnej.

Pośpiech z jakim przybywał raził ją jak groźba. Zlękła się czy się co złego nie stało księciu Michałowi, ale wybiedz się dowiedzieć nie miała siły. Tchu jej zabrakło, złożyła ręce, zaczęła się modlić.

Tymczasem już w przedsieni słychać było spór żywy i wołanie.

— Puszczajcie mnie... na Boga, niosę dobrą nowinę.

Przebojem jak szalony wpadł do przerażonej ks. Gryzeldy na wpół pijany szlachcic, czapką wywijając po nad głową, padł przed nią na kolana i wrzasnął:

— Vivat! wybraliśmy królem naszego księcia Michała!!

Księżna wzięła go za obłąkanego lub napiłego. Rzecz dla niej była tak niemożliwą, że uśmiech bolesny wywołała tylko.

— Dobrze! dobrze — zawołała — napij się tam czego... i...

I, niedokończyła tych słów, gdy się drzwi otworzyły znowu i niezmiernie blady, poważny jakiś—poruszony wewnętrznie, jakby miał nieszczęście zwiastować, wszedł ks. Fantoni.

Tymczasem, krzyczącego—Vivat! i opierającego się szlachcica służba uprowadzała.

— Księżna już wiesz?—zapytał głosem słabym kustosz.

— Nic nie wiem.

— Książę Michał obrany królem!

Wiśniowiecka słuchając bladła... nogi się pod nią zachwiały, upadła na krzesło.

— Rzecz jest najpewniejsza, wybrany i okrzyknięty jednogłośnie. Prymas ze swą partją się opierał, ale zmuszony został powrócić do szopy, aby go proklamować.

Hela, która wszedłszy słuchała i jak ściana stawała się bladą, wydała słaby okrzyk i na wznak upadła zemdlona.

Szczęściem turecka sofa, przy której stała, a na nią spadła głowa—zabezpieczyła od większego szwanku, a krzyk ściągnął z pokoju obok dziewczęta. Zebrzydowska też po krótkiem omdleniu natychmiast odzyskała zmysły, ale pozostała jak od pioruna rażoną.

Matka chciała się modlić, złożyła ręce, poruszyła ustami, odmówiły jej posłuszeństwa. Hela też płakała zamiast się cieszyć. Nie było radości, ale niewypowiedziana troska i obawa przyszłości.

Ks. Fantoni nie umiał słów znaleźć, aby uspo-

koić i natchnąć męztwem. Ks. Gryzelda sercem matki widziała co czekało syna.

— Duch Jeremiego cieszyć się może—szeptała staruszka, łzy ciągle ocierając — ale biedny Michał padnie ofiarą. Tylu nieprzyjaciół, zazdrosnych tylu... a życzliwych gromadka tak mała...

— O to się niema co troszczyć — odparł kustosz zmieni się to wszystko w oka mgnieniu i przyjaciele się znajdą i wrogi umilkną.

— Ale on sił nie ma po temu—szeptała matka i powtarzała:—Biedny Michał.

Zebrzydowska niema, oczyma jakby obłąkanemi bezmyślnie patrzyła w okno. Grzebała wszystkie swoje nadzieje — Michał królem, na niedostępnej dla niej wysokości... ona osamotniona... sierotą na wieki!!

Nieuśmiechało się jej królestwo dla niego, znała go nadto dobrze, że do tronu stworzonym nie był, że na nim być musiał ofiarą.

Wśród ciężkiego oczekiwania upłynęło wiele czasu, rozkołysały się dzwony wszystkich kościołów, dochodził huk dział do dworku, a oznaki te radości księżną Gryzeldę coraz większą jakąś napełniały trwogą... Wieczór nadchodził.

W ulicy zaszumiało nareszcie, słyszeć się dał turkot powozów, — u wrót zatrzymał się orszak liczny, towarzyszący nowemu panu, który biegł poruszony do matki.

Chciała wstać naprzeciw niego, ale sił jej zabrakło.

Wiśniowiecki, któremu towarzyszyli Lubomirski i ks. Olszowski wbiegł do pokoju i przed matką padł na kolana, zachodząc się od płaczu.

— Błogosław!!—mówił cicho, ściskając jej nogi—matuniu.—Błogosław dziecko twoje.

Widok był poruszający tego ukorzonego majestatu przed świętością macierzyńskiej powagi. Nikt z przytomnych od łez powstrzymać się nie mógł...

a każdemu w duszy przyszła myśl—że panowanie to dziwnie od łez się zaczynało.

Biskup Chełmiński i Starosta Spiski zabawiwszy chwilę, uznali właściwem pozostawić matkę i syna sam na sam z sobą. Lubomirski tylko zapowiedział, że później przybędzie po szwagra, aby go na zamek odprowadzić, gdzie noc już przepędzić musiał, bo nazajutrz od rana tysiące spraw było do omówienia i załatwienia.

Król prosił tylko, aby go w spokoju z matką, choć kilka godzin pozostawiono.

Gdy się to działo, niemal zapomniana Hela—otrzeźwiona, wróciwszy do pokoju, stała drżąca na boku, i oczyma smutnemi patrzyła na towarzysza młodosci.

Michał dopiero po wyjściu biskupa, kustosza i Lubomirskiego, wzrokiem niespokojnym szukać jej zaczął, podszedł ku niej i pochwyciwszy za rękę, przycisnął ją do serca.

Niemi oboje spojrzeli sobie w oczy...

Ks. Gryzelda powoli przychodziła do siebie. Zażądała od syna, aby jej to wytłomaczył, jak się to stać mogło, co się stało. Nikt przecież nie przygotowywał się, nie starał, nie myślał o tym wyborze? Michał zrana odjechał jak zwykle—nie mając przeczucia tego co go spotkać mogło.

— Jeden Bóg, który rządzi losami ludzi—odezwał się syn — wie jak się Jego wola dokonała nademną. Stałem spokojnie przy chorągwi Sandomierskiej, nie domyślając się niczego. Słuchałem gwaru, śmiechów i wrzawy... obiło się o moje uszy imie Polanowskiego. Nagle nie wiem zkąd w powietrzu rozległo się imie moje... niezrozumiałem w początku.

Nie wierzyłem uszom... opierałem się, wypraszałem. Głosy pomnażały się, rosły, nadbiegła szlachta tłumnie, ściskając za nogi, wyrzucając do góry czapki, radując się... gdy mnie łzy się z oczów toczyły.

Brałem to za niegodziwe urągowisko—gniewa-

łem się. Niestety! stało się... czego nikt w świecie przewidzieć nie mógł.

Wprowadzono mnie do szopy, z której znaczna część senatorów z Prymasem uszła do miasta... zostali tylko Pacowie, Olszowski, Lubomirski, który Potockiego właśnie zastąpił. Niewiem jak długo trwał zamęt i niepewność, ale po za szopą szlachta groźno warczała, dopominając się o proklamę.

Nie wiem też czy sam z dobrej woli—czy zmuszony powrócił Prymas, gdy już się domagano od podkanclerzego, aby on okrzyknął wybranego.

A! jakim srogiej nienawiści wzrokiem przeszył mnie Prymas... jaką dumą gniewną powitał Sobieski, jakiem szyderstwem Morsztyn.

Tych oczów jak żyw nie zapomnę.

Matka troskała się już po niewieściemu o pierwsze potrzeby. W domu pieniędzy było mało. Michał wypróżnił kieszenie i co miał rzucił na stół. Hela przybiegła z całą kasą domową. Wszystko to zebrane razem—było tak szczupłym zasobem, iż pożyczka, którą ks. Fantoni ofiarował, stała się koniecznością.

Ani nowo obrany król, ani matka nie rozumieli jak podołają niezbędnym wymaganiom nazajutrz zaraz. Pod szopą w wozowni stała jedna zużyta z zasłonkami połatanemi kolebka, brożek i wozy. Wierzchowy koń nie miał ani postawy, ani rzędu odpowiadających godności pana. Lubomirski ofiarował już znany zaprząg swój cały... ale to nie starczyło. Uciec się do marszałka Sobieskiego, który karetami swemi woził—nie pozwalała duma.

Położenie było trosk pełne.

Nieprzyjaciele patrzyli i musieli korzystać ze sposobności wyśmiewania tego króla - ciżby... wybrańca szaraczków.

Smutek okrył twarze. Ks. Gryzelda po za te powszednie troski sięgała myślą, starając się zebrać

synowi przyjaciół i obrońców. Tak niewielką garstkę ich naliczyć mogła!

Wieczór wśród tej urywanej opowiadaniami rozmowy uchodził szybko. Dopiero teraz przypomniano sobie, że Michał przez cały dzień nic prawie nie miał w ustach.

Hela pobiegła aby mu przygotować posiłek jakiś na prędce.

Z nią potem wyszedł do jadalni sam, gdyż księżna matka, chciała się pomodlić.

Michał jak pijany, trzymając za rękę Helę powlókł się do stołu, dopiero trochę wina pokrzepiło go. Siedli jak niegdyś dawniej, naprzeciw siebie. Zebrzydowskiej na myśl przyszło, iż po raz pewnie ostatni tak poufale po staremu zbliżyć się mogli, zaczęła płakać znowu i głowę ukrywszy w rękach szlochała.

— Helo — na miłość Bożą — począł król — nie odejmuj mi odwagi.

— Dla mnie - z za łez wołała Zebrzydowska— wszytko skończone, życie moje to szczęśliwe... z dzisiejszym dniem się zamyka. Co ja pocznę!

— Siostro ty moja najdroższa — przerwał Michał—nie odbieraj mnie siły, bo ja jej teraz potrzebuję najwięcej. Nic się nie zmieni — nic nie może zmienić w sercu mojem dla ciebie. Będziesz czem byłaś, moją najdroższą Helą... z matką, istotą którą na tej ziemi najczulej kocham i miłować nie przestanę.

Hela nie mogła łez utulić.

— Przebacz—rzekła w końcu—łzy to są samolubne—ostatnie! Nie mogłam ich wstrzymać. Myślę i wyobrażam sobie samotność i sieroctwo nasze. Oni cię porwą, chwycą, nie dadzą tchnąć — nie będziesz miał chwili dla nas swobodnej... Królem!! nie królem aleś się stał ich niewolnikiem i ofiarą.

Ciche, spokojne, ubogie szczęście nasze rozpry-

sło się i rozbiło na wieki... A! gdybyś ty przynajmniej mógł być szczęśliwym.

— Ja?—podchwycił Michał—ani się spodziewam tego... ani to być może.

Wiem co mnie czeka. Gdybyś widziała te twarze, które mi zapowiadały nieubłagane prześladowanie i wojnę... gdybyś wyobrazić sobie mogła, z jaką groźb pełną, a ułożoną do uniżenia twarzą, wiózł mnie Prażmowski do kościoła... jak mu w piersi głos tłumiła wściekłość, jak drżał cały patrząc na mnie... a Sobieski... a cały ten zastęp ich...

Hela się porwała oburzona.

— Królem przecież jesteś!—zawołała.—Mówią, słyszałam, że polscy królowie małą władzę mają, ale nie sposób abyś nie znalazł między senatorami poparcia i pomocy.

Słyszałam, gdyś powiadał, że Pacowie cię nie odstąpili.

— Nie odjechali z Prymasem, zostali w szopie, ale się trzymali wyczekiwając zdaleka—rzekł młody król.

Krótkie milczenie przerwało rozmowę.

— Co mi potem wszystkiem—cicho począł Michał—co mi po królowaniu, gdy ja ciebie przy sobie ani matki mieć nie będę. Przywykłem się dzielić z tobą myślami, byłaś mi nieraz najlepszym przewodnikiem i doradzcą.

Muszę znaleźć sposób, ukraść godzinę jakąś dla siebie, abym mógł tu zbiedz i odetchnąć. Niewydolam ciągłemu królowaniu — ja co ta spokój i ciszę kochałem.

— Ks. Fantoni zapowiedział już—przerwała Zebrzydowska—że jutro i księżna się ze dworu na kustodją wynosić musi. Będą i ją odwiedzać ci co się do króla dobijać zechcą, nie przystało ji tu pozostać, a na zamek nie zechce.

Michał już nie słuchał, rękami szukał białych rączek siostry i chwytał je namiętnie, szepcząc imie

Heli. Ona też zapominała się—patrzała mu w oczy... i płakała...

— Rozdzielić się musiemy!—szeptała.—Ty znajdziesz tysiące co ci zastąpią siostrę—i powiernicę, ja nikogo już w życiu mieć nie będę.

— Nic nas nie rozdzieli!—przerwał gwałtownie Michał.—Sama mówiłaś,—królem jestem. Mogą mi narzucić obowiązki, ale sercem mojem przecież ja jeden rozporządzam. Tego ty pewną być możesz.. a ja bez ciebie życia nie pojmuję.

Bóg wie jak długo by się była ciągnęła ta zapłakana rozmowa, gdyby ks. Gryzelda nie zaczęła się upominać o syna. Michał wstał, pochwycił Helę, objął ją, przycisnął do piersi i na czole złożył pocałunek gorący.

— Pamiętaj — rzekł — bądź co bądź, jam twój, wierny... jam twój.

Pomięszani wrócili do staruszki, która może przeczuwając to pożegnanie zbyt serdeczne, właśnie dla tego przywoływała syna niespokojna.

W tej samej prawie chwili—Lubomirski wracał po króla.

Ale matka puścić nie chciała.

— Kochana matko—rzekł całując jej ręce drżące — na zamku, pomimo pory spóźnionej pełno jest, czekają na Michała ci co się może najprędzej obawiać mogą niechęci... bo mu ją dziś jeszcze sami jawnie okazywali. Kanclerz Pac siedzi i mówi mi, że się nie oddali, dopóki nie rozmówi z królem. Nie należy on już teraz ani do was, ani do rodziny, ale do kraju, któremu służyć musi. Porywam go — jedziemy.

Michał jeszcze raz pochylił się do kolan matki, chciał potem zbliżyć się do Heli, ale skinęła tylko ręką, przyłożyła chustkę do oczów i uciekła.

Wprost ztąd na zamek pośpieszać musieli, w którym było jasno i niemal pomimo nocy tłumno.

W podwórzu stało powozów, koni, pocztów, stra-

ży poddostatkiem, ruch panował w pustych i opuszczonych przed kilku godzinami komnatach.

Dwór rozpierzchły po Janie Kaźmirzu na pierwszy odgłos o wyborze zbiegł się na zamek, gotów znowu na służbę. Nieład panował, ale na ludziach nie zbywało.

Wysiadali, gdy im stojący u krużganku koniuszy koronny śmiejąc się oznajmił, że o kolebkę dla króla na jutro troskać się nie potrzebował Starosta Spiski.

— Jest ich już aż trzy nowiusieńkich jak z igły, każda z sześciu paradnemi woźnikami i uprzeżą—mówił koniuszy. — Nie mogłem się dowiedzieć, kto je przyprowadził i ofiarował, alem oglądał i znajduję paradnemi.

Michał może nie słyszał—szedł na górę, gdzie jak mu oznajmiono, czekał kanclerz Pac i wielu innych. Cała ta rodzina prawie razem z nim stawała przy królu.

Nie było Sobieskiego, chociaż urząd wielkiego marszałka, powinien go był sprowadzić,—ale na innych dostojnikach nie zbywało.

Gdy skromny i bojaźliwy ukazał się król młody, niedano mu się oddalić od progu i otoczono kołem, każdy chciał być pierwszym z hołdem i rewerencją, zaręczając iż był z wyboru szczęśliwy.

Pac nawet z całą swą dumą — oświadczał głośno, że był wprawdzie za Kondeuszem i gotów był głosować na Lotaryngskiego, ale się ani on, ani nikt widocznego cudu Bożego, natchnienia Ducha świętego niespodziewał.

— Gdy się to stało—dodał—szczęśliwi jesteśmy i serca ci ofiarujemy... a w potrzebie i dłonie.

Tu wspomniał Pac, o czem nigdy nie mówił, że sam na swoje uszy słyszał z ust nieboszczki królowej Marji Ludwiki, jak Michałowi królowanie przepowiadała, godnym go uznając korony.

Natychmiast znalazło się jeszcze kilku utrzymujących, że też słyszeli i bardzo dobrze zapamiętali.

Kanclerz Pac za najpilniejszą sprawę uważał—przejednanie i pozyskanie Prymasa, sam przez żonę obiecując wpływać na dwór francuzki aby sprzyjał nowemu królowi.

I dodał tajemniczo.

— Znajdą się środki zbliżenia, a nawet połączenia z Francją, ale na to jest czas.

Michał zaledwie miał czas i mógł się zdobyć na podziękowanie wszystkim już cudownie pozyskanym, trochę odwagi wstąpiło do jego serca.

Późno w noc na ostatek goście opuścili zamek, dozwalając odpocząć znużonemu. Lubomirski sam jeden z nim pozostał.

Chociaż sypialnia, niegdy Władysława i Kaźmirza zajęta teraz przez króla, była w dosyć spokojnym kącie zamku położoną—jak tylko na brzask, to się tu wszystko poruszać zaczęło, a ludzi napływać, że Lubomirski wstać musiał.

Przyczyną tego niepokoju była pod Wolą wczoraj, wielkim rozgorączkowaniu jednogłośnie przyjęta uchwała szlachty, iż królowi z którego niezamożności naśmiewali się jawnie Pacowie, ci co go wybrali, powinni byli złożyć w ofierze co kto miał najlepszego, aby go wyposażyć.

Z takim zapałem chwycono się tego wniosku, iż w obozie on prawie zasnąć nie dał. Wymyślał każdy co miał dać, a ofiarność była taka, że ostatniego konia, co dla szlachcica najcięższą jest ofiarą, gotów był każdy poświęcić—dla swojego króla.

A że pomiędzy ogromnym tym tłumem, zamożnych było bardzo wielu, i ci na elekcją dla wystąpienia i popisu z domów pozabierali co mieli najpokaźniejszego i najdroższego, każdy więc prawie miał coś do przyniesienia w ofierze, tak że ubożsi, gdy

na nic więcej nie stawało, choć parę pistoletów lub szablę drogą, złożyć byli gotowi.

Przez całą niemal noc czyszczono, trzepano, wyświeżano co kto miał, nazajutrz rano nieść na zamek.

Zaledwie się dzień jasay robić poczynał, gdy ta osobliwa procesja z Woli ku zamkowi długiemi szeregami ciągnęła... konno, z wozami, kolebkami i t. p.

Niemal gwałtem potem włamano się na zamek, dopominając u Burgrabiego, aby salę wyznaczył, gdzie miano składać ofiary, pisarza posadził z księgą, aby je regestrował. Próżno się ten wymawiał, że rozkazów żadnych nie miał, zakrzyczano go, zahuczano, a że i stara służba chętnie do tego spisku weszła, pootwierano sale, znaleziono skrybenta i rozpoczęto składanie darów, które przez cały ten dzień i kilka później jeszcze nieprzerwanie się ciągnęło.

Wypadek to był w tych przynajmniej rozmiarach nigdy niepraktykowany. Trafiało się, że panowie i szlachta, to osobliwe konie, to do zwierzyńca osobliwe stworzenia, to jakieś starożytne pamiątki królom przynosili i składali do ich skarbca—takiego nacisku darów, nikt nigdzie nie widział, ani o nim słyszał.

W ulicach niezmierne tłumy zebrały się patrzeć na ten pochód wesoły i dziwaczny, jedyny w swoim rodzaju. Nie było bowiem sprzętu i rzeczy, którejby nie niesiono dla króla JMci, począwszy od koni i psów myśliwskich, do pozłocistych naczyń, dzbanów, futer i kobierców.

Ani Lubomirski, który z początku przyjmowaniu się chciał opierać, ani książę Dymitr Wiśniowiecki, przybyły też zrana do zamku, nie mogli szlachtę przekonać, która się dopominała zuchwale o prawo obdarzenia swojego króla. Musiano w końcu uledz, i trzech pisarzów zaledwie mogło wydołać regestrowaniu rzeczy i nazwisk. Nie mieli się czego

wstydzić ofiarujący, gdyż wszystko niemal było przedziwnem i szacownem,

Samego uzbrojenia starczyło już na piękny poczet straży, gdyby ją zaraz sztyftować chciano.

Oprócz tego, cokolwiek później, senatorowie też tłumnie zaczęli nadciągać.

Sobieskiego tylko i Radziwiłłów brakło długo, bo pierwszy z Wiśniowieckimi, zwłaszcza z księciem Dymitrym był w jawnym rozbracie, a drudzy z Pacami wojnę prowadzili. Jak tylko więc o przystaniu ich do Michała się dowiedzieli, połączyli się z Sobieskim.

Hetman, oni i Prymas stanowili zarodek tego nieubłaganego obozu przeciwników, których niczem nie mógł nigdy Michał przebłagać. Ale dzień ten, przynajmniej pozornie, był dniem hołdów i uznania.

Złem czy dobrem sercem królowi już ogłoszonemu musieli wszyscy bić czołem, nie mogąc na razie jawnej wypowiedzieć wojny.

Hetman nawet ze swego urzędu marszałkowskiego, musiał się stawić na zamku i tam pewien porządek wprowadzić.

I on i wszyscy niechętni senatorowie mieli zręczność przekonania się naocznie, z jaką, można było powiedzieć, zajadłością manifestowało się dla króla obranego przywiązanie.

W oczach ich przyciągły te gromady znoszące dary, a w otwartych salach mogli ciekawi oglądać istotnie ciekawe nagromadzenie kosztownego sprzętu, ktory już starczył choćby na królewskie wyposażenie. Mnogość ludzi, która się przyczyniła do tego, możliwem czyniła wielkiego szacunku składkę, już do południa zalegającą salę, tak, że miejsca braknąć zaczynało.

W wozowniach też i stajniach, na przyprowadzane konie, powozy, na przywożone namioty — cia-

sno było. Nowa służba krzątała się, coraz zajmując więcej miejsca.

Wszyscy szli przypatrywać się i podziwiać.

Najpierwsze miejsce zajmowały srebra, których mnogość wielką zniesiono, tak, że jak drzewo leżały kupami szczególniej miednice i nalewki, pomiędzy któremi moskiewskiej i holandzkiej roboty obok augsburgskich i gdańskich leżały. Puhary, behery, kubki, misterne w kształcie paziów, ananasów, — zwierząt dziwacznych srebrne, pozłociste, sadzone kamieniami na najwspanialszy kredens starczyły. Nie brakło ogromnych dzbanów, wiader,—ani łyżek zapasowych, które apostolskiemi tuzinami, z wizerunkami świętych i napisami miała szlachta podostatkiem. Oddawano z pod serca, aż do pamiątkowych obrazków N. Panny i Chrystusa na blachach złotych malowanych, aż do relikwiarzy i ampułek. Jeden z bogatszych postawił beczkę srebrną na nogach krzyżowych z bachusem na niej.

Po srebrach szły najbogatsze rzędy i siodła, na które, również jak na dywdyki konie okrywające sadzono się wielce aksamitem wyściełane, grubemi blachami pozłocistemi z przodu i z tyłu obijane, ze strzemionami szerokiemi tak że całą nogę osłaniały—niektóre turkusami były sadzone, inne czarnonielem ozdobne. Do każdego siodła należał rząd podobny, a sam nieraz czub który koniowi nadełbem sterczał, kosztował tysiące.—Dywdyki zaś czyste złotem i perłami tak grubo że ich dosięgnąć było trudno, nie były żadne osobliwości. Oprócz tego zwykle koncerz ozdobny, a często tarcza do niego i sahajdak z łukiem należały do takich rzędów.

Łuków mało używano, ale do parady każdy je wdziewał, a owe tak zwane łuky sahajdaków, kamieniami wysadzono i złotem dzierzgano: Do siodeł też wielu zamiast do ramion, przytwierdzano owe skrzydła husarskie, w srebro oprawne, których tu wiele było kosztownie ubezpieczonych.

Dopiero broń szła, z tej rozmaitość naówczas była niezmierną, bo ją i ze wschodu i ze Włoch, Hiszpanji, Niemiec, Anglj, Francji sprowadzono.

Strzelby w kość słoniową złotem nabijane, oprawne w szyldkrety, w drzewo zamorskie jak żelazo twarde i ciężkie, pistolety tureckie i francuzkie, tarcze mniejsze z wizerunkami bitemi, szyszaki złociste i trybowane, koszule z drutów złoconych, na których modlitwy, psalmy i napisy wypisane stały. Szable, pałasze, mieczyki, stosami się walały na podłodze, misiurki z czaplemi piórami przy nich, a żelaznych blach co niemiara, aż do zbroi gończych i turniejowych, które już rzadko kto wdziewał.

Sobieski, który tu rzucił okiem przechodząc, rzekł do towarzyszącego mu Potockiego.

— Cały Cekhauz, mości panie!

I westchnął.

W istocie dział i młodzieży może tylko brakowało, ale nie gardlaczy i hakownic.

Dalej izba zarzucona kupami kobierców, opon, tkanin wzorzystych flamskich i całych postawów tkanin na obicia. Zkąd one się tu wzięły, tłumaczyć tylko mogło to, że ci co nie mieli z sobą nic na podarek stosownego, do sklepów i składów się wciskali, a że na elekcyję perskich kupców, ormian i tureckich przekupniów ściągnęło się dosyć, było więc w czem wybierać.

Niektóre ofiary mogły prawie obudzać śmiech, lecz szły z dobrego serca, a dowodziły tego przejęcia się elekcyją, a nienawiści ku panom, których zwycięztwo nie stłumiło... Nie tyle może miłość tu czyniła—co owa niechęć przeciwko możnowładzcom, którzy przekupieni lekceważyli sobie tłumy i narzucić im chcieli, kogo im się podobało.

Rozumiano to bardzo dobrze i dla tego w sercu Sobieskiego i jego towarzyszów rodziło się tem większe pragnienie okazania siły—i pomszczenia sromotnej klęski.

Całe miasto dnia tego nie mówiło o niczem, tylko o tym wysiłku ubogiej szlachty, która po pańsku wystąpiła.

Księcia Michała nieprzygotowanym spotkało szczęście, które nazywało się u ludzi tem imieniem, a było w istocie brzemieniem nad siły. Nigdy nic nie mogło mu obiecywać podobnego losu, a natura i wychowanie nieusposabiały do niego.

Bezbronnego więc od pierwszego dnia otoczyła sieć intryg,—miał przeciwko sobie wyjąwszy Paców, Lubomirskiego i biskupa Olszowskiego—całe możnowładztwo. Miłość ludu — jak się wyrażano pogardliwie—zwiększała niechęć ku niemu.

Prymas namyślał się, jak miał postępować, ale w sercu miał największą odrazę do tego człowieka, który go w oczach świata uczynił bezsilnym i odebrał mu owoc długich zabiegów.

W ciągu dnia z urzędu wszyscy byli przy królu nieuchybiając mu, niechętnie, ale Senatorowie naradzali się o wyznaczeniu dni koronacyi. Sprawy wojenne i czuwanie na granicami zajęło Sobieskiego. Milczący Elekt słuchał, przypatrywał się, nieśmiejąc jeszcze ani się odzywać, ani brać w niczem udziału. Stanowiono bez niego... Ale zebranie na zamku dla formy, nie miało w istocie znaczenia, dopiero wieczorem u Prymasa miano się naradzić stanowczo—co dalej?

Prażmowski powrócił znużony i podrażniony, uczynił bowiem z siebie co mógł, aby Elekta pozyskać, a znalazł go dumnym, zimnym i obojętnym. Spodziewał się, że go opanuje łatwo, że król będzie szczęśliwy, pozyskując go sobie, tymczasem przestrzeżony dawniej o charskterze człowieka — młody Pac zbywał go milczeniem i nie dał się poruszyć.

Wieczorem u OO. Jezuitów naturalnie o niczem nie było mowy tylko o królu, o wyborze i o tym szalonym wybryku szlachty, która ubogiego swego ulubieńca wyposażyła.

— Gdyby człowiek na to nie patrzył, nie dotykał—wołał Prymas — nie chciałoby się wierzyć tej baśni. To wygląda na powieść o jakimś Leszku lub Popielu... Dziś już mi mówili, że prawią jakby rój pszczół siadł na chorągwi, niby żywe znamię tego, że Pan Bóg chciał Piasta.

Głosy się odzywały różne.

— Niewytrzyma na tronie — szeptał Morsztyn,— nie ma poparcia... nie znajdzie siły... Sobieski go ani pytać, ani słuchać nie będzie, a Pacowie.

— Pacowie... — krzyknął prymas, który się giął i kurczył, gdy go gniew przejmował. — Słyszał kto o podobnej zdradzie!?

— Pacowie lękali się stracić tego znaczenia, jakie świeżo pozyskali — odezwał się Hetman. Jestem pewny, że kanclerzyna go już może w myśli swata we Francyi

— Nie dziwiłbym się temu — przerwał Prażmowski—bo ja sam myśl tę miałem, ale Austrja czuwa!... ho! ho!.

Ktoś z przytomnych zwrócił się ku przeszłości, chcąc dobadać przyczyn tej katastrofy, bo dotąd pozostawało nierozjaśnionem, kto Kondeusza ekskludował a Michała wyniósł na tron.

Wpływowi (cenzury ks. Olszewskiego) nic a nic nie przyznawano. Głębocy politycy szukali potajemnych sprężyn, nie mogąc uwierzyć w to, aby ta biedna szaraczkowa szlachta, ci prostaczkowie... mężów takich, jak oni, w pole wyprowadzić mogli.

Kondeusza — zgodzono się na to — chytry Chavagnac wypłoszył, ale nie mógł się starać o Michała?

Przypuścić wypadku, woli Bożej nie mógł nikt... zostawało więc tajemnicą to, co zgotowało wybór syna Jeremiego, a Prymas teraz posądził już Paców, że oni chyba, mając w tem interes zapewniony, usnuli to i dokonali.

O przyszłym królu zdania były najniedorzeczniejsze. W istocie nikt go nie znał. Widywano go dotąd nieśmiałym, cichym, skromnym, pobożnym... a nieco powolnym, ani wielkiego genjuszu, ani energji nikt mu nie przyznawał.

Prymas wprost sądził nieudolnym do rządzenia.

— Utyskiwano na Jana Kazimierza, że dawał sobą rządzić—i słabym był, cóż będzie z tym kawalerem, który na podkoronnego dworu Cesarskiego doskonale przystał, ale nie na króla.

Morsztyn poruszył ramionami.

— Wczoraj go u kanclerzynej łokciem potrąciłem, aby mi miejsce zrobił—i ustępował bardzo pokornie, a dziś go muszę w rękę całować.

— Nie! nie!...—powtarzał Prymas — albo pójdzie tą drogą, jaką mu naznaczymy, albo... Wszakci Jan Kaźmirz dał przykład, że abdykować można... a gdzieindziej siła wypadków, iż królów wyganiano i pozbywano się ich.

Rozprawy, utyskiwania i narady u Prażmowskiego trwały do późnej nocy, ale nie umiano postanowić nic i skończyło się na narzekaniach i odgróżkach.

Na zamku króla męczyli dopominający się posłuchania, przynoszący mu wieści, składający życzenia, przypominający się, jako starzy ojca słudzy... Michałowi tak tęskno było do matki, że w końcu wyrwał się z nieodstępnym Lubomirskim do niej... Tu się spodziewał spocząć i odetchnąć... Nie brał z sobą ani dworzan, ani komorników, ani orszaku, który by go zdradził, chciał być po staremu Michałem, tym wolnym... i szczęśliwym.

Hela powitała go w progu.

— Król!...—zawołała głośno.

— A! nie—choć tu niech ja nim dla was nie będę — przerwał Michał, chwytając jej rękę, jam już tak zmęczony jednodniowem panowaniem.

Matka wyszła do niego... z uśmiechem na ustach. Ona—ona—niestety — jedna się radowała w duszy temu tryumfowi, który dla niej zarazem był pamięci ojca oddaną pogrobową sprawiedliwością. Na jej twarzy widać było szczęście i ona męztwem syna się starała natchnąć.

— Helo kochana—zawołała — na zamku pustki, oni może jeść co nie mieli, przyjmże Najjaśniejszego Pana!.

W tem Lubomirski począł opowiadać o wyposażeniu przez szlachtę, a ks. Gryzelda spłakała się nie ciesząc darami, ale miłością, co je przyniosła.

— Tak — dodał Starosta Spiski, kończąc — ale matuleńko kochana, mamy też całą armję wrogów nieprzejednanych z Hetmanem i Hetmanową na czele!.

IX.

Wszystko, co przychodzi niespodzianie — spada jak gromem na człowieka i na czas jakiś pozbawia go siły. Szczęście też zabijać umie, a ubezwładnia czasem na długo.

Taki ono skutek wywarło na Michale Wiśniowieckim, który przygotowanym do niego nie był wcale, a w rzeczy wybór króla tak mało go obchodził, że owej sławnej Cenzury ks. Olszowskiego, w której o Piaście mowa była, wcale nie czytał.

Najzuchwalsze jego nadzieje nigdy nie sięgały po nad skromny jakiś urząd przy dworze i Starostwo, które by mu odpowiednio imieniowi i pamięci ojca występować dozwalało. Matka też nie marzy-

ła o wielkich powodzeniach, znając nieśmiałość syna, chciała go bogato ożenić i tem w dom znowu dostatek wprowadzić. O koronie nigdy się tu nikomu nie śniło.

Lecz wnuczka Zamojskiego z myślą jej prędzej się oswoiła, niż skromny, cichy syn Jeremiego. Ona w tem widziała palec Opatrzności, widoczną wolę Bożą, natchnienie Ducha Świętego. Była tem dumną. Wielka radość zasłonięta przed nią, niezmierne trudności położenia i kolce tej korony cierniowej, której dźwigać nie miał siły wybrany.

Nazajutrz zaraz, gdy już ks. Kustosz począł nalegać, aby ze dworku na Kustodję się wyniosła — i przygotowania ku temu czynić rozpoczynano, pierwszy z przejednanych przybył do niej Kanclerz Pac.

Był to jeden z możnowładców wielkiej energji, wpływu, znaczenia — i na niego liczyć było można. Przyjechał ks. Gryzeldę zapewnić, że na niego król młody liczyć może.

— Mości Księżno — rzekł otwarcie—stajemy przy królu Imci i stać będziemy, niech w nas ma zaufanie... Postaramy się o to, aby mu zjednać przyjaciół i sług wiernych.

Nie potrzeba się łudzić, położenie króla, syna W. ks. Mości będzie trudnem — znam ks. Prymasa, znam hetmana i hetmanowę, wiem że elekcja do rozpaczy ich przyprowadza, że gotowi do ostatecznych się rzucić środków, bodaj nawet zachwiać tronem, ale nas Paców ma król trzech, nie licząc młodszych, a my i na Litwie i w koronie coś znaczemy. Żona moja ma we Francji nie mniejsze i nie gorsze związki od pani hetmanowej. Potrafiemy nieprzyjaciołom stawić czoło.

Ks. Gryzelda załamała ręce.

— Sądzicie, panie kanclerzu — zawołała, że wybór ich nie przejedna? nie rozbroi? Cóż zyszczą wojując z Michałem?! On nikomu złego nie życzy, ani uczyni.

— Ale z namiętnościami ludzkiemi liczyć się potrzeba—mówił kanclerz—a niema straszniejszej nad ambit upokorzony. Prymas i hetman wedle własnego mniemania byli panami sytuacji, zmuszeni się poddać, będą spiskowali i knowali. Musiemy czuwać.

— A!—przerwała ks. Gryzelda pochylając się do kanclerza, z błagającym tonem.—Bądźcie niedoświadczonemu memu synowi opieką! Proszę Was.. Nieopuszczajcie go.

Sobieskiego— znam dawno i zbliska — dodała — miałam z nim, niestety, pieniężne sprawy,—jest bardzo źle z ks. Dymitrem... ale ja sądzę, że szlachetny w głębi duszy, nie dopuści się on przeciwko nam.

Kanclerz się uśmiechał.

— O Sobieskim mówiąc—rzekł — trzeba mieć też na myśli hetmanowę, która nim rządzi—a tej ja się obawiam. Zresztą wierzę w to, iż miłość ku rzeczpospolitej — nigdy mu się przeciw królowi zadaleko posunąć nie da, zwłaszcza w tych strasznych czasach, gdy nam bunt i wojna z Turkami zagraża... Nie tu więc najniebezpieczniejszego antagonisty szukać potrzeba—ale—w Prymasie.

Kanclerz się skrzywił.

— Nie waham się przewidywać — mówił dalej— że tego nawet zupełnem poddaniem mu się —trudno będzie.. rozbroić. Nie może on przebaczyć tego, iż został zwyciężony i w oczach obcych monarchów upokorzony.. Około Prymasa będzie zawsze skupiać się obóz nieprzyjacielski.

Bądź co bądź—staniemy i my do walki—bez obawy... Niech tylko król zaufa nam i idzie za radami naszemi.

Ks. Gryzelda zapewniła również o wdzięczności swej, jako o powolności syna kanclerza.

— Nie ma doświadczenia Michał — rzekła — ale dalekim też jest od zbytniej w siebie wiary. Możecie być pewni, że da pokierować sobą.

Pac dotknął zaraz drażliwej materji, tego o co się naówczas wszystko rozbijało—rozdawnictwa wakansów.

— Dzisiaj—rzekł—największą siłą, jaką król ma w ręku, jeżeli nie jedyną jest rozdanie wakansów.— Niemi on może sobie zjednać, rozbroić, pozyskać— ale powinien być oględnym. W pierwszej chwili do zbytku ulegać wymaganiom nieprzyjaciół, uszło by za trwogę.

Kanclerz mówił dosyć długo, a nakoniec pewien, że sobie pozyskał ks. Gryzeldę, odjechał. Pacowie byli w tych pierwszych dniach, razem z Lubomirskim i Olszowskim nieodstępnemi, ale też jedynemi niemal przy królu.

W kilku godzin po Pacu, oznajmiono hetmana, który na stopie przyjaznej był z księżną, choć na nią narzekał z powodu obrachunków.

Sobieskiego polityka zmusiła zajrzeć tu teraz i powinszować staruszce.

Z pewną rubasznością, którą czasem przybierał gdy znudziło mu się być Orondatem i Celadorem— wszedł udając wesołego.

— Przychodzę powinszować W. ks. Mości—ozwał się całując podaną mu rękę.

— A! hetmanie—przerwała mu—myśmy tak wysoko nie sięgali myślami, a dziś więcej mamy obawy, niż pociechy.

— Ce Bóg da—przyjąć potrzeba — odparł Sobieski—choć nie taję, że spuścizna po Wazach nie łatwa do dźwignięcia.

— Bądźciesz synowi mojemu — pomocą i podporą! - odezwała się księżna.

— Milczący, bez odpowiedzi, nic nie chcąc przyrzekać skłonił się hetman wąsa kręcąc.

— Niech tylko król złych dowódzców nie słucha—odezwał się namyśliwszy—i wybierze sobie tych co znają kraj, ludzi a nieszczęśliwe położenie nasze. Ale—będzie! będzie miał co do czynienia. Szlachta

niesforna, wojsko lada podmuch gotowe do związków więcej niż do boju. Kozactwo rozpasane, turcy uzuchwaleni nieszczęściami naszemi.

— Tak, ale wy hetmanem! — przerwała ks. Gryzelda—to najlepsza rękojmia zwycięztwa.

Hetman, krótko zabawił, wizyta była więcej z obowiązku i grzeczności, niż z serca. Na czole miał wypisane jak się troskał i był skłopotany.

Resztę dnia spędzono we dworku na wybieraniu się z niego do kustodji ks. Fantoniego, gdzie matka króla trochę pokaźniej przyjmować mogła. Całe staranie o dom spadało na Helę, która właśnie teraz roztargnioną była, nieprzytomną i chodziła jak jakiś cień, istota skazana i pokutująca.

Kiedy niekiedy z oschłych oczów dobywały się łzy, a ręka musiała uciskać pierś, w której duszno było i ciężko... Co jej potem było, że Michał królem został okrzyknięty, gdy ona go utracić musiała. Nigdy wprawdzie nie miała nadziei ażeby—Michał do niej, ona do niego należeć mogła, ale się spodziewała skromnego, jakiegoś stanowiska w jego domu, przy rodzinie, któreby dozwalało pozostać z nim razem. A teraz!! Już w ciągu tego pierwszego dnia zaraz obijało się o jej uszy, co Lubomirski mówił ks. Gryzeldzie, że dla ks. Michała jedno z dwojga, lub rakuska arcyksiężniczka, albo jedna z księżniczek krwi francuzka, przeznaczoną była... O tem ożenieniu jako o konieczności, jako o związku co miał dać siłę nową, szeptano już... Hela przerażona słuchała... Tak! — Michał był dla niej straconym... Nawet przybliżyć się, mówić — wkrótce nie wolno jej być miało.

Tego smutku wychowanki księżna matka, która, coraz była weselszą i szczęśliwszą, wcale zrozumieć nie mogła. Brała je za zmęczenie pracą, i pocieszała tem, że raz się przeniosłszy na kustodją, Hela sobie spocząć będzie mogła.

Spocząć! myślała w duchu Zebrzydowska — te-

raz!... My już wszyscy spokoju nie zaznamy! Los rzucił nas w wir, który miotać będzie nami—aż pochłonie!!

Najprzykrzejszem dla niej było, że teraz po całych dniach nawet wiedzieć nie mogła co się z Michałem działo, ona, która była nawykłą śledzić krok jego każdy, a często — bardzo często, niepewnym siebie, kierować! Z zamku dochodziły tylko głuche wieści, których dobrze wyrozumieć było trudno. Przynosił je czasem Lubomirski, niekiedy ks. Fantoni; sam król, choć najmocniej pragnął, nie miał chwilki, aby się wyrwać do matki.

Myśląc jakby na to zaradzić, krzątała się z wynoszeniem i zbieraniem ze dworku sprzętu, który się miał na kustodją przenosić, gdy — wpadł Kiełpsz. Był on teraz nieodstępnie na rozkazy króla, ale serce go ciągnęło do tego dworku i do Heli, która wiedziała bardzo dobrze o jego rozkochaniu i poruszała ramionami, patrząc na wesołego trzpiota.

Tym razem był on jej pożądanym, bo mógł przynieść jej z zamku coś o królu i myśl przyszła dziewczęciu, wyzyskać przywiązanie Kiełpsza, robiąc z niego sługę i posła.

Przyjęła go też nieco uprzejmiej, weselszą twarzyczką — i zarzuciła pytaniami. Kiełpsz nie wiedząc czemu to przypisać, niezmiernie był szczęśliwy.

— Możesz się pan teraz—rzekła — bardzo przysłużyć księżnie matce. Jesteśmy nawykłe z dawna wiedzieć o każdym kroku... księcia, nie, króla — a z zamku mało kto przychodzi, powinieneś parę razy w dzień przynosić nam wiadomości. Co pan masz tam do czynienia?

— Ja?—odparł Kiełpsz — a no, jestem tymczasowo dworzaninem pokojowym J. Królewskiej Mości, a więc na rozkazy przez cały dzień, ale, jeżeli księżna każe ułożę się tak, abym mógł przychodzić.

— Zrób pan to—odezwała się Hela—jestem pewna, że i król wdzięczen będzie, bo i jemu tęskno być musi za matką, jak jej za nim.

— Ale ja z tego najszczęśliwszym będę!—składając ręce zawołał Kiełpsz.—Dobrze! bardzo dobrze!!

Hela zbliżyła się cicho mu szepcząc.

— Ks. Gryzeldę najmniejsza rzecz obchodzi. Radaby wiedzieć jak król znosi to życie trudzące, do którego nie nawykł, kogo widuje, jak panowie są dla niego... Wszystko! wszystko!!

Ułożyła się więc, że na przyszłość pomiędzy kustodją, bliżej położoną od zamku, a zamkiem, Kiełpsz miał być łącznikiem. Podjął się tego z wdzięcznością, bo się spodziewał pozyskać przez to względy Heli, w której coraz mocniej czuł się rozkochanym.

Na pierwsze danie—nie miał wiele do przyniesienia. Na zamku jeszcze się układało dopiero do nowego życia. Dworscy Jana Kaźmirza starzy rozpiechrzli, urzędnicy mniejsi dworu ściągali się dopominając posad dawnych i zajmując je po większej części. Michał dobrodusznie przyjmował te posługi, nie bacząc kim się otoczy.—W tem zbiorowisku ludzi różnych, więcej może niechętnie usposobionych niż życzliwych, starzy lekceważyli sobie to książątko ubogie; które się im wydawało bardzo pośledniem, po dynastji Wazów.

A że gawiedź taka zwykle mierzy znaczenie człowieka jego dostatkiem, ów król ubogi, o którym wiedziano, że kilka dni temu ledwie miał koni dziesiątek na stajni—wydawał się jej niezbyt poszanowania godnym. Obchodzono się też z nim nie okazując mu zbytniej uległości i stara służba rządziła się samowolnie.

Michał za wiele miał na barkach, aby mógł podołać wszystkiemu.

W nim samym dokonywał się ciężki ten proces przetwarzania się człowieka, który wczoraj własnej

woli nie miał, a dziś rozkazywać musiał i kierować.

Wszystko dla niego nowem było.

Wyrobić w sobie nagle siłę woli, jasne pojęcie położenia, zrozumienie stosunków, jakie go łączyć miały z tym światem, wczoraj obcym dla niego—dla każdego byłoby trudnem, a dla leniwego i nieśmiałego umysłu Michała—zadaniem się stało niemal nad siły. Potrzebował rady, podpory przyjaciela, któremuby mógł zaufać.

Instynkt mu wskazywał, że ci co dopiero teraz zbliżyli się i podali mu ręce, więcej we własnych widokach to czynili, niż dla niego.

Serca — nie było nigdzie... musiał po nie myślą uchodzić do starego dworku na Miodową, do matki i do Heli.

Na zamku jeszcze się nie uspokoiło i nie poskładało wszystko w formy nowego życia, a już występowały ambicje, chciwość, zazdrości, wymagania... nie mówiono tylko o rozdawaniu wakansów, a każdy chciał rozporządzać niemi. Pacowie oczywiście stali na pierwszym rzędzie, domagając się, aby król ich słuchał... Zarazem Sobieski dopominał się ustępstw, grożąc niejako, jeżeliby mu ich nie uczyniono.

Począwszy od Prymasa każdy miał protegowanych — a ci co najnieprzyjaźniej występowali przeciwko Michałowi, sądzili, że za przejednanie mają prawo ceny wielkiej wymagać.

Michałowi wydawało się to wprost—obrzydliwem.

Milczący—patrzył—i nie mając nikogo więcej,—zmuszonym był z Pacami trzymać, od których już Sobiescy oboje się oddalali. W języku towarzystwa ówczesnego, który dla dogodności nadawał wszystkim przezwiska, w rozmowach i korespondencji służące do pokrycia imion prawdziwych Pacowie już zwali się — *bażantami*. Hetmanowa, dotąd połączona dosyć ściśle z kanclerzową—ostygła dla niej i usuwała się... Obie miały stosunki z dworem

francuzkim, które je rozdzieliły, do walki przeciwko sobie pobudzając.

Nowe związki — nowy świat tworzył się około króla Michała, ale w najszczęśliwszym razie to co się przy nim skupiało nie miało jeszcze siły wiele i Prymas z hetmanem pocblebiali sobie, że mogą stać się groźnemi nawet, jeżeli im król nie ulegnie.

Dla człowieka tak dotąd skromne zajmującego miejsce podrzędne, który począwszy od matki aż do szwagra musiał iść za wskazówkami rodziny—nagłe pozyskanie władzy było — przerażającem. Lękał się jej użyć.

Dodać do tego potrzeba nawyknienie umysłowe do zajmowania się fraszkami, które ks. Michałowi było właściwe, i wstręt do poważnej pracy. Dotąd najważniejszem zadaniem w jego życiu było — ubranie i elegancja, przywiązywał do powierzchowności swej wagę zbyt wielką. Twarz jego zastygła ożywiała się dopiero gdy mówił o nowych strojach, o drobnostkach, które do nich należały. W tym przedmiocie miał nawet rozległe wiadomości i smak, który go prowadził drogą bitą, gdy w innych wahał się na każdym kroku. Śmiesznem więc nieraz wydać się mogło Staroście Spiskiemu, gdy po całym dniu nudów, w ciągu którego król zaledwie otwierał leniwie usta—wieczorem ujrzał go niezmiernie ożywionym—gdyż zajął się sprawą swej garderoby.

To co było zamówionem w Paryżu — mogło starczyć dla księcia Wiśniowieckiego—król potrzebował nieskończenie więcej. Miała nastąpić koronacja. Niektórzy byli tego zdania aby się Michał przebrał po polsku, przypominając że nawet Jan Kaźmirz raz próbował się tem wkupić w łaski u narodu. Wiśniowiecki oparł się temu stanowczo.

Nawykłym był do peruki, do sukni europejskiej, do koronek, do tego pół niewieściego stroju, który

mu się wydawał jedynym pięknym i wyższą cywilizacyą znamionującym.

Potrzeba było natychmiast wysłać zamówienia do Paryża, a rzecz ta tak gorąco zaprzątnęła króla, iż na prośby szwagra, nawet jej do jutra nie byłby odłożył, gdyby się nie okazało, że francuz Tionville, którego użyć musiano do tego poselstwa, dnia tego nie był do wzięcia.

Późnym wieczorem król nareszcie znużony przypomniał matce, a że ona już się była przeniosła do kamienicy ks. Fantoniego, udał się do niej. Ożywiony był bardzo—niestety—nie wiadomościami od kresów Konstantynopola, ale wysyłką po garderobę do Paryża.

Było to—fraszką, ale ona charakter rysowała człowieka, który się królem nie czuł jeszcze.

Wszystko, co się łączyło z obroną granic, leżało na Sobieskim, na księciu Dymitrze i na hetmanie Pacu.

Księżna Gryzelda uradowała się widząc syna wchodzącym z twarzą rozjaśnioną i wesołą, dorozumiewała się jakiegoś ważnego odniesionego zwycięztwa, gdy król całując ją w rękę, odezwał się żywo.

— Proszę o polecenia do Paryża, jutro wysyłam Tionvilla po suknie dla mnie. Najmniej cztery różne garnitury mieć muszę i każę mu je podług wzorów, w Versalu wziętych, u najpierwszych zamówić krawców.

Matka wielkiemi zdumionemi oczyma wpatrywała się w niego.

— Zdaje mi się — rzekła nieśmiało — że wiele rzeczy pilniejszych by było.

— A! nic! nic! — przerwał syn namiętnie prawie. — Cóżbym ja począł w czasie koronacyi, gdzie posłowie obcy przybędą. Muszę przecie wystąpić, jak przystało panującemu.

Podskarbi, nie wątpię, dostarczy mi, choćby

z własnej szkatuły, na ten wydatek pierwszej, niezbędnej potrzeby.

Hela, która stojąc z boku słuchała, poruszyła z lekka ramionami białemi.

Michał dopiero teraz ją spostrzegłszy, z wyrazem największego poruszenia, rzucił się ją witać i — nie zważając na Lubomirskiego, który zabawiał ks. Gryzeldę, odprowadził na stronę.

— A Helo ty moja — począł z niezwykłym pośpiechem — jak mi za tobą tęskno.. jak mi brak ciebie! Tak nawykłem się radzić tej mojej Egeryi, że często nie wiem, co począć i boję się stąpić kroku.

— Masz tylu lepszych doradców odemnie — skromnie rzekła Zebrzydowska — ale mów, mów, proszę, jak się składają stosunki, jak się stawi Sobieski, Prymas, Morsztyn, Dönhoffowie...

Michał nagle sposępniał.

— A! radbym choć tu u was o tych nieznośnych zawikłaniach zapomnieć, które mnie męczyły przez dzień cały. Nie słyczę o niczem, ciągle tylko o tych wrogach moich. Prymas, hetman, obijają mi się o uszy... Mówmy już o czem innem.

— Ale to jest najważniejsza! — przerwała Zebrzydowska.

— To też ja—wtrącił król pośpiesznie—wszystko to zdałem na kanclerza Paca... Pójdę za jego skazówką...

Pomilczał chwilę i weselej dołożył:

— Mów, co ci Tionville ma przywieźć z Paryża? Ja mam na myśli dwie sztuki atłasu dla matki, dwie dla ciebie, koronki, pióra...

— Ale na cóż mnie to wszystko! — przerwała niecierpliwie Zebrzydowska — ja przynajmniej wcale tego nie potrzebuję... Jestem wprost sługą ks. Gryzeldy i ani mi przystało...

— Ale cóżbo znowu! — począł król, chwytając ją za rękę—ja o tem ani chcę słuchać. Dla mnie—

mówił z rosnącą żywością — każę wszystko na wzór króla i wedle mody paryzkiej sporządzić...

Oczy mu błyszczały, usta się uśmiechały, a Hela patrząc na niego westchnęła.

— Że też wy, królu mój — rzekła smutnie — w takiej chwili stanowczej możecie myśleć o tem!!

— Stanowczej! — podchwycił Michał — ale stanowcza chwila już przeszła. Panowie ci są przejednani, poddali się — i wszystko się ułożyć musi, dlaczegóżbym ja nie miał zająć się tem jak się pokażę... Nie trzeba, aby dawne nasze ubóztwo zdradzało się...

Zebrzydowska milczała. W tem matka, która spragnioną była syna, powołała go do siebie.

Ją zajmował głównie Prymas i Sobieski.

— Zdaje mi się — rzekł uspokajająco Michał — że się już pogodzili z położeniem. Pac zresztą dokona dzieła... Naturalnie potrzeba ich zdobyć ofiarami, ale ja do nich jestem przygotowany.

Pomilczał trochę i opanowany myślą ciągle jedną—wznowił o wysyłce do Paryża.

— Co matka dla siebie przywieźć każe?

— Nic dziecko moje — odparła staruszka. — Z dawnych splendorów znajdę jeszcze dosyć lam, axamitów i atłasów, aby w potrzebie, wystąpić jak biednej wdowie przystało... Tych szat żałoby po moim niezapomnianym nigdy Jeremim niezrzucę — nawet w dniu najuroczystszym, gdy syna jego koronować będą...

Michał westchnął... Widać było, że wielką miał ochotę powrócić do swojej garderoby i wysłańca do Paryża, ale ks. Gryzelda i Lubomirski zwrócili rozmowę na poważniejsze przedmioty — i król posłuchawszy ich trochę milczący, wstał odwołując z sobą Helę.

Poszła za nim posłuszna... a może rada, iż sam na sam, zdawną poufałością przemówić do niego będzie mogła... Zapytała umyślnie, czy widział Prymasa.

— Nie—odparł z niechęcią król — pozostawuję kanclerzowi, jako dawnemu jego przyjacielowi, porozumienie z nim. Mam się przyznać? Ten stary obudza we mnie wstręt i obawę niewypowiedzianą. Ma coś w oczach, nawet, gdy się przymila i najbardziej przemawia—tryskającego nienawiścią..

Nigdy pono nie przemogę się względem niego...

— Ale mu tego okazywać nie należy—szepnęła Egerja. — Księżna matka zarówno się go obawia, a niemniej by go rada pozyskać...

Michał poruszył ramionami.

— Mówię ci, zdałem to na Paców, oni jedni mogą coś, bo długo z nim byli razem i znają go lepiej od innych.

Westchnął ciężko.

— A, Helo moja! panowanie, korona, jakaż to ciężka pańszczyzna! Zowie się to pięknie, ale w istocie jest niewolą. Człowiek nie należy już do siebie... — jest na posługi wszystkim, odpowiada za wszystko... Gdy sobie przypomnę nasze wieczory w dworku przy Miodowej, nasze ranki wesołe, przy stoliku śniadania.

— A! te nigdy już nie powrócą—przerwała Zebrzydowska. — Jam je łzami pożegnała...

— A ja! — westchnął Michał — i wnet przybrał postawę energiczniejszą — ale nie! nie — rzekł — nie dopuszczę nigdy, abyśmy się rozłączyć mieli.

Matkę i ciebie chcę mieć przy sobie. Nie wyżyłbym bez was, a gdy się moją myślą z wami, z tobą podzielić nie mogę, zdaje mi się, że nie mam prawa nią się pokierować. Ty często jaśniej, lepiej widzisz nademnie.

— Nie—odezwała się Hela — ale te nieszczęsną, waszą nieśmiałość czasem mogłam zmienić w energję, której teraz właśnie najwięcej potrzebujecie, bo ze słabości będą korzystać...

Matka znowu przywołała syna do siebie, nie spokojna chciała go spytać o kogoś... Potrzebowała wiedzieć, jak się względem niego znajdowali, Branicki marszałek, Chorąży koronny (Sieniawski), Wojewoda Ruski szczególniej—naostatku Wojewoda kijowski... co mówił i myślał książę Dymitr.

Oddawna pomiędzy nim a Sobieskim zatarg był, który się zaogniał coraz bardziej, a groził teraz następstwami nieprzyjemnemi. Dla wojny, która się bądź co bądź, zapowiadała, zgoda dwu hetmanów była niezbędną.

Lubomirski już wnosił naówczas, co wkrótce do skutku przyjść miało, aby Dymitr starał się o pokrewną hetmana wielkiego księżniczkę Zasławską i Ostrogską. Spodziewano się zbliżając rodziny, pojednać ludzi... Ale tu, jak w każdym kroku Sobieskiego, wpływ żony Maryi Kaźmiry był przeważający, a ją tak trudno było pozyskać. Z despotyzmem nieubłaganym kobiety, która zna swą siłę, rządziła ona mężem, poddanym jej najzupełniej.

Ks. Gryzelda gotową była dostojność swą przed dumną francuzką ukorzyć i sama pierwsza uczynić kroki... Ale potrzeba było wprzód zapewnić się, że to upokorzenie nie zostanie odepchniętem wzgardliwie.

Wszystko to z chłodem niepojętej obojętności przyjmował król, zatopiony w myślach — niestety!— bardzo dalekich od poważnych trosk matki... rachował właśnie ile garniturów potrzebować będzie i jaką sumę na nie od Podskarbiego weźmie. Oprócz tego niepewien był czy dwa najparadniejsze, zupełnie podobne, nie będą koniecznemi...

W tej chwili wszedł—sąsiad, gospodarz i przyjaciel domu ks. kustosz Fantoni, który się cieszył widząc ks. Gryzeldę u siebie. Król przywitał go uprzejmie—przypominał mu owe dawne, szczęśliwsze czasy.

Poczęto od różnych drobnostek tyczących się domu, bo kustosz rad go był uczynić najwygodniejszym dla swej lokatorki, ale po krótkiem porozumieniu—wstał Fantoni i zwrócił się do króla, który z nim odszedł na stronę. Siedli jak niegdyś dawniej, a zacny kapłan z troskliwością przypatrywał się twarzy młodego pana.

— Wydajesz mi się, W. Król. Mość zmęczonym bardzo—odezwał się—ani jest się dziwić czemu. Z życia spokojnego przejść bez—żadnych pośrednich przygotowań w taki zamęt i na taką wyżynę!!

Michał popatrzył na niego, nie śmiejąc skarżyć się zrazu.

— W istocie — odpowiedział — zmęczonym czuję się wielce, a dotąd nic a nic zrobić nie mogłem. Słucham — uczę się — nie rozumiem wiele, ale Pac mnie wyręcza.

— Staremu przyjacielowi pozwolisz W. Król. Mość być szczerym! — odezwał się kustosz.

— A! mój ojcze! — przerwał pochylając się ku ramieniowi jego — mój ojcze!... proszę, zapomnijcie o tej nieszczęsnej koronie.

— Oceniam wysoko przyjaźń i pomoc Paców — ciągnął kustosz dalej — ale potrzeba mieć własną wolę i — powoli ze wszelkich się więzów wyswobodzić. Kraj po was, królu mój, wiele wymagać będzie, a nie zechce pamiętać na to, w jak ciężkich warunkach szlachta narzuciła tę koronę!!...

Wojna wisi nad nami, z kozactwem niema końca, z Turkami nieunikniona walka... Polska jest otoczoną nieprzyjaciołmi, Jan Kaźmirz wam ją przekazał osłabłą, zniszczoną, okrwawioną, zbolałą, a was, opasał kołem zawistnych i wrogów...

— Spodziewamy się ich pozyskać—wtrącił król nieśmiało.

— Nie wiem — mówił dalej kustosz — zjednać będzie trudno, trzeba ich przełamać. Energii na to silnej woli.

Spuścił oczy Michał, jakby nie śmiał ich obiecywać.

— Sobieski — rzekł musi być pozyskanym, bo my go nie przemożemy. Wojsko ma w nim ufność, wodza drugiego, jak on, nie uwłaczając ks. Dymitrowi, znaleźć trudno...

— Sobieski — ciszej odparł kustosz — nie tyle jest strasznym, co Prymas... Z bólem serca muszę to mówić o głowie kościoła. Tegoby należało ująć, rozbroić, a to mi zdaje się prawie niemożliwem. Natura to skryta, mściwa i nieprzebaczająca... Klęski, jaką mu zadano, nie przebaczy nigdy...

— Ale mnie jej przypisywać nie może — odezwał się Michał. — On wie lepiej niż inni, żem ani się starał, ani pożądał, ani wiedział do chwili ostatniej, co mnie w polu elekcyjnem czekało.

— Tak jest — dodał Fantoni — ale na nikim innym pomścić się nie zdoła, tylko na w. królu Mości.

Mówię to, nie dlatego, abym strwożył, lecz żebym obudził męztwo i baczność - Bóg dopomoże—lecz uzbrójcie się czuwajcie.

To mówiąc powstał kustosz i widząc niepokój matki, ukazał ją królowi, który do niej powrócił.

Takim był początek tego panowania, które się zdało wolą niebios, natchnieniem Bożem w chwili krytycznej, zesłane, a miało być męczeństwem niewinnego, słabego człowieka, który podołać nie mógł zarazem nieprzyjaciołom zewnątrz i wewnątrz mu zagrażającym.

Wojna zapowiadała się na granicach, wojnę wypowiadał mściwy Prażmowski.

W pierwszych jednak początkach spodziewano się dni jaśniejszych.

Wkrótce nieuniknione małżeństwo młodego pana pierwsze przyszło na stół, aby Prymasa zniechęcić i zemstę jego rozżarzyć na nowo.

Prażmowski chciał przynajmniej swoje zaprzedanie dworowi francuzkiemu tem opłacić, by króla z księżniczką Orleańską ożenić. Rozpoczął więc starania o to, że król młody szczęśliwym będzie i dumnym z tego połączenia, ale przeciwko francuzce mówiły wspomnienia Maryi Ludwiki i frymarki przedwczesne o koronę, a intrygi Sobieskiej i kanclerzynej Pacowej. Nie mogła szlachta przebaczyć Kondeusza złotem jej narzucanego. Wstręt do Francyi był niezmierny i stanowczy; tak wielki, że przemógł nierównie bardziej wkorzeniony i starszy jeszcze do cesarskiego domu rakuskiego.

Z tego umiał korzystać ksiądz biskup chełmiński Olszowski i zwrócił się z negocyacyami do Wiednia, o arcyksiężniczkę dla Michała.

Była właśnie na wydaniu arcyksiężniczka Eleonora, przeznaczona księciu Lotaryngskiemu, z którym, jak powiadają łączył ją zdawna serdeczny węzeł, ale polityka nieznа spraw serca, ani się lituje cierpieniem dwojga istot dla siebie przeznaczonych, gdy je rozerwać potrzeba dla dogodzenia swym planom.

Olszowski znalazł w Wiedniu poważne ucho i miłe przyjęcie. Z tradycyami domu zgadzało się to zamężcie. Dał Zygmuntowi III dwie żony, potem Władysławowi jedną, z chęcią w Wiedniu zgodzono się na połączenie z młodym królem, który znany był tam i cenionym. Wprawdzie wspomnienia jego pobytu w Wiedniu skromne były... i wcale przeczuwać nie dawały tak świetnej przyszłości.

Walka pomiędzy Prymasem, a ks. Olszowskim wszczęła się — gorąca — zacięta, lecz Prażmowskiego przeznaczeniem było — doznawać niepowodzenia, mimo największych wysiłków.

Zapowiadało się więc ożenienie z arcyksiężniczką, król milcząco, zimno, z rezygnacyą przyjmować się zdawał tę konieczność i następstwo nieuchronne. Obiecywało nowość połączenie to dla za-

grożonego kraju pomoc, a przynajmniej poparcie moralne Cesarstwa. Wszyscy przyjaciele króla, nie wyjmując Paców, mających tu ścisłe z Francyą i dworem jej stosunki godzili się na austryaczkę.

Prażmowski szalał i odgrażał się i wściekał ale musiał tłumić to w sobie, aby na jaw nie wydać. z nową doznaną klęską. Mściwy starzec nie mógł przebaczyć Michałowi, wszystkiego, co z jego powodu połknąć musiał i milcząco pochłonąć w sobie, najzuchwalsze plany, krążyły w znękanym starcu który rozpaczą do nich był przywiedziony.

Całą swą więc siłę zwrócił on ku tym, których dawne stosunki z nim łączyły, aby ich zachować przy sobie i użyć przeciwko temu, którego za wroga swego uważał.

Sobieskiego szczególniej starał się utrzymać, rozjątrzać i wszelkie usiłowania przejednania zniweczać. Tak też dzięki jego zabiegom, zbliżenie się do Wiśniowieckich przez małżeństwo ks. Dymitra z ks. Susłowską przeszło na niczem. Stare spory i niechęci odżywiono.

Jednych Paców nie udało się Prymasowi od króla oderwać. Ci mu pozostali tem wierniejsi, że Sobieski był połączonym z Radziwiłłem, a walka o przewagę na Litwie z niemi nie ustawała.

Król Michał nie wielu sobie zdobyć potrafił przyjaciół, czuwał nad tem Prażmowski. Szczupła garstka wiernych tron chwiejący się otaczała. Chmurny horyzont, burzami brzemienny, zawisł nad rzecz-pospolitą.

Wybraniec szlachty niósł ciężki krzyż na ramionach, posępny i milczący dźwigał męczeństwo swoje.

Ożenienie z arcyksiężniczką Eleonorą, walkę która go zewsząd cisnęła, miało przenieść do domowego pożycia—nieprzyjaciela posadzić u wezgłowia... aby ani chwili jednej nie miał już spokoju i wytchnienia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

MUZEUM JIK W ROMANOWIE 334